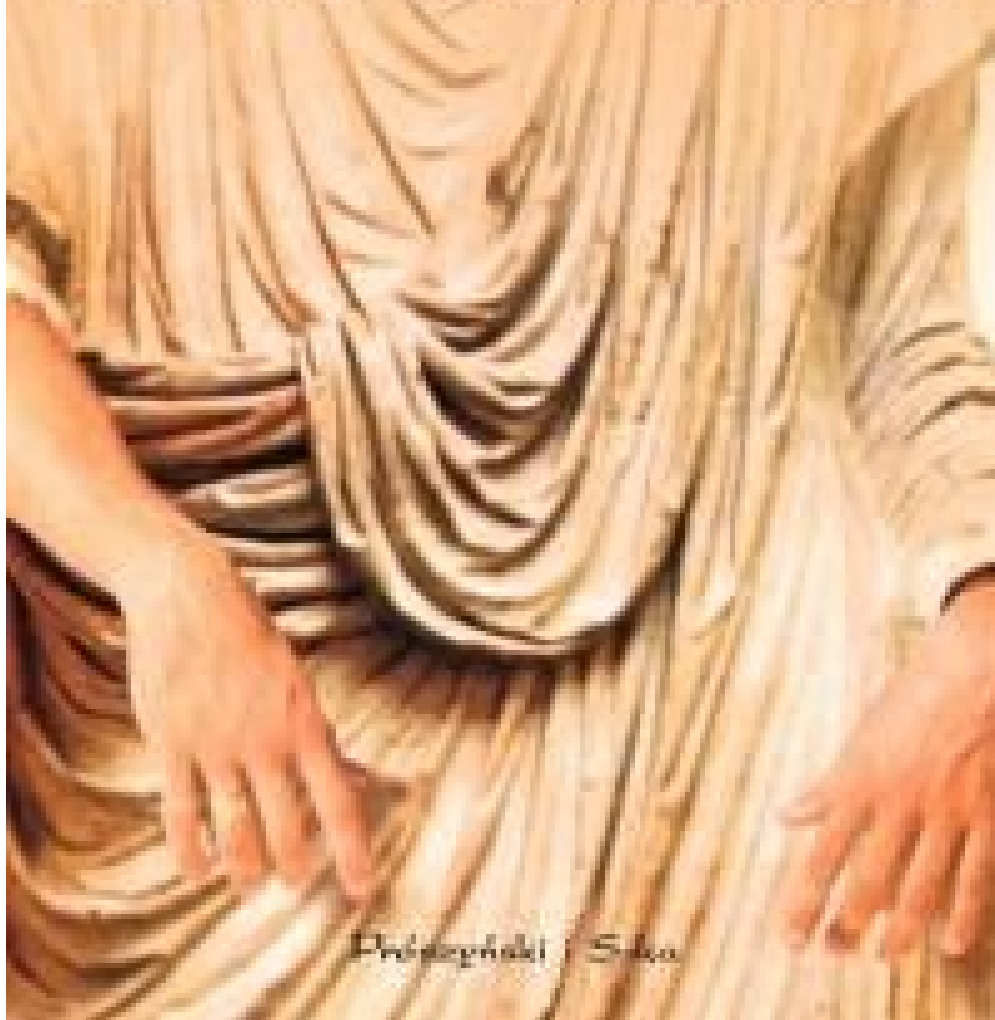


ALLAN MASSIE
ANTONIUSZ



Allan Massie

Antoniusz

Przełożył Ryszard Kulesza

Jak zawsze dla Alison

GLÓWNI BOHATEROWIE

MAREK ANTONIUSZ triumwir

GAJUSZ JULIUSZ CEZAR OCTAVIANUS (OKTAWIAN) triumwir

MAREK EMILIUSZ LEPIDUS triumwir

Żony, rodzina i przyjaciele Antoniusza

FULWIA żona

OKTAWIA żona

KLEOPATRA żona

KYTHERIS nałożnica

GLAFYRA nałożnica

ANTYLLUS syn

SKRYBONIUSZ KURION wnuk

GAJUSZ SKRYBONIUSZ KURION przyjaciel

PUBLIUSZ KLODIUSZ PULCHER przyjaciel

PUBLIUSZ KANIDIUSZ KRASSUS wódz

PUBLIUSZ WENTIDIUSZ BASSUS wódz

GNEJUSZ DOMICJUSZ AHENOBARBUS wódz

KRYTIASZ sekretarz

Przeciwnicy

MAREK WIPSANIUSZ AGRYPA przyjaciel Oktawiana

GAJUSZ CILNIUSZ MECENAS przyjaciel Oktawiana

MAREK JUNIUSZ BRUTUS spiskowiec i zabójca Cezara

GAJUSZ KASJUSZ LONGINUS spiskowiec i zabójca Cezara

DECYMUS JUNIUSZ BRUTUS ALBINUS spiskowiec i zabójca Cezara

Inni

SEKSTUS POMPEJUSZ zbuntowany wódz rzymski

ARTAWASDES król Armenii

HEROD król Judei

CEZARION syn Kleopatry i Juliusza Cezara

ALEKSAS sługa Kleopatry i kochanek Krytiasza

CHRONOLOGIA

lata p.n.e.

82 Narodziny Antoniusza

63 Spisek Katyliny

58 Cezar rozpoczyna wojnę galijską. Antoniusz przebywa na Wschodzie

57 Antoniusz walczy w Egipcie

54 Antoniusz dołącza do Cezara w Galii

49 Cezar przekracza Rubikon i rozpoczyna wojnę domową

44 Antoniusz zostaje konsulem. Zamordowanie Cezara. Antoniusz ogłoszony imperatorem.

Walki z Decymusem Brutusem. Oktawian występuje jako spadkobierca Cezara. Cynceron wygłasza mowy skierowane przeciwko Antoniuszowi

43 Antoniusz, Oktawian i Lepidus tworzą triumwirat. Proskrypcje

42 Antoniusz zwycięża Brutusa i Kasjusza pod Filippi

41-40 Oblężenie Peruzji. Zawarcie umowy w Brundizjum. Antoniusz poślubia Oktawie.

Ostatnia wizyta Antoniusza w Rzymie

39 Triumwirowie zawierają umowę z Sekstusem Pompejuszem

36 Wojna partyjska Antoniusza. Ślub Antoniusza z Kleopatrą

34 Antoniusz podbija Armenię

32 Oktawian przygotowuje się do wojny przeciwko Antoniuszowi i Kleopatrze

31 Bitwa pod Akcjum

30 Ostatnie walki w Aleksandrii. Samobójstwo Antoniusza i Kleopatry

ROZDZIAŁ 1

– Nocna zawierucha przygasła, ale podmuchy górskiego wiatru ciągle smagały zimnem. Treboniusz wyciągnął mnie z teatru i zatrzymał w portyku jakąś opowieścią – o wielkim znaczeniu, jak twierdził a ciągnęła się ona tak długo, że zacząłem się nudzić i zamiast słuchać zabawiałem się, obserwując ładną dziwkę, która mimo wczesnej pory już uprawiała swój zawód. Jednym z moich niewielkich żalów jest, że w całym zamieszaniu, jakie zaraz potem nastąpiło, straciłem okazję zabawienia się z nią. Wyglądała na Syryjkę. Miała tajemnicze, przejryste, zuchwałe oczy. Nie potrzebujesz tego zapisywać, Krytiaszu.

Ale, jak widzicie, zapisałem. Zwykłem ignorować tego rodzaju prośby, gdy dyktuje on swoje pamiętniki, których trzy obszerne tomy już zakończył, ostatni dawno temu; wówczas los znacznie bardziej mu sprzyjał. Przestałem słuchać takich rozkazów kiedyś, gdy byłem bardzo zmęczony, a pióro zdawało się biec bez mojej woli. Jeśli brzmi to dziwnie, nic nie poradzę. Tak właśnie było. Przepisując potem notatki, albowiem używam pewnego rodzaju stenografii swojego własnego pomysłu, stwierdziłem, że to, czego nie chciałem, abym zapisywał, było równie interesujące, a może nawet mówiło więcej niż to, co chciałem, abym zanotował. Od owego czasu ufam więc swojej własnej intuicji, decydując, co powinienem zapisać, a czego nie. I przyzwyczailem się, jak zobaczycie, dodawać własne komentarze. Czasami można się w tym pogubić, gdyż nie zawsze jestem pewien później, czy coś sam pomyślałem, czy też on to powiedział. Co więcej, nasze sprawy wyglądają teraz tak źle, że... ale znowu jest gotów zacząć. Nie... nadal przemierza pokój jak lew w klatce. Wciąż wygląda jak lew, wciąż ma szlachetną postawę.

– Oczywiście Treboniusz został nasłany na mnie przez spiskowców – samozwańczych „wyzwolicieli”. Zrozumiałem to, gdy tylko podniósł się krzyk, a on chwycił mnie, zapewniając, że mnie samemu nie zagraża niebezpieczeństwo. Nie mogłem w to uwierzyć, wyrwałem się z jego uścisku i skoczyłem w tłum. Nie zamierzam opisywać całego tego zamętu; możesz to opracować później, Krytiaszu. Wystarczająco często słyszałeś, jak o tym opowiadałem, i przeczytałeś wystarczająco wiele relacji, aby móc zbudować z tego dramatyczną historię.

Akurat. Co najmniej po raz trzeci zaczyna mówić o tych strasznych idach marcowych, a przy żadnej z poprzednich okazji nie był w stanie kontynuować opowieści.

– Szczerze mówiąc, nawet bym nie mógł sam tego opisać. Nie widziałem nic, tak samo jak nic się nie pamięta z bitwy poza dziwnym błyskiem. Burzliwe wydarzenia są jak sen, bardziej żywy niż doświadczenie na jawie. A jednak niewiele z niego pozostaje w pamięci, gdy ów sen się kończy. Z tym było podobnie. Na marginesie, niech mi wolno będzie powiedzieć, że zawsze uważałem ludzi, którzy twierdzą, iż pamiętają swoje sny we wszystkich szczegółach – on sam oczywiście do nich należał – za kłamców. Oczywiście wszyscy kłamiemy, każdy na swój sposób i z różnych przyczyn. Oktawian kłamie, ponieważ jest do szpiku kości przeniknięty fałszem. Mógłby być równie dobrze Kreteńczykiem jak ty, Krytiaszu.

Skoro mój pan tak mówi...

– Powinni mnie także zabić, i to od razu. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego tego nie zrobili. Mysz Brutus – czyli Decymus, a nie Marek Juniusz, godny potomek szlachetnego Brutusa – opowiadał mi później, że Kasjusz nalegał, aby rąbnąć mnie wraz z Cezarem, ale jego kuzyn Mareczek, jak Mysz, gardząc nim, nazywał wyzwoliciela, dumnie odparł, że zabijają tyrana, a nie jego sługusów. „Wielkie dzięki” – powiedziałem. – „Ja sługusem?”.

„Tak właśnie Marek to ujął” – odparł Mysz, uśmiechając się od ucha do ucha.

„A co z tobą, Myszo? Po czyjej stronie stanąłeś w tej debacie?”.

„No cóż – rzekł Mysz – wiesz, że zawsze cię lubiłem i nawet próbowałem przeciągnąć cię na naszą stronę, ale byłeś pijany i nie sędzę, abyś rozumiał, co mówiłem. Ale teraz, no cóż, muszę przyznać, że zgadzałem się z Kasjuszem. Wyłącznie, mój drogi, z powodu szacunku, jaki żywię dla twoich zdolności”.

Niewątpliwie miał rację, Mysz nie był głupcem, nawet jeśli nie był człowiekiem tak byстрыm, za jakiego się uważał. Postąpiliby mądrze, mordując mnie wraz z Cezarem. Wkrótce dostarczyłem im powodów, aby żalowali, że tego nie uczynili. Ale nigdy też nie było czegoś równie głupiego jak ich spisek. Nie podjęli żadnych środków, aby przejąć władzę albo zapewnić sobie kontrolę nad miastem. Naprawdę zdawali się zakładać, że wraz ze zniknięciem Cezara Republika w naturalny sposób odzyska dawną równowagę. Potrafię zrozumieć, że Marek Brutus

myślał w ten sposób, ale Kasjusz? Poza wszystkim naprawdę nie był głupcem.

On... powinienem, jak sądzę, powiedzieć w tym miejscu coś o Cezarze.

– Wiele opowiedziałeś o nim w poprzednich tomach, panie. Zauważ, że było w tym sporo sprzeczności. Czy sądzisz, że potrafisz to tym razem uporządkować?

Trącił mnie w głowę.

– Nie bądź zuchwały, chłopcze.

Chłopcze! Mam blisko trzydzieści lat i mieszkam w jego domu od co najmniej piętnastu lat, a on ciągle nazywa mnie tak, gdy jest w dobrym nastroju, od czasu do czasu zaś także, gdy bywa zdenerwowany albo bredzi. Prawda wygląda tak, że jest sentymentalny, podobnie jak wielu Rzymian, chociaż daliby sobie raczej uciąć język, aniżeli przyznać się do tego. Mój umysł gardzi takimi zniewieściałymi emocjami, ale wyznaję, że jest to jedna z przyczyn, dla których mimo wszystko – oby nigdy tego nie przeczytał – kocham go. W pewien sposób.

– Cezar – powiedział i rzucił się na łożo, opróżnił puchar wina, który trzymał potem pusty w swych rękach. – Nikt, kto kiedykolwiek się z nim zetknął, nigdy mu nie uciekł. Był krętaczem – mężem wszystkich żon i żoną wszystkich mężów. Tak go ktoś nazwał w senacie. – Nie pamiętam kto – dowiesz się tego później, Krytiaszu. Była to prawda, ale na inny sposób, niż ją rozumiano. Uwielbiał roztaczać swój wdzięk, aby zdobyć nad kimś kontrolę, a następnie wykorzystywał to, co wywołał swym podbojem. Ale co to było? Miłość nie jest właściwym słowem. Nie sądzę, aby ktokolwiek naprawdę kochał Cezara. Może niektóre kobiety. Może Serwilia, matka Marka? Nie Kleopatra. Wykorzystywała go w swojej własnej grze. Nikt, kto go znał, nie kochał go. To nie było uczucie, jakie wzbudzał. Zwykli żołnierze? Może. Z pewnością starał się zdobyć ich miłość. Zyskał ich przywiązanie. Ale miłość? Nie sądzę. Krył się w Cezarze jakiś chłód, który wykluczał miłość. Może on naprawdę był bogiem? W końcu, Krytiaszu, nikt tak naprawdę nie może kochać boga, nie sądzisz? Obawiać się, otaczać czcią – tak, ale kochać – nie.

Byłem jednym z jego ludzi. Służyłem mu wiernie. Na polu bitwy wykonywałem jego rozkazy. Zyskałem zaszczyty i sławę u jego boku. A jednak jego śmierć nie zasmuciła mnie. Nie doznałem uczucia osobistej straty. Potrafiłem nawet zrozumieć, dlaczego inni, którym Cezar zaufał i których uznawał za lojalnych stronników, mogli posunąć się do zamordowania go. Ale

nie zmartwiłem się. To był raczej niepokój. Przeczuwałem grożące mi niebezpieczeństwo. Wyłączony ze spisku, ryzykowałem, że zostanę wyłączony z życia publicznego. W całym Rzymie wrzało. Stałem u stóp zwału ziemi, który groził zgnieceniem mnie. A jednak, nawet w pierwszym momencie, gdy ciało Cezara nadal leżało, drgając, we krwi, dostrzegłem dla siebie nową szansę. Za życia Cezara byłem skazany na odgrywanie podrzędnej roli. Teraz, gdy świat się zawalił, dlaczego nie miałbym skorzystać z okazji?

Uciekając ze sceny zbrodni, niepewny tego, co nastąpi, udałem się najpierw do mojego własnego domu i rozkazałem, aby poczyniono niezbędne przygotowania do obrony. Następnie posłałem ludzi, aby dowiedzieć się, co się dzieje na mieście. Byłeś wśród nich, prawda, Krytiaszu?

– W istocie byłem, panie – odparłem.

Po zabójstwie, świadom niebezpieczeństw grożących mojemu panu, nie mogłem zarazem nie ulec naturalnemu impulsowi i nie pochwalić tego czynu – albowiem, jako Grek, niech wolno mi będzie powiedzieć, zawsze odnosiłem się do tyranobójców z większą sympatią i, pochlebiam sobie, z większym zrozumieniem niż mój pan, gdyż uznawałem tyranobójstwo, zgodnie z naszym sposobem myślenia, za czyn prawy, wychwalany przez wszystkich filozofów i zasługujący na podziw. Podążając za tłumem na Kapitol, słyszałem, jak Marek Brutus wyjaśnia motywy spisku i ogłasza powrót Republiki. Przemawiał słabo. Byłoby zupełnie inaczej, mówiono później, gdyby zamiast niego wystąpił Cynceron, ale spiskowcy nie zdecydowali się na wtajemniczenie go w swój plan. Dlatego stracono sposobność.

Jeśli idzie o tłum, okazał ponure niezadowolenie. Rzymski plebs stanowi zdegenerowaną rasę ludzi. Żyją dla przyjemności i mają mentalność, która szuka pana, aby płaszczyć się przed nim. Pozbawiona inteligencji i zdolności refleksji, ich natura wydaje się usprawiedliwiać dożywotnią dyktaturę, jaką ustanowił Cezar. W rezultacie mogłem donieść mojemu panu, że ze strony ludności miasta nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

– Kalpurnia. Żona Cezara. Suka pierwszej wody, neurotyczna, wymagająca i ze wstrętnym językiem. „Gdyby mnie posłuchał, nigdy nie poszedłby do senatu. Miałam takie straszne sny. Ale on kpił z nich. Wszystko musiał wiedzieć najlepiej. Jestem tylko kobietą, tylko jego żoną. Nigdy mnie nie słuchał. I dlatego nie żyje. No cóż, mam nadzieję, że dostał nauczkę”.

Z przyjemnością stwierdziłem, że nie potrzebuje pociechy. Nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać. Jej oburzenie zupełnie przytłumiło wszelki żal, jaki mogła odczuwać. Nie straciłem więc na nią wiele czasu. Zapewniłem, że nie musi się martwić o swoje bezpieczeństwo osobiste, które ja jej zagwarantuję, i bezzwłocznie zająłem dokumenty prywatne i sekretarzyk Cezara. Oświadczyłem, że występuję zarówno jako przyjaciel Cezara, jak i w oficjalnej roli konsula. Tak się składa, że nie miałem najmniejszego pojęcia, czy jako konsulowi wolno mi działać w ten sposób, ale byłem pewien, że Kalpurnia również tego nie wie. W każdym razie nie wyrażała zainteresowania tą sprawą. Miała tylko dwa życzenia, jak powiedziała. Po pierwsze, abym dopilnował ukarania zabójców Cezara. I po drugie, abym wyrzucił natychmiast z Rzymu „tę egipską ladacznicę”, jak zwykła nazywać królową Egiptu. Nie spierałem się z nią ani nie powiedziałem jej, że nie jestem w stanie uczynić ani jednego, ani drugiego. Nie wiedziałem zresztą, czy w moim interesie będzie leżeć podejmowanie jakichkolwiek prób w tej sprawie. Kalpurnia nie była kobietą, do której docierałyby argumenty rozumowe. Gdy wychodziłem, zapytała:

„Ile ran mu zadano?”.

„Niestety, nie wiem, dokładnie”.

„Podobno dwadzieścia trzy. A wszystko przez to, że nie słuchał, co do niego mówiłam”.

Wysłałem pisma do niektórych przyjaciół Cezara czy też jego stronników, aby przybyli na spotkanie ze mną do mojego domu. Gdy wróciłem, czekało na mnie trzech. Pierwszym był Balbus, bankier, jeden z niewielu ludzi, którym Cezar ufał bez zastrzeżeń. Zwykł mawiać, że pożyczka od Balbusa od tak dawna, że niedorzecznością byłoby mieć przed nim jakiegokolwiek tajemnice. Teraz bankier siedział i patrzył na mnie z rezerwą człowieka, który wie już o najgorszym.

Drugim był Aulus Hircjusz, wyznaczony wraz z Wibiuszem Pansą Cetronianusem na stanowisko konsula na rok następny. Obaj należeli do *homines novi*, czyli osób, którymi arystokratyczni zabójcy Cezara najbardziej pogardzali i których nienawidzili. To raczej, aniżeli ich lojalność wobec Cezara, dawało mi gwarancję, że pójdą za mną. Zdecydowałem już, że zmuszę senat do uznania uczynionych przez Cezara nominacji na urzędy za obowiązujące, ale wiedziałem zarazem, że Hircjusz będzie się niepokoił o to, czy rzeczywiście przyjdzie mu się cieszyć z przybiecanego konsulatu, który stanowił szczyt jego ambicji i nobilitację dla całej rodziny.

Trzecia osoba czekająca na mnie miała osobiście najmniejsze znaczenie, ale ze względu na zajmowane stanowisko ją właśnie najbardziej chciałem związać ze sobą. (Myślałem już, przynajmniej od pewnego czasu, w tych kategoriach). Był to Marek Emiliusz Lepidus. Dobrze urodzony, przystojny, niegłupi, ale zupełnie pozbawiony pewności siebie. A to dlatego, że był świadom zarówno swego wybitnego pochodzenia, jak i swej niezdolności dorównania najwyższym cnotom swoich przodków. Albowiem, chociaż wcale nie głupiec, cierpiał na chroniczny brak wiary we własny rozum, który z kolei psuła jego niezdolność do widzenia jakiegokolwiek wydarzenia w takim aspekcie, w jakim ono go dotyczyło. A jednak w tamtym momencie osoba Lepidusa miała ogromne znaczenie, gdyż jako dowódca jazdy Cezara dowodził jedynymi oddziałami wojskowymi, znajdującymi się w okolicach Rzymu.

„Muszę ci pogratulować – zwróciłem się do niego – twej wierności, Lepidusie. Nie mam cienia wątpliwości, że spiskowcy dołożyli wszelkich starań, aby przeciągnąć na swoją stronę takiego człowieka, zważywszy na twą powagę i znaczenie piastowanego przez ciebie urzędu”.

„Nic z tych rzeczy – odparł. – Czy sądzisz, że Cezar zginąłby z pięćdziesięcioma ranami w ciele, gdybym żywił najsłabsze podejrzenie, iż planuje się tak potworną zbrodnię?”

Chociaż spostrzegłem, że Balbus uniósł brew, powstrzymałem się przed stwierdzeniem, iż Lepidus musiał być jedynym człowiekiem w Rzymie – włączając w to samego Cezara – który nie przeczuwał ani nie podejrzewał niczego. Zauważyłem natomiast, że jego niewiedza jest kolejnym świadectwem jego uczciwości, albowiem pokazuje, że spiskowcy wiedzieli dobrze, iż nie ma sensu próbować go skaptować.

„Też tak myślę – rzekł. – I pozwólcie mi dodać jeszcze jedno. Gdy dowiedziałem się o tym najstraszliwszym mordzie, w pierwszym odruchu chciałem wysłać moje oddziały do budynku senatu i nakazać aresztowanie łajdaków. Żałuję, że nie uległem temu odruchowi, jako że pałam żądzą pomśzczenia Cezara”.

„To pragnienie przynosi zaszczyt twemu szlachetnemu sercu” powiedziałem.

Ale nie twojemu zdrowemu rozsądkowi, pomyślałem.

Oczywiście schlebiałem Lepidusowi, ale niech mi wolno będzie dodać, że chociaż czyniłem to, i zarazem często szydziłem z niego, odczuwałem dla niego pewien szacunek. Stanowił przykład doskonale staroświeckiego rzymskiego arystokraty, wierzącego, jak niewielu z nas, że każdy jego czyn służy dobru Republiki! Gdyby był inny, niż był, zrobiłby, jak powiedział; skierowałby swe oddziały na Kapitol i zniszczył zabójców Cezara. Dałoby mu to władzę równą

tej, jaką mieli Cezar albo Sulla.

I tak to w niecałą godzinę zapewniłem sobie pieniądze, oddziały i, co najważniejsze, powszechne poważanie. Jako konsul mogłem sprawować władzę. Poparcie Hircjusza i Lepidusa rozszerzyło moje możliwości. Bez względu na to, czy zdecydowałbym się wystąpić przeciwko zabójcom Cezara, czy spróbować polityki pojednania, wiedziałem teraz, że będę w stanie działać z pozycji siły. Tak, pomyślałem, popełnili błąd, pozostawiając mnie przy życiu. Powinni mnie byli przynajmniej uwięzić. Świadomość braku zdolności przewidywania z ich strony cudownie dodawała otuchy. Sam nie musiałem zrobić nic więcej niż sprowokować ich. Zyskawszy sobie poparcie, czego właśnie dokonałem, mogłem paktować z nimi jak równy i pokazać, że jestem ich panem.

Przerwał i kazał przynieść niewolnikowi więcej wina. Niemal na pewno oznacza to koniec logicznego dyktowania na dzień dzisiejszy. Nie przyzna się do tego, ale nie może już pić jak dawniej. To interesujące, co mówi o Lepidusie. Prawda jest taka, że Antoniusz i Oktawian wykorzystali tego arystokratycznego cymbała, a potem odsunęli go na bok, gdy spełnił swoje zadanie. Mój pan zawsze czuł się winny z tego powodu. Nie wyobrażam sobie natomiast, aby Oktawian odczuwał najmniejsze wyrzuty sumienia.

ROZDZIAŁ 2

Myślę, że jest dobrym pomysłem, abym przedstawił te brzemienne w skutki wydarzenia tak, jak ja je widziałem. Ostatecznie żyłem w domu Antoniusza przez wszystkie te lata i przez większość czasu pełniłem funkcję jego sekretarza. Jest niewielu ludzi, którzy wiedzą więcej niż ja o podszewce rzymskiej polityki, i warto, abym utrwalił to, czego się nauczyłem, i wydał swój własny sąd. Nie przypuszczam w końcu, abym miał jakąkolwiek przyszłość. W istocie poczyniłem już przygotowania, aby zniknąć gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Choć nie jestem osobą ważną, nie mam najmniejszego zamiaru zaufać Oktawianowi.

Jesteście zapewne ciekawi mojej osoby. Krąży historia, że jestem, czy raczej byłem, jednym z tych dwóch pięknych chłopców, których Antoniusz, jak powszechnie wiadomo, kupił za osiem talentów, aby usługiwali mu w czasie przyjęć. To oszczerstwo albo potwarz, chociaż jest całkowitą prawdą, że jako chłopiec, młodzieniec i młody mężczyzna uchodziłem za niezwykle piękność. (Nadal zresztą jestem bardzo przystojny). Nigdy jednak nie byłem niewolnikiem. Mój ojciec, wyzwolieniec, służył w sekretariacie ojczyma mojego pana, zuchowatego acz rozpustnego Publiusza Korneliusza Lentulusa Sura, który nierozważnie wplątał się w tak zwany spisek Katyliny (od którego sam Cezar nie był wcale bardzo odległy) i został skazany na śmierć (przez uduszenie) bez procesu na rozkaz Cyncerona, konsula owego roku. Mój pan bardzo lubił swego ojczyma, który dostarczył mu atrakcyjnego wzorca, albowiem młodzi arystokraci lgną do hulaszczego życia równie naturalnie, jak osy do garnka z miodem, i nigdy nie wybaczył Cynceronowi niezgodnego z prawem i obowiązującymi zasadami ustrojowymi sposobu, w jaki ten kazał zgładzić Surę jako wroga ojczyzny. Często słyszałem, jak rozwodzi się nad tym, ilekroć Cynceron przedstawiał się jako obrońca praworządności, słuszności, wolności i cnoty.

Ze względu na szacunek dla zamordowanego ojczyma, co oczywiste, mój pan rozciągnął swą młodzieńczą wspaniałomyślność i patronat na członków domu Lentulusa. I w ten sposób mój ojciec znalazł się na jego służbie, a ja sam, dorastając, dołączyłem do niej, zwłaszcza, że wkrótce zwróciłem na siebie uwagę mojego pana dowodami inteligencji i rozsądku, jakie dałem. (Nie zawsze, a w każdym razie raczej rzadko odnaleźć je można w jednej osobie – jeszcze rzadziej zaś połączone z urodą i wdziękiem, jakie ja posiadałem). Stałem się więc jako dziecko ulubieńcem mojego pana – chociaż wcale nie, wbrew temu, co na ten temat mówiono, jego katamitą –

a następnie najbardziej zaufanym sekretarzem.

Powinno to wystarczyć za moje listy uwierzytelniające.

Rzymianie mają obsesję, w stopniu, który nam Grekom wydaje się dziwaczny, na punkcie pochodzenia i koligacji rodzinnych. Rodzina mojego pana była wybitna. Chociaż Antoniusze byli z pochodzenia plebejuszami, należeli od wielu pokoleń do arystokracji. Dziadkowi mojego pana, również Markowi Antoniuszowi, przyznano prawo do triumfu – najbardziej zaszczytne wyróżnienie, jakie mógł uzyskać Rzymianin – mniej więcej siedemdziesiąt lat temu. Zdobył wielką sławę jako mówca i obrońca sądowy, a także jako dowódca wojskowy, zanim swego oddania dla Republiki nie przypłacił życiem w czasie wojny domowej między Mariuszem i Sullą. Taki był przynajmniej pogląd rodziny. Moim zdaniem, błędnie ocenił sytuację i znalazł się w niewłaściwym miejscu po niewłaściwej stronie w niewłaściwym czasie.

Wuj mojego pana, Gajusz Antoniusz, był także, jak mi opowiadano, zamieszany w spisek Katyliny, ale wyznaję, że nie znam związanych z tym szczegółów. Trzymał się podobno z boku i przezornie nabawił się ataku podagry w kluczowym momencie. W wyniku tego – przypuszczam, że na podstawie jakiejś umowy z Cyncerem otrzymał namiestnictwo Macedonii, gdzie zdzierstwa, jakich się dopuszczał, wywołały gniew mieszkańców prowincji, którzy poskarżyli się na niego w Rzymie. Gajusz Antoniusz nie zdołał też obronić prowincji przed atakami barbarzyńskich plemion z północy. W rezultacie jego kariera zakończyła się niesławą i wygnaniem na wyspę Kefallenia. Ale słyszałem, jak mój pan dobrze się o nim wyrażał. Nazywano go Kwadrigariusem, ponieważ kierował czterokonnym rydwanem w czasie triumfu Sulli. Najwyraźniej zawsze lubił skupiać na sobie uwagę, a gdy oskarżono go także o nadużycia w prowincji Achaja – tym straszliwie wyzyskiwanym i pięknym kraju – podobno usprawiedliwiał się, twierdząc, że jego długi były tak ogromne, iż nie miał innego wyjścia. Jakkolwiek sprawy się miały, na jakiś czas usunięto go z senatu.

Zatrzymałem się nad jego karierą, ponieważ Gajusz Antoniusz przypominał swoimi złymi nawykami mojego pana, nie posiadając zarazem żadnej z jego cnót. A jednak mój pan uwielbiał go, zapewne z powodu jego doskonałego egoizmu.

Większe znaczenie miała jednak matka mojego pana, Julia, córka Lucjusza Juliusza Cezara. Była trzecią czy czwartą kuzynką dyktatora. Rzymianie przywiązują wielką wagę do takich związków, które my, Grecy, mniej dbając o tego rodzaju szczegóły, a zwracając raczej uwagę na wartość jednostki, uznajemy za zbyt dalekie, aby miały one jakiegokolwiek znaczenie. Jej ojciec,

Lucjusz Juliusz Cezar, był człowiekiem w pewien sposób wybitnym. Po tak zwanej wojnie sprzymierzeńczej, którą Rzym toczył ze swymi italskimi sprzymierzeńcami (socii), opracował ustawę, nazwaną jego imieniem, przyznającą im pełne prawa obywatelskie, chociaż obwarował ją takimi warunkami, że zaledwie nieliczni mogli w praktyce z niej skorzystać, gdyż ich głosy się nie liczyły – typowy przykład rzymskiej szykany, jeśli chcecie mojej opinii.

Julia była straszna i wierzę, że mój pan zawsze się jej w pewien sposób bał. Nie ma cienia wątpliwości, że trzymała rodzinę i dom w garści. W gruncie rzeczy zresztą musiała. Obydwaj jej mężowie okazali się ludźmi rozrzutnymi i nierozważnymi, a przy tym pozbawionymi rozumu. Jest z pewnością zasługą twardego jak skała charakteru jego matki, że mój pan wyrósł na wielkiego człowieka w pełnym chaosie – rzekłbym, przestępczym – świecie wojen domowych, proskrypcji i degeneracji moralnej. Nie jestem zresztą pewien, czy kiedykolwiek do końca wyzwolił się spod wpływu Julii. Świadectwem tego nieszczęsna skłonność mego pana do wiązania się z kobietami o niezwykle silnej osobowości – straszną Fulwią, jego drugą żoną, o której więcej (i nic miłego) opowiem później, i oczywiście samą królową, czyli Kleopatram, która niewątpliwie stała się złym duchem tego biedaka.

A jednak, chociaż mój pan szanował swą matkę i bał się jej, miał w sobie zarazem zbyt wiele życia, zbyt bujną naturę, aby się jej podporządkować, jak Marek Brutus podporządkował się surowej Serwili (nie zawsze zresztą była taka surowa – dowodem tego jej długi romans z Cezarem. Wiedzano o tym tak dobrze, że wielu twierdziło nawet, iż Brutus jest synem Cezara. Jeśli nim był naprawdę, pogląd, że syn dziedziczy cechy swego ojca, brzmi niedorzecznie!).

Ale mój pan w swej sławnej młodości z pewnością postępował w sposób sprzeczny z życzeniami swej matki – wyrywał się spod kontroli, jak mówią Rzymianie. Związał się z grupą najbardziej rozwydrzonych młodych arystokratów, którzy skupiali się wokół pięknego i gwałtownego Publiusza Klodiusza Pulchra. Klodiusz miał magnetyczną osobowość. Wśród tych, których przyciągnął, oprócz mego pana znajdował się poeta Gajusz Waleriusz Katullus (z nim Pulcher dzielił się swą siostrą Klodią), Gajusz Salustiusz Krispus (ten „przeżył metamorfozę” i pisze teraz gorzką, moralistyczną historię) oraz Gajusz Skryboniusz Kurion, późniejszy trybun; próba jego aresztowania przyspieszyła zapewne wojnę domową, którą rozpoczęła inwazja Cezara na Italię.

Ów Kurion był najukochańszym przyjacielem mego pana i, nie mam najmniejszej wątpliwości, w pewnym okresie również jego kochankiem. Z pewnością byli nieodłącznymi

kompanami dzielącymi upodobanie do szalonych nocy, pijackich hulanek, rozpustnych kobiet i chłopców. W niedługim czasie obaj popadli w ciężkie długi i ojciec Kuriona, człowiek staroświecki, nadęty i zrzędlawy, zabronił im dalszej znajomości. Oczywiście zakaz sprowokował ich do dalszych wybryków i przynajmniej przy jednej okazji mojemu panu udało się, uniknąwszy straży, zakraść się przez dach do domu Kuriona i – niewątpliwie – do jego łóżka. Ale naturalnie wszystko to wydarzyło się wiele lat wcześniej, zanim zacząłem służyć mojemu panu, i dlatego mówię o tych sprawach, nie mając o nich osobistej wiedzy, do jakiej mogę się odwołać, opowiadając o późniejszych wydarzeniach.

Dobrze wiem wszakże, że kiedy Klodiusz spowodował wygnanie Cyncerona pod zarzutem niezgodnego z prawem skazania na śmierć uczestników spisku Katyliny, a wśród nich ojczyrna mojego pana, mój pan i Kurion znaleźli się wśród tłumu zapaleńców, którzy spalili dom Cyncerona. Warto o tym pamiętać, rozważając nikczemne ataki, jakie urządzał na mojego pana Cynceron w ostatnich latach swojego życia.

A jednak zadziwiającą rzeczą w przypadku tych młodych rzymskich arystokratów – czy przynajmniej pokolenia mojego pana, gdyż, jak sobie wyobrażam, sprawy mogą wyglądać inaczej w przyszłości, którą Oktawian przygotowuje dla miasta – jest, że ich upodobanie do hulaszczego życia nie przeszkadza im w równie intensywnej działalności politycznej.

Weźcie choćby Klodiusza. Powiedzielibyście, że żył wyłącznie dla przyjemności. Wątpię na przykład, czy nawet zanim osiągnął pełnoletniość i wdział toga ririlis, choćby jedną noc spędził w łóżku samotnie.

Gdyby ustawić w szeregu jego kochanków obojga płci, ciągnąłby się on na długość Circus Maximus. (Nie wątpię, że znajdowałby się wśród nich mój pan). Co więcej, jak wiem z dobrego źródła, Klodiusz niemal nigdy nie trzeźwiał, nawet jeśli należał do tych szczęśliwców, którzy rzadko dają się do końca ujarzmić przez wino. Na niektóre z jego eskapad żaden trzeźwy człowiek by sobie nie pozwolił. Na przykład przebrał się za kobietę i przeniknął na święte obrzędy Wielkiej Bogini, w których mężczyźni nie mogą w ogóle uczestniczyć. (Przeniknął także niektóre z celebrantek, jak słyszałem. Znajdowała się wśród nich nawet pierwsza żona Cezara). A jednak ten rozwydrzony chłopak, który nie tylko dopuścił się kazirodztwa ze swą własną siostrą, ale nawet stręczył ją innym, stał się mistrzem ulicznej polityki, uwielbianym przez tłum, tak wpływowym, że nie tylko wypędził z miasta Cyncerona, ale wzbudzał strach potężnego Pompejusza. A kiedy został zamordowany w ulicznej burdzie przez bandę, którą kierował

Anniusz Milon, zięć dyktatora Sulli, tłum ogarnęła taka wściekłość, że w czasie pogrzebu Klodiusza doszło do rozruchów – w ich trakcie spłonął budynek kurii.

Mój pan często mówił o swym zamiłowaniu do ulicznej polityki. Czasami myślę, że w rzeczywistości kojarzyła się mu ona z czasami jego szalonej młodości. Ale odznaczał się zbyt bystrą inteligencją i ambicją – cechami, które pobudzają Rzymian bardziej niż wszystkich innych – aby na tym poprzestać. Wiedział, że jest stworzony do wyższych celów, i miał aspiracje stać się godnym swego przeznaczenia. W wieku lat dwudziestu pięciu opuścił Rzym, aby studiować wymowę w najlepszych szkołach w Grecji. Potem przyjął zaproszenie Aulusa Gabiniusza, prokonsula Syrii, i przyłączył się do jego sztabu. Gabiniusz, chociaż Cyceron z właściwą sobie delikatnością określił go jako „plugawego sępa”, był człowiekiem o wybitnych osiągnięciach i wielkiej godności. Najpierw stronnik Pompejusza, w okresie wojny domowej przystał do Cezara i zginął w Ilirii. Mój pan zawsze się dobrze o nim wyrażał.

Jako jego oficer, dowodząc jazdą, mój pan stłumił bunt w Judei, a następnie zaangażował się w wojnę w Egipcie. Jest jakaś szczypta ironii w tym, że Egipt stał się alfą i omegą jego kariery! Ptolemeusz XI Auletes (czyli Fletnista), który otrzymał tytuł „przyjaciela i sprzymierzeńca ludu rzymskiego”, stracił tron w wyniku buntu w Aleksandrii, gdzie uczyniono królową Berenikę, jedną z jego córek. Naturalnie Ptolemeusz zwrócił się o pomoc do senatu, ale to czcigodne ciało obawiało się powierzyć jakiegokolwiek wodzowi dowództwo, które mogło oddać do jego dyspozycji potęgę i bogactwo Egiptu – tak zepsuta i dekadentka stała się Republika, tak kaleka pod względem ducha publicznego jego arystokracja! Mało tego, ogłoszono nawet, że odkryto stare księgi sybillińskie, zabraniające przywrócenia na tron władcy egipskiego siłą. Ptolemeusz, zgrzytając zębami, jak mówią, odwołał się w tej sytuacji do Gabiniusza jako prokonsula rzymskiego, sprawującego dowództwo nad oddziałami wojskowymi znajdującymi się najbliżej Egiptu.

Gabiniusz miał dość zdrowego rozsądku, aby zlekceważyć śmieszne i z całą pewnością sfabrykowane przepowiednie. Patrzył z większą sympatią na dziesięć tysięcy talentów, jakie obiecał mu Ptolemeusz. Jego zapał wojenny wzmocniły jeszcze bardziej nalegania mojego pana.

Marsz z Judei był, jak powszechnie wiadomo, trudny i niebezpieczny, albowiem należało pokonać bezwodną pustynię, na której przepadło wiele armii, a następnie przejść przez ohydne bagna Serbonis, których odór i stojący szlam, wedle zabobonnych Egipcjan, stanowi emanację Seta, jak nazywają oni greckiego Tyfona, sprawcę wszelkiego zła, straszego potwora – to jego

wszechmocny Zeus strącił do Tartaru. Sam jednak tam byłem i uważam, że zapachu, z pewnością nieprzyjemnego, nie wywołuje przyczyna bardziej zadziwiająca niż ścieki Morza Czerwonego, które oddziela tam od Morza Śródziemnego jedynie mały przesmyk lądu.

Mój pan pokonał ów lądowy pomost i zajął Peluzjum. Ptolemeusz chciał urządzić rzeź obywateli, aby ukarać ich za udział w buncie. Ale mój pan na to nie pozwolił. W ten sposób od swojej pierwszej bytności w Egipcie zyskał sobie szacunek ludzi swą szlachetnością i łagodnością. Wkrótce Aleksandria także została zajęta, w wyniku akcji, w której mój pan znowu wyróżnił się odwagą i inteligencją, a potem, chociaż nie był w stanie powstrzymać Ptolemeusza przed zgładzeniem Archelaosa, męża Bereniki, urządził ofierze tak wspaniały pogrzeb, że jeszcze bardziej zdobył sobie serca mieszkańców.

Czy mój pan spotkał wtedy Kleopatę, młodszą siostrę Bereniki?

Mówiono, że tak, że go uwiodła, chociaż miała dopiero dwanaście lat. Ale wątpię w to, choćby dlatego, że źródła tej opowieści są podejrzane, a puściła ją najpierw w obieg, jak sądzę, druga żona mojego pana, Fulwia, gdy byli ze sobą w złych stosunkach. Wszyscy wiedzą, że język Fulwii przypominał pocałunek żmii.

Z Egiptu mój pan trafił do sztabu Cezara i służył w Galii, a wszystko to wraz z historią wojny domowej przeciwko Pompejuszowi i optymatom oraz wydarzeniami prowadzącymi do zabójstwa Cezara wiernie opisałem w ostatnim tomie pamiętników, które on, bardziej wytrwale niż teraz, mi dyktował.

ROZDZIAŁ 3

Wygląda na zmęczonego, a jego oczy zaszyły krwią. Jego ręka drży i nie przestanie, zanim nie opróżni on dwóch pucharów wina. Ale znowu jest w nastroju do dyktowania. Przypuszczam, że to rodzaj ucieczki.

– Cyceron rzekł w senacie: „Czy ktokolwiek poza Antoniuszem żałował śmierci Cezara?”. Stary głupiec – jak mógł sądzić, że żałowałem?

Sprawą pilną było osiągnięcie jakiegoś porozumienia z zabójcami. Zajęło mi trochę czasu wbicie tego pomysłu do głowy Lepidusa.

Moim pierwszym posunięciem było poinstruowanie Lepidusa, aby umieścił trzy kohorty legionistów na Forum Romanum i wzmocnił strażę u bram miasta. Wyzwoliciele, jak zauważyłem, rozumieją, że Rzym stał się ich więzieniem. Następnie kazałem mu wysłać pisma do przywódców spisku z wyjaśnieniem, że owe środki podjął wyłącznie dla przeciwdziałania nieporządkowi i zapobieżenia rozruchom. W rzeczy samej nie było to całkiem nieprawdą. Niebezpieczeństwo rozruchów istniało. Dzień czy dwa później otrzymałem raporty, że jakiś osobnik zamierza ogłosić się wnukiem dawnego przywódcy popularów Gajusza Mariusza oraz wezwać obywateli do powstania i pomszczenia Cezara przez wymordowanie arystokratycznych pasożytów, którzy go zabili. Nie mogłem na to pozwolić. Może nadejdzie czas, gdy będę potrzebował tłumu, ale powstanie on jedynie na mój rozkaz. W każdym razie, jak wszyscy rozsądni ludzie, bałem się rozruchów. Nigdy nie wiadomo, jaki przyjmą obrót. Tego właśnie Klodiusz nigdy nie zrozumiał, co doprowadziło do mojego zerwania z nim.

Aby więc uniknąć problemów, kazałem zgładzić tamtego bezczelnego oszusta. Przypuszczam, że naprawdę był oszustem.

(Słyszałem, nawiasem mówiąc, inną wersję krótkiej zresztą kłótni mojego pana z Klodiuszem. Według niej, miał on romans z Fulwią, która była wówczas zamężna za Klodiuszem. Muszę wyznać, że w to nie wierzę – nie w romans, to brzmi całkiem wiarygodnie – ale że stał się powodem kłótni. Wszystko, czego dowiedziałem się o Klodiuszu, przekonuje mnie, że kichał na to, kto sypia z jego żoną, tak długo, jak długo miał swego towarzysza łoża. A kiedy

go nie miał?).

– Jako konsul zwołałem posiedzenie senatu na następny dzień (17 marca – sprawdź to, chłopcze) w świątyni Tellus. Budynek senatu nie wchodził oczywiście w grę, a uznałem za taktowne nie używać znowu teatru Pompejusza. Mimo że odczuwałem pokusę – nie będę zaprzeczał, iż byłoby zabawne zobaczyć, jak Marek Brutus głosi swą cnotę w miejscu, w którym zasztyletował Cezara.

Wysłałem potem zaproszenie dla Myszy Brutusa i jego teścia Kasjusza na wieczerzę u mnie, zadbawszy o to, aby Lepidus wystosował podobne zaproszenie do Marka i Metellusa Cymbra. „Jest rzeczą konieczną – oświadczyłem – aby załatwić sprawy w porządnym i zgodnym z prawem sposób”.

Mysz zjawił się pierwszy, tak jak się tego spodziewałem, gdyż jest urodzonym intrygantem. Robiąc mu na złość, powiedziałem, że nie sądziłem, iż może być takim głupcem.

„Z tonu twego listu wywnioskowałem, że oszczędzimy sobie wzajemnego obwiniania się” – odparł.

„Myszo, Myszo – westchnąłem – czy naprawdę przypuszczasz, że czyny da się uwolnić od konsekwencji?”.

Zarumienił się, a ja, współczując mu, uszczypnąłem go w policzek.

„Zawsze oczywiście byłeś o niego zazdrosny – rzekłem – a Kasjusz miał wobec niego kompleksy. Mimo wszystko jestem zaskoczony, że dałeś się wciągnąć w taką partacką aferę. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że zawiść, jaką odczuwa Kasjusz, jest wrogiem rozsądku. Sądziłem, że masz więcej rozumu”.

„Dziękuję ci – odparł. – Sprawy zostałyby lepiej załatwione, gdyby posłuchano mojej rady”.

„Chodzi ci o to, że również bym zniknął?”.

„Chodzi mi o to, mój drogi, że zostałbyś usunięty ze sceny”.

Wtedy zjawił się Kasjusz, chudy, pełen podejrzeń, uszczypliwy, zaledwie trochę uspokojony obecnością Hircjusza. Na widok Myszy Brutusa Hircjusz nie mógł powstrzymać się od łez.

„Jak mogłeś? – powtarzał bez końca. – Cezar kochał cię bardziej niż kogokolwiek innego”.

Rzeczywiście, Cezar rozpościerał się niczym całun pogrzebowy nad zgromadzeniem. Zarówno Kasjusz, jak i Mysz zachowywali się powściągliwie.

„Dobrze wiecie – rzekłem, aby ich rozruszać – że jesteście w moich rękach, czyż nie?”

Mógłbym kazać zrzucić was ze Skały Tarpejskiej, a tłum wyłby z radości. Nie sądźcie, że nie stać mnie na to. I pamiętajcie, że jako konsul, dowodzę wojskami”.

„Wraz z Dolabellą” – wtrącił Kasjusz.

Uśmiechnąłem się. Wszyscy wiemy, że Dolabella nie jest wart funta kłaków. (Upiększ trochę ten fragment, dziecko).

„Jest jeszcze Lepidus – dodał Kasjusz. – Wiem, że głosi teraz swe oddanie dla Cezara, i jestem pewien, iż przysięga zemstę, ale myślę, że mógłbym go skłonić do śpiewania innej piosenki”.

„Jestem pewien, że mógłbyś – odparłem. – Mimo wszystko sfuszerowaliście”.

„Niezupełnie. Cezar nie żyje”.

„A wasze życie jest w moich rękach. – Roześmiałem się, podałem im wino, ale nie chcieli pić. – Odczuwam pokusę – rzekłem, napelniając swój kielich i opróżniając go. – Ale na czym polega problem? Oto Mysz jest moim serdecznym przyjacielem z dawnych lat i to ma pewne znaczenie. Cenię sobie przyjaźń. – Rozłupałem orzecha. Oczywiście mógłbym to zrobić, ot, tak właśnie, ale trzeba wam wiedzieć, że w jednym punkcie zgadzam się w zupełności z nieżyjącym, nieodżałowanym wodzem. Nie mam zamiaru naśladować Sulli. Jego przykład jest wstrętny. A więc żadnych proskrypcji. Zbyt wiele krwi przelano w naszym pokoleniu. Zdradzę wam sekret. Miałem obawy co do kierunku, w jakim zmierzał Cezar. Owa planowana przez niego wyprawa partyjska – cieszę się, że mi jej oszczędzono. Lecz pozostałem mu wierny. W odróżnieniu od was. Tyrania jest zła, ale wojna domowa jeszcze gorsza. No cóż, uwolniliście nas od tyrana, gdyż za takiego go uważaliście. Pytanie brzmi: jak uniknąć teraz wojny domowej? Czy macie jakiś pomysł?”.

Kasjusz poruszył się. Nie mógł pozostawać długo w jednej pozycji, miał zbyt chudy tyłek. Pociągnął nosem – był typem człowieka, który zawsze ma katar i soplek na końcu nosa.

„Jesteś obłudny – powiedział. – Nie mogę uwierzyć w twoją szczerość. Trudno mi ci zaufać”.

„Może będziesz musiał – rzekłem. – W gruncie rzeczy nie masz wyboru”.

Wtedy poruszył kwestię Luperkaliów, gdy ofiarowałem Cezarowi koronę. Byłem gotów zrobić to dla niego, a teraz miałem gotową odpowiedź: że to był pomysł Cezara, a ja wyraziłem nań zgodę, ponieważ dlaczego by nie? Nie miał na to odpowiedzi, i nic w tym dziwnego, skoro nie mogłem naprawdę wyjaśnić tego samemu sobie. Jest to jeden z tych nielicznych faktów

w moim życiu, których naprawdę się wstydzę. Przynosi ujmę komuś, kto wywodzi się od Heraklesa. Oczywiście, jak powiedziałem Myszy, byłem pijany. Mimo wszystko... to była jedna z okazji, gdy zachowałem się służalczo wobec Cezara, i dlatego się upiłem. Nie mogłem stawić czoła temu, do czego zmusiła mnie jego wola. I dlatego pomiąłem sprawę milczeniem mimo świadomości, o czym obaj wiedzieli, że ośmieszyłem się przy tamtej okazji. No cóż, mogłem zrobić z tego użytek. Jeśli wspomnienie o moim występie na Luperkaliach kazało Kasjuszowi myśleć o mnie z pogardą, powinien za to zapłacić. Jak potem z bólem sam odkryłem, nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż niedoceniać własnych wrogów.

Zanim jednak wyszli, nakreśliłem moje plany dotyczące Republiki.

„Wystarczą – rzekł Mysz – jeśli jesteś szczerzy”.

„Zaufaj mi”.

Senat zebrał się w atmosferze niepokoju. Na dworze padało i słychać było odgłosy piorunów.

Tyberiusz Klaudiusz Neron, potomek niezliczonych konsulatów (choć, jak przypuszczam, akurat on potrafił ich wyliczyć, albowiem wymieniał nieprawdopodobną liczbę nazwisk, aby uzasadnić fakt, że zawsze pierwszy przemawia w senacie), zaproponował „publiczne i przykładowe zaszczyty dla szlachetnych tyranobójców”. Dreszcz obawy przebiegł przez zgromadzenie. Zebrani nie mogli zapomnieć, że legioniści Cezara stoją nadal na Forum. Rozległy się nerwowe oklaski i trochę gwizdów ze strony przyjaciół Cezara albo tych, którzy byli wystarczająco czujni, by zdawać sobie sprawę, że mądrze jest być cezarianinem. Opanowałem rozbawienie.

Skoro jednak nie było moją intencją, aby zebranie zakończyć w niezgodzie albo sprowokować kłótnie polityczne, wstałem, chcąc uspokoić izbę. „Ani zaszczyty, ani kara” – rzekłem i spojrzałem w oczy najpierw Kasjuszowi, a następnie Cynceronowi. Cynceron odwrócił wzrok.

„Czcigodni senatorowie – ciągnąłem – musimy mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy. Cezar nie żyje. Okoliczności jego śmierci można uznać za dobre lub złe, za szczęśliwe lub katastrofalne. Jest to sprawa zapatrywań i usilnie namawiałbym was, abyście zachowali swoje opinie na ten temat dla siebie. Albowiem jakie korzyści wynikną z wyrażania poglądów, które jedynie skłócą senatora z senatorem? Mieliśmy dość takich sporów w naszym pokoleniu i wiemy, że prowadzą one nieuchronnie do wojny domowej. Naszym celem jest obecnie ocalenie

stabilności Republiki. I dlatego proponuję, po pierwsze, znieść stanowisko dyktatora, aby nikt nie stanął już przed pokusą możliwości, jakie ono obiecuje, i aby nikt nie doznał cierpień z powodu władzy, jaką składa ono w ręce jednostki. Nasi przodkowie przezornie usunęli imię króla z Republiki. Uczyńmy to samo z imieniem dyktatora”.

Gdy mówiłem, poczułem, że izba nabiera do mnie sympatii. Nie tego wielu z zebranych oczekiwało, ale odpowiadało im to. W zapale nie rozumieli, że „dyktator” jest jedynie słowem, a rzeczywistością była władza Cezara.

„Ponieważ naszą intencją – mówiłem – jest szybkie przywrócenie porządku i stabilności w Republice, proponuję, aby formalnie zatwierdzić wszystkich urzędników na ich urzędach, zarówno obecnych, jak i desygnowanych”.

Wiedziałem, że uda się tego dokonać. W końcu wśród jego zabójców znajdowało się kilku, którym przydzielono namiestnictwa prowincji. Niewątpliwie obawiali się o nie, a w wielu przypadkach nie mogliby sobie pozwolić na to, by je stracić.

„Wreszcie – dodałem – chociaż uznajemy, że Cezar zginął z rąk prawych i nastawionych patriotycznie obywateli, zaniepokojonych kierunkiem, jaki zdawała się przyjmować jego polityka – i nie jest moim zamiarem spierać się, czy ich czyn był uzasadniony, czy też nie – mimo to, jako konsul, proponuję, aby wszystkie jego rozporządzenia zachowały moc obowiązującą. Ostrzegam was, przyjaciele, że jeśli postanowicie inaczej, wpakujemy się w kabałę prawną”.

Oczywiście było trochę więcej do powiedzenia, choć rozważałem zamknięcie posiedzenia po swoim przemówieniu. Ale uznałem, że lepiej będzie dać senatorom trochę swobody, pozwolić im żyć złudzeniem, że dochodzą do wolnej i niezależnej decyzji, a nie podporządkowują się jedynie sile przekonywania mojej argumentacji.

Tak więc usiadłem, bez wątpienia ze spokojnym uśmiechem igrającym na ustach, gdy najpierw przemówił Marek Brutus, a potem sam Cynceron. Marek oczywiście nie mógł zrobić nic więcej niż uzasadnić podjętej przez nich akcji, zupełnie skądinąd niepotrzebnie, skoro tak wyraźnie stwierdziłem, co nawet zwolennicy Cezara zaakceptowali, że tak zwani wyzwoliciele mają być wolni od krytyki. Ale przypuszczam, że Marek wcześniej przygotował swą mowę i brakowało mu zręczności, aby ją zmienić. Zrobiłby lepiej, nie odzywając się, albowiem widziałem, jak jego towarzysze patrzę ponuro, słuchając go.

Jeśli idzie o Cyncerona, miał czelność zaproponować ogólną amnestię, obejmującą nawet Sekstusa Pompejusza, najzdolniejszego syna dynastii, który urągał autorytetowi Republiki

z Hiszpanii, gdzie nadal dowodził sześcioma legionami. Aczkolwiek ta obrona nie spotkała się z życzliwą reakcją nawet ze strony starych stronników Pompejusza Wielkiego, Cynceron użył swego autorytetu na poparcie tego, co zaproponowałem, chociaż nie raczył nawet wspomnieć mego imienia, stwarzając wrażenie, że moje propozycje są w rzeczywistości jego. Nie było końca próżności starca, która stała się w istocie przyczyną jego klęski jako polityka. Czyniło go to niegodnym zaufania, albowiem nigdy nie można być pewnym, jak próżny człowiek będzie postępował, skoro nie da się przewidzieć, co zrani jego próżność.

Na koniec teść Cezara, Lucjusz Kalpurniusz Pizon, zaproponował przyznanie Cezarowi prawa do publicznego pogrzebu oraz ogłoszenie jego testamentu. Mieliśmy pewne wątpliwości co do tego, czy odważymy się to sugerować, i ustalono, że Pizon zgłosi wniosek dopiero wtedy, gdy dam mu znak. Przemowa Cyncerona przekonała mnie, że może się nam udać. Starzec wstał zresztą znowu, aby poprzeć Pizona.

„Musimy stworzyć nową zgodę w Republice, rozpoczynając to dzieło tutaj, czcigodni senatorowie” – rzekł.

To była jego stara śpiewka, oczywiście dobra, albowiem wszyscy życzyliśmy sobie zgody. Nigdy natomiast nie zrozumiał, że jest to możliwe tylko wtedy, gdy panuje jednomyślna opinia co do tego, jak państwo ma być urządzone, a władza podzielona. Skoro taka zgoda w Rzymie nie istniała przez całe nasze życie i przez wszystkie poprzednie lata, była ona niemożliwa. Trzydzieści lat udziału w życiu politycznym nie nauczyło Cyncerona niczego.

Pogrzeb Cezara...

Przerwał, zamknął oczy i odpłynął w sen, może śniąc o tym dniu swego życia, gdy po raz pierwszy stał się władcą Rzymu i panem nastrojów ludu rzymskiego. Kiedyś, w rzadkim przebłysku intuicji – nie jest to silny punkt mojego pana – zauważył, że owego dnia sam czuł się narzędziem, poprzez które lud znajdował słowa dla emocji, które zbiorowo odczuwał.

W dniu pogrzebu panowała wietrzna pogoda. Nabrziałe deszczem chmury sunęły po niebie od strony wzgórz. Tłum był w okropnym, chwiejnym nastroju. Gajusz Treboniusz, stary oficer Cezara, człowiek, który wyróżnił się w strasznej bitwie pod Alezją i przyłączył się do spisku, kierując się urazą i zranioną ambicją, odważył się pojawić, oświadczając wszystkim, którzy go słuchali, że chociaż republikański obowiązek zmusił go do wyrażenia zgody na śmierć Cezara,

nie należał do tych, którzy go zabili. (Jego rola, jak pamiętacie, sprowadzała się do zatrzymania mojego pana). Wiele dobrego jego uroczyste zapewnienia mu przyniosły! Tłum obrzucił go błotem, a pewien tęgi jegomość, rzeźnik w poplamionym krwią fartuchu, chwycił go za tokę i podarł ją. Jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo, dopóki mój pan nie rozkazał gwardzistom Lepidusa stłumić rodzące się rozruchy i odprowadzić w bezpieczne miejsce roztrzęsionego Treboniusza.

Mój pan przemówił. Stał na rostrze, podobny do boga w swym dostojenstwie, ze wspaniałym spokojem Apollina, gdy wyciągnął ręce i siłą woli zmusił tłum do milczenia. Zapadła absolutna cisza. I wtedy zaczął wypowiadać słodkie słowa, pełne bólu i żalu. Jego przemowa, którą ćwiczył przez cały ranek przy pomocy czy też raczej pod kierunkiem sławnego tragika Tirogenes, miała czarodziejską moc.

Nazwał zebranych przyjaciółmi, Rzymianami, rodakami. Skromnie oświadczył, że przybył, chociaż nie jest godzien tego zaszczytu, jedynie pogrzebać Cezara, który w straszny sposób został zabity przez czcigodnych mężów z wielkich rodów, co oddały wielkie usługi Rzymowi, z czcigodnych motywów. Kimże jest, aby ich sądzić? Mówili, że Cezar kieruje się ambicją. To prawda. Nigdy nie było człowieka, którego tak bardzo jak Cezara przepełniałaby ambicją, ambicją służenia wielkości Rzymu i interesom ludu rzymskiego. To on, Cezar, przyłączył Galię do imperium, przywrócił pokój i obdarzył bogactwami lud, który serdecznie kochał. Tak, Cezara przepełniała ambicja, i z jej powodu ci czcigodni mężowie zabili go.

Następnie, ocierając łzy z oczu – zajęło pół godziny ćwiczeń, zanim Tirogenes był zadowolony z tego gestu – pokazał skrwawioną tokę Cezara.

„Tę ranę zadał szlachetny Brutus...”

Tłum zawył z wściekłości, a on znowu ich uciszył.

„Zebraliśmy się tu po to, aby pogrzebać Cezara... – rzekł i przerwał, pozwalając, by jego słowa zawisły w powietrzu – ...aby pogrzebać Cezara...” – powtórzył, robiąc długą przerwę między słowami, tak by wszyscy poczuli ich groźną nieodwołalność. Następnie opuścił głowę i przez długą chwilę trzymał przyglądający mu się tłum w napięciu. Gdy znowu zaczął mówić, jego głos był powolny i przerywany.

„Zamierzałem – powiedział – odczytać jego testament. Jest rzeczą słuszną, abyście go wysłuchali, do czego macie prawo. A jednak boję się, albowiem rozumiem wasz nastrój. Widzę ból i gniew, jakie wzbudza w was spowodowana jego własną ambicją śmierć Cezara. Jeśli

odczytam testament, zrozumiecie, jak bardzo was kochał, a wtedy wasz ból stanie się jeszcze bardziej nieznośny i może obrócić się w gniew. Czy postąpię słusznie, mówiąc wam, jak Cezar was kochał?”.

Okrzyki przekonały go, że tak właśnie powinien postąpić.

Odczytał więc testament, w którym była mowa o darze pieniężnym dla każdego obywatela oraz o oddaniu prywatnych ogrodów Cezara na potrzeby ludu. Odczytał to bardzo spokojnie, a tłum wybuchnął płaczem. Oklaski i okrzyki wściekłości. Ludzie ruszyli naprzód, połamali ławki i stoły na Forum, wznosząc z nich stos pogrzebowy.

Wierzę, że w tamtej chwili wszyscy co do jednego rzuciliby szlachetnego Brutusa na ten stos i daliby koronę mojemu panu, takie było czarodziejskie działanie jego przemowy.

Albowiem chwilę potem sam zaczął wierzyć, że mówił prawdę.

ROZDZIAŁ 4

– Obalając dyktaturę, kierowałem się szlachetnymi pobudkami. Chociaż zgadzałem się z Cezarem w tym, że Rzym i imperium potrzebują rządów jednego człowieka, rozumiałem zarazem, iż stanowisko dyktatora niepotrzebnie irytowało. I wierzyłem, że uda mi się zachować władzę za pomocą innych środków.

Mimo to moja sytuacja była niepewna. Samo miasto nie stanowiło wielkiego problemu. Ludność pozostała wroga wobec spiskowców. Marek Brutus, który piastował urząd pretora miejskiego, przybył do mnie ogromnie poruszony, żądając mojej zgody jako konsula na wyjazd do swych dóbr. Jego życie, oświadczył, jest w niebezpieczeństwie. Oczywiście wyraziłem zgodę, zauważając jedynie, że jak na człowieka, który przywrócił Rzymowi wolność, zachowuje się dziwnie.

Moim naczelnym zadaniem było uzyskanie poparcia legionów. Innymi słowy, musiałem znaleźć gospodarstwa dla weteranów. Powierzyłem to zadanie mojemu bratu Lucjuszowi. Zająłem skarb Cezara, a także skarb, jaki zgromadził w świątyni Ops na potrzeby planowanej wyprawy przeciwko Partii. Rozdzieliłem część pieniędzy między legionistów, łącząc w ten sposób rozagę z hojnością. Tymczasem z powodu zaburzeń w mieście wezwałem jeden legion z Kampanii.

Nie chciałem wprowadzać zmian do przeprowadzonego przez Cezara przydziału prowincji. Z drugiej jednak strony musiałem zabezpieczyć własną pozycję i dlatego postanowiłem usunąć Decymusa Brutusa z przydzielonej mu przez Cezara Galii Cisalpińskiej i przejąć ją w swoje ręce, przedłużając zarazem moją władzę prokonsularną na tym obszarze z dwóch do sześciu lat. Była to idealna prowincja, gdyż stacjonująca tam armia mogła zastraszyć Rzym i kontrolować bieg spraw politycznych w mieście.

Decymus złożył protest, wymknął się z miasta i przygotowywał do wojny. Ale byłem pewien, że nie zyska wielkiego poparcia i że będę go w stanie pokonać. Albowiem wykazał się wprawdzie zdolnościami, podlegając cudzym rozkazom, ale nie miał w ogóle doświadczenia jako samodzielny dowódca. Ani nie cieszył się popularnością wśród żołnierzy.

I wtedy sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Moje doświadczenie życiowe dowodzi, że właśnie wówczas, gdy wszystko idzie gładko, a Fortuna i bogowie zdają się do ciebie uśmiechać,

coś przykrego nadchodzi, aby podstawić ci nogę, i zawsze dzieje się to nieoczekiwanie.

Szczególnie irytujący był tym razem fakt, że źródłem kłopotów okazał się młody Oktawian, który swego czasu wydawał mi się niezwykle atrakcyjny.

Oktawian. Wnuk siostry Cezara i lichwiarza z małego miasteczka.

Gdy zamordowano Cezara, odbywał studia gdzieś w Grecji. Miał osiemnaście lat i przybył do Brundizjum z dwoma przyjaciółmi w swoim wieku – Mecenase, zniewieściałym firecykiem, jakiego każdy legionista kopnąłby w tyłek, i Agrypą, który wyglądał i mówił jak tępy wieśniak.

Wyznałem, że nie wziąłem Oktawiana pod uwagę. Nawet gdy doniesiono, że wraca do Italii, nie przejąłem się tym. Był w końcu tylko chłopcem.

Potem usłyszałem, że przeciągnął na swą stronę cały legion i maszeruje na Rzym, ogłaszając się spadkobiercą Cezara.

W istocie został nim wyznaczony w testamencie Cezara i został przez niego adoptowany, z którego to powodu miał wszelkie prawa, aby nazywać nieżyjącego dyktatora swoim „ojcem”. Ale nie sądziłem, że będzie miał również czelność uznać się za spadkobiercę politycznego Cezara. Prawdziwy absurd w wieku lat osiemnastu.

Ubawiło mnie to, ale trzeba było położyć kres zuchwalstwu. Zaprosiłem Oktawiana do siebie.

Czy ludzie rozumieją, dlaczego zlekceważyłem chłopca? Czy należy mnie za to winić? Wszyscy inni go również nie docenili. Jedynie stary Cynceron pojął, że może on odegrać pewną rolę – i źle na tym wyszedł.

Miał przesadnie skromny, niemal przestraszony wygląd. Jego szczeka była silnie osadzona, ale usta miał delikatne, a oczy przypominały oczy pięknej dziewczyny. Jego ramiona były również delikatne i zaokrąglone jak u dziewczyny, i widać było, że nigdy nie odczuwał strachu tak wielkiego, że ledwie można podnieść miecz lub utrzymać tarczę. Jego ciało nigdy nie śmierdziało ani nie pocilo się pod pancerzem, nigdy też nie usychał tak bardzo z pragnienia, aby pić ze strumyka, w którym żołnierze wykrwawiali się na śmierć.

Pozwoliłem mu usadowić się na łożu, gdy już mnie powitał. Gładził uda i oblizywał wargi językiem. Jak mały kotek czekał, aż zacznę mówić.

„Sprawiasz kłopoty, drogi chłopcze – rzekłem. – Nie wątpię, że wcale tego nie chciałeś, ale

tak to, niestety, wygląda”.

Nie odpowiedział. Czekał, aż krzyki z Forum przecięły majowy poranek.

„Jestem ci wszakże wdzięczny za zabezpieczenie południa – mówiłem dalej. – Sprawnie to przeprowadziłeś. Ale historie, jakie pozwalasz rozpowszechniać, służą jedynie naszym wrogom”.

„Jakie historie? – zapytał. – Jakim wrogiem?”

„Wiesz, jakie historie, a jeśli nie wiesz, o jakich wrogów chodzi, tym gorzej dla ciebie. Potną cię na kawałki, drogi chłopcze. Korespondujesz z Cynceronem”.

„Wybitny mąż – odparł – i stary przyjaciel mojego ojca”.

„Twojego ojca? Masz na myśli Cezara? Zachowaj te słowa dla tych, na których robią one wrażenie. A co do Cyncerona, zapamiętaj sobie: nikt mu nigdy nie ufał i ty też lepiej tego nie rób. Poza tym łamiesz prawo”.

„Czy jest jakiegokolwiek?” – zapytał.

Powstrzymałem gniew.

„Nie bądź zuchwały, drogi chłopcze – rzekłem. – Jestem konsulem Republiki, w której ty nie masz żadnego stanowiska. Dowodzisz oddziałami, a nic cię do tego nie uprawnia. Wyruszając z nimi do Rzymu, jesteś w obliczu prawa winny wszczęcia wojny przeciwko Republice. Mógłbym postawić cię za to przed sądem, a gdybyś przed nim stanął, skazać na śmierć”.

Uśmiechnął się, ale nic nie odrzekł.

„Jestem jednakowoż gotów o tym zapomnieć. Jesteś jeszcze dzieckiem. Jestem gotów uwierzyć ci na słowo, że nie zdajesz sobie sprawy z powagi tego, co uczyniłeś”.

„Powagi” – powtórzył, zatrzymując się na tym słowie, jakby się nim rozkoszował.

„Częściowo także dlatego – powiedziałem – że zawsze cię lubiłem”.

To poruszyło go po raz pierwszy i zarumienił się.

„Ale potrzebuję twoich żołnierzy. Ilu ich jest? Legion? Pół legionu? Jako do konsula, do mnie należy dowództwo nad nimi. Nie tylko nie piastujesz jakiegokolwiek oficjalnej funkcji, ale w twoim wieku, chłopcze, jest to w ogóle niemożliwe. Poza tym na jakiej podstawie sądzisz, że potrafisz dowodzić wojskiem? To wymaga wieloletniego doświadczenia. Potrzebuję tych ludzi. Decymus Brutus – znasz Mysz, wydaje mi się, że byłeś z nim kiedyś blisko – siedzi sobie w Galii Cisalpińskiej i sprawia kłopoty. Jeśli idzie o innych łajdusów, zbierają już wojsko po drugiej stronie Adriatyku, chociaż jeszcze nie wiedzą, że jestem tego świadom”.

„A co mi ofiarujesz?” – zapytał, otworzył szeroko oczy i wpatrzył się we mnie szczerym

spojrzeniem.

„Miejsce w moim sztabie. Konsulat na wiele lat, zanim mógłbyś go objąć zgodnie z prawem. Bezpieczeństwo. Pewność, że nie pójdziesz tą samą drogą, co On, i nie skończysz z podejrzanym gardłem. Wyjaśnijmy sobie jedno, chłopcze, potrzebuję tych oddziałów, ale ty potrzebujesz mnie jeszcze bardziej. Jeśli mi się nie uda, jesteś skończony”.

„Nie jestem o tym wcale przekonany” – odparł, ale uśmiechnął się, jakby się zgadzał, i skosztował wina, które kazałem przynieść. Ale wypił jedynie parę małych łyków i odstawił kielich na bok.

Potem słuchał uważnie, gdy robiłem przegląd sytuacji strategicznej. Był dobrym słuchaczem. Dzięki temu między innymi zdobył sobie sympatię Cezara.

„Tak – rzekł – to rzecz skomplikowana, ale wyjaśniłeś wszystko niezwykle jasno. Jestem ci wdzięczny. Rozumiem teraz sprawy lepiej”.

„I zrobisz, jak mówię”.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem cieplej i bez kociej rezerwy.

„Nawiasem mówiąc – wtrącił – podejmiesz środki, mam nadzieję, abym mógł zgodnie z testamentem objąć spadek po Cezarze”.

„Oczywiście – odparłem. – Płynie w tobie bankierska krew. Lepiej porozmawiaj o tym z Balbusem. On rozumie te sprawy. Ja jestem tylko zwykłym żołnierzem”.

Wyszedł. Parę dni później dowiedziałem się, że udał się prosto do Cyncerona.

Znowu jest wyczerpany. Był poruszony, gdy dyktował, ale opadł z sił. Siedzi pogrążony w myślach. Kazał przynieść więcej wina, chociaż nie opróżnił jeszcze poprzedniego bukłaka. Upije się do nieprzytomności, to pewne, prawie jakby mnie tu nie było. Nie ma żadnej radości w jego picciu teraz.

Ta wzmianka o zawstydzeniu Oktawiana. No cóż, krążą na ten temat dwie historie. Jedni mówią, że mój pan zgwałcił Oktawiana pewnej nocy po pijanemu w czasie kampanii hiszpańskiej. Inni utrzymują, że Oktawian próbował go uwieść i że mu się nie udało. Prawda zapewne leży gdzieś pośrodku.

Cynceron był oczywiście zachwycony przybyciem młodego Oktawiana. Chociaż przekroczył już sześćdziesiątkę i minęło dwadzieścia lat od czasu jego sławnego konsulatu, gdy w swojej

opinii, ocalił Republikę, a w mniemaniu ludzi rozsądnych, pogwałcił prawa, nadal rwał się do kontrolowania spraw państwa. W istocie w ogóle się do tego nie nadawał. Od kiedy Gajusz Mariusz i Sulla rywalizowali ze sobą o przewagę, sekret się wydał: aby kontrolować Republikę, najpierw trzeba znaleźć sobie miecz. Cyceron z naiwnością filozofa sądził, że człowiek z mieczem odda się do jego dyspozycji.

Zawsze lekko traktowałem życie – czyż nie, Krytiaszu? (No cóż, tak, pod pewnymi względami, panie). Nigdy nie byłem w stanie uwierzyć, że mogę wzbudzać nienawiść w innych. Może to jakaś słabość? Może właśnie dlatego sprawy wyglądają obecnie tak żałośnie?

Moje stosunki z Cyceronem nigdy nie były łatwe. Dzieliło nas zbyt wiele – krew mojej rodziny oraz moja przyjaźń z Klodiuszem, który uwielbiał robić mu na złość. Ale w ostatnich latach zdawało się, że odsunęliśmy te sprawy od siebie. Gdy spotykaliśmy się przy oficjalnych okazjach, okazywaliśmy sobie wzajemną grzeczność. Gdy znajdowaliśmy się przy tym samym stole, poddawałem się Cyceronowi i zachwyciałem się elegancją jego konwersacji. Potrafił naprawdę cudownie opowiadać, nawet jeśli następnego dnia nie pamiętało się nic z tego, co mówił.

Fulwia uświadomiła mi, że Cyceron mnie nienawidzi.

Czy wspominałem już o Fulwii, Krytiaszu?

– Nie, panie.

Z pewnością nie wspominał, i powiem wam dlaczego, gdyż wątpię, aby sam to zrobił.

Była najokropniejszą z jego żon. Bez wątpienia piękna, równie piękna, podobno, jak jej pierwszy mąż Klodiusz, równie piękna nawet, jak jego siostra Klodia, którą poeta Klodiusz kochał i nienawidził. Nie sądzę, aby ktokolwiek kochał Fulwię, i nie jestem pewien, czy mój pan jej nie nienawidził. Pod koniec na pewno tak. Ale chociaż słyszałem, jak wyzywa i przeklina ją pod jej nieobecność, wystarczyło, aby weszła do pokoju, a już stawał się pokorny jak mały kotek. Nie wyglądała zresztą wcale groźnie. Jej oczy nie rzucały błyskawic, a głos brzmiał łagodnie. Trzeba było wręcz nastawiać uszu, aby usłyszeć, co ta kobieta mówi. Wszyscy się jej bali i wszyscy wiedzieli, że odznacza się lepszym instynktem politycznym niż większość mężczyzn.

„Nie lekceważ tego małego szczura Oktawiana – mówiła Fulwia. – Cyceron myśli, że użyje chłopca, aby cię zniszczyć przez odciągnięcie od ciebie starych stronników Cezara. On będzie

próbował tego dokonać i uda mu się, jeśli nie będziesz działał szybko, a wtedy... pozbędzie się Cyncerona. Znam jego matkę, jest przebiegłą suką, a on wymoczkowatym maminsynkiem bardzo do niej podobnym”.

Miarą władzy, jaką Fulwia miała nad moim panem, jest to, że gdy pobrali się na trzy lata przed zabójstwem Cezara, Antoniusz natychmiast zerwał swój związek z aktorką Kytheris, który trwał nawet za czasów jego pierwszej żony Antonii. Kytheris była najbardziej czarującą z kobiet, biedna dziewczyna z Subury, szczupła, a nawet chuda, o szerokich ustach i czarnych oczach. Nigdy nie potrafiła mówić gramatycznie po łacinie, wyjąwszy chwile, gdy powtarzała tekst sceniczny. W zwykłej rozmowie stawiała czasowniki, gdzie popadnie, a jeśli kiedykolwiek przymiotnik zgadzał się z rzeczownikiem, zdarzało się to tylko przypadkiem. Nawet chłopcy z chóru ją uwielbiali, a nie potrzebuję was zapewnić, jak to jest niezwykle, gdyż są oni przeważnie małymi łajdakami. Umiała się śmiać niemal ze wszystkiego. Naprawdę kochała mojego pana, chociaż przynajmniej raz musiała zapłacić jego długi. Nigdy nie słyszałem o aktorce, która uczyniłaby tak wiele dla swojego arystokratycznego kochanka. Oczywiście ludzie opowiadali, że miała na niego zły wpływ, nawet niszczący, i była sprawczynią wyuzdanych zabaw, które wyrządziły tak wielką szkodę jego reputacji. Przesadzali. Jakby w ostatnich latach nie było wyuzdanych zabaw. Nie, Antoniusz nigdy nie spotkał nikogo tak słodkiego, jak Kytheris. A jednak zawsze się go trochę bała. „Czy naprawdę jest w dobrym nastroju, Krytiaszu?” pytała i obdarzała mnie pocałunkiem przypominającym poranne róże, kiedy oświadczałem, że nie jest gorszy niż niedźwiedź, którego boli głowa. Mieliśmy mnóstwo zabawy, gdy znajdowała się wśród nas, i wszystkim było przykro, gdy zjawiała się Fulwia i ją wypędziła. Wyobraźcie sobie, powiedziała nawet biednej Kytheris, że jeśli zobaczy ją kiedykolwiek w pokoju sam na sam z moim panem, każe ją wychłostać jak zwykłą prostytutkę. Czy możecie to sobie wyobrazić? Oto słowa kobiety, która była żoną nie tylko Klodiusza, ale i Skryboniusza Kuriona, tak że w praktyce wszyscy jej trzej mężowie spali ze sobą. I wcale jej to nie przeszkadzało pomstować nad deprawacją Greków.

Ale przyznaję, że odznaczała się tęgim rozumem.

Oto list, który napisała po tej rozmowie z moim panem:

Inteligentny człowiek uznałby Cię za okropnie tępego. Częściowo z tego powodu, że nie

przykładasz wystarczająco dużo wagi do spraw publicznych, częściowo zaś dlatego, że jesteś zbyt łatwowierny. Mówiłam Ci, żebyś nigdy nie brał rzeczy takimi, na jakie wyglądają.

Przedstawiłeś mi kilka powodów, dla których nie masz się czego obawiać ze strony małego Oktawiana, i żaden z nich nie świadczy dobrze o Twojej inteligencji.

Powiadasz, po pierwsze, że żołnierze nigdy nie pójdą za nim na wojnę, albowiem nie zaufają chłopcu, który nie ma doświadczenia.

A ja Ci mówię, że będą szli za nim tak długo, jak długo będzie im płacił, a jeśli przyciągnie wystarczająco wielu, nie będzie musiał w ogóle staczać bitew.

Powiadasz, że Cynceron używa chłopca jako marionetki.

A ja twierdzę, że tak właśnie stary człowiek myśli. Ale kiedy on ostatnio właściwie oceniał sytuację? Jest zepsuty przez próżność, powinieneś o tym wiedzieć.

Powiadasz, że Cynceron tak czy siak należy do przeszłości.

A moim zdaniem, nadal ma wpływy. Co jeszcze ważniejsze, zachował jadowity język. Umie niszczyć słowami równie skutecznie, jak inni pchnięciem sztyletu. Doceniam to, gdyż sama mam taką zdolność.

Powiadasz, że w każdym razie konflikt toczy się nadal między stronnictwem Cezara a tymi, którzy przystaną do samozwańczych wyzwolicieli.

Moim zaś zdaniem, Kasjusz ma dość rozumu, aby spróbować skłócić stronnictwo Cezara, i to właśnie się dzieje.

Prawda jest taka, że jesteś zbyt ustępliwy i zadowolony z siebie. Nie doceniasz Oktawiana. Nie znoszę małego szczura, ale potrafię docenić jego żelazne nerwy i rozum. Oczywiście słyszałam słowa Cyncerona, że chłopca należy chwalić, wykorzystać i usunąć. Zobaczymy, kto kogo usunie.

Krótko mówiąc, musisz go z powrotem przeciągnąć na naszą stronę.

Albo od razu wyeliminować.

Twoje samozadowolenie rozwściecza mnie. Nie pozwala Ci zrozumieć własnych zdolności. Prawda zaś jest taka, że idziesz przez życie, zakładając, że jesteś ulubieńcem bogów i że ktoś zawsze usunie przeszkodę na twojej drodze i rozsypie róże przed tobą.

No cóż, nie masz teraz żadnego patrona. Jesteś sam. Musisz polegać na swoim własnym rozumie, swojej własnej energii i swojej własnej odwadze.

Okaż się mężem, którym jesteś w stanie być. Którego postanowiłam poślubić. Dowiedz mi, że

jesteś mnie godny.

Twoja żona, Fulwia

Jakkolwiek była prawdziwą suką i jędzą, trudno przychodziło jej nie podziwiać.

ROZDZIAŁ 5

– Nie miałem najmniejszego zamiaru rozpoczynać na nowo wojny domowej. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, bez względu na to, jakie kłamstwa rozpowszechniano na mój temat. I tamtego lata nie wykonałem żadnego ruchu. Nie było zresztą ku temu powodów. Wprawdzie młody Oktawian zlekceważył moją radę i nadal gromadził wojsko, zaciągając zarówno świeżych rekrutów, jak i wysłużonych weteranów pod swoje sztandary, nie sądziłem jednak, aby w jakikolwiek poważny sposób zagrażał moim interesom. Podobnie też, gdy Mysz Brutus nie chciał oddać swojej prowincji, co, wedle postanowień, miał obowiązek uczynić, nie wątpiłem, że w końcu zmuszę go do posłuszeństwa bez użycia siły. Mysz miał swoje zalety i w pewien sposób go lubiłem, choć brakowało mu odwagi.

Tak więc przyjemnie spędziłem lato.

Gdy w końcu sierpnia zażywałem kąpieli morskich na wybrzeżu Adriatyku, nadeszła jednak wiadomość, że Cynceron wrócił ze swej willi nad Zatoką Neapolitańską i przypuścił przeciwko mnie gwałtowny atak w senacie. Jego babranie się w moich rzekomych przestępstwach było częścią gadaniną i nie przypuszczałem, że ktokolwiek zwróci na to większą uwagę. Wylegiwałem się pod drzewami oliwnymi i śmiałem się.

Mój brat Lucjusz pobudził mnie do działania. Wszedł do mego domu w Tiburze z oczyma szeroko otwartymi z oburzenia. Mowa Cyncerona wywiera pewien skutek, oświadczył. Szepcze się już, że prawdziwi cezarianie postąpią rozsądniej, popierając młodego Oktawiana.

„Mówią, że Antoniusz topi się w winie i pogrąża w letargu. Patrząc na ciebie, bracie, powiedziałbym, że coś jest w tym zarzucie”.

„Mamy lato – odparłem – a słońce nadal świeci”.

– Musiałem jednak udzielić odpowiedzi Cynceronowi. Uczyniłem to z prawdziwą przyjemnością. Wystąpiłem przed senatem w trzecim tygodniu września. Sam Cynceron był nieobecny. Później mówił, że trzymałem w pogotowiu siły mające go zamordować, gdyby się pojawił. Absurdalny zarzut. Wolałbym, aby tam był. Dodałoby to pikanterii całemu przedstawieniu.

„Doniesiono mi – powiedziałem – że Cynceron zaatakował mnie niedawno w tej izbie,

i szkoda, że mnie nie było, abym mógł odpowiedzieć mu wówczas. Nawiasem mówiąc, to dziwne. Ludzie, których atakuje Cynceron, niemal zawsze są nieobecni, gdy on przemawia. Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje. A i dzisiaj, jak widzę, go nie ma, chociaż specjalnie się postarałem, aby zaproszenie do niego dotarło.

Oczywiście zwykł przemawiać przeciwko Cezarowi – gdy Cezar był w Galii. A potem przyłączył się do Pompejusza w czasie wojny domowej, jak pamiętacie, i umknął z powrotem do Italii, gdy Pompejusz został pokonany. Obecnie doszło do tego, że zacząłem myśleć o tym, jak sam go wtedy aresztowałem w Brundizjum. Zapytał mnie, czy zamierzam go zabić. Mój drogi, oczywiście że nie, odparłem, jesteś ozdobą literatury łacińskiej. Przydzieliłem mu wtedy oddział jazdy jako eskortę, która miała przeprowadzić go bezpiecznie do jego majątku wiejskiego. Nie pamiętam, do którego, ma ich tak wiele, ale potem, zdaje się, zupełnie zapomniał o tym, że ocaliłem mu życie. No cóż, starzy ludzie mają kiepską pamięć, wszyscy o tym wiemy, chociaż Cynceron pamięta pewne epizody ze swego długiego życia znakomicie, ze wszystkimi dobrymi stronami i ulepszeniami.

Zapomniał jednak, jak się zdaje, o tym, jak pisywał do Cezara to było wtedy, gdy Cezar sprawował najwyższą władzę w państwie. Mam jeden z tych listów ze sobą i żałuję, że Cynceron jest nieobecny i nie może go wysłuchać.

Ale jeśli go odczytam, nie wątpię, że jakiś przyjaciel przypomni mu o tym, jak płaszczył się przed Cezarem, dziękując mu za jego liczne dobrodziejstwa i zapewniając, że jest dumny, mogąc go nazywać swoim »przyjacielem«. Posłuchajcie:

Od Cyncerona do Cezara:

Wyświadczyłeś mi wielki zaszczyt, odwiedzając mnie w moim domu. Do końca swych dni zachowam w moim sercu wspomnienie o Twoim krótkim pobycie i naszej sympatycznej rozmowie. Jakże to ujmujące, że wielkie osiągnięcia nie nauczyły Cię zaniedbywać starych przyjaciół i że mimo ogromnego zaangażowania w sprawy państwa zachowałeś nadal chęć do dyskusji i z tak cudowną celnością i dowcipem potrafisz rozprawiać o literaturze, która stanowi pociechę dla takich starców, jak ja. Nasza rozmowa przypomniała mi o tym, jak niegdyś z ogromną śmiałością napisałem do Ciebie, że jesteś naprawdę moim alter ego.

Spoczywa teraz na Tobie, mój drogi przyjacielu, wielka odpowiedzialność, a nikt nie

podolałby jej lepiej. Modlitwy wszystkich zacnych Rzymian Ci towarzyszą.

Proszę, abys dbał o swoje zdrowie, od którego przyszłość Rzymu tak bardzo zależy, i abys w swej niezwykłej życzliwości i wielkoduszności zachował ciepły kącik w sercu dla oddanego starego wielbiciela i przyjaciela, który jest dumny, mogąc tak siebie nazywać.

Cyceron

Gdyby Cyceron nie był tak nadzwyczajnie wybitny, powiedziałbym, że płaszczył się przed Cezarem.

I oto kilka tygodni później zjawia się tutaj, czcigodni senatorowie, i oświadczają, że cieszy się z powodu zamordowania Cezara.

Więc i cóż myśleć o takim człowieku?

Czy można uwierzyć choćby w jedno jego słowo?”.

Mój pan był zachwycony tą mową. Nadal jest. Ale zawsze zastanawiałem się, czy postąpił mądrze, szydząc równie bezlitośnie z kogoś takiego jak Cyceron.

W każdym razie, jak powszechnie wiadomo, Cyceron przystąpił potem do brutalnego ataku. Napisał pamflet i puścił go w obieg, chociaż nie odważył się opublikować tekstu otwarcie. Naigrawał się z życia prywatnego i publicznego mojego pana. Antoniusz jest, twierdził, pijakiem, awanturnikiem, łotrem, rozpustnikiem, homoseksualistą; tyranem, zepsutym, brutalnym i krnąbrnym; dziką bestią, która musi być ścięta, zanim jej szaleństwo zarazi innych i zniszczy państwo.

Inwektywa przekonuje jedynie wtedy, gdy zawiera ziarno prawdy, a i wówczas tylko tych, którzy chcą dać się przekonać. Zarzuty Cycerona absurdalnie wyolbrzymiały rzeczywistość. Niemniej jednak ludzie naprawdę widzieli mojego pana pijanego na ulicach miasta. Krąży wiele opowieści o jego romansach. Często obrażał osoby o konserwatywnych i pruderyjnych poglądach. Było wielu gotowych uwierzyć w najgorsze o nim. Cyceron ułatwił im zadanie. Zatrzał powietrze i chociaż mój pan oczyścił się z zarzutów z pogardą, część błota doń przyłgnęła. Było wielu ludzi wcześniej wobec niego obojętnych, którzy do końca mu nie ufali – z powodu tego, co powiedział Cyceron. Inni doceniali jego zdolności, ale zaczęli kwestionować charakter. Postrzegali go jako człowieka, który jest zdolny do wszystkiego, i z tego powodu się go obawiali.

ROZDZIAŁ 6

Sytuacja tak właśnie wówczas wyglądała. Mój pan gnuśniał w swojej willi koło Frascati, nie wiedząc, co ma dalej robić. (Fulwia ze względu na swe zdrowie pojechała nad morze. W każdym razie tak mówiła). Marek Brutus i Kasjusz opuścili Italię pod pretekstem wyjazdu do przydzielonych im prowincji, Kreta i Cyreny; ani jedna, ani druga nie miała zresztą znaczenia. Ale nikt nie wiedział, czy tam przybyli, czy też znajdują się w jakimś bardziej niebezpiecznym miejscu. Rozeszła się na przykład pogłoska, że oczekiwano Kasjusza w Egipcie, gdzie, wedle doniesień, legiony były nastawione buntowniczo. Mysz Brutus nadal nie chciał zdać swej prowincji – Galii Cisalpińskiej. Cyceron podobno przygotowywał nowe ataki na mojego pana, a nie ulegało wątpliwości, że wielu chętnie uwierzyło w niewybredne oszczerstwa, jakie rozpowszechniał.

Najgroźniejszy ze wszystkich młody Oktawian prowadził rekrutację w Kampanii na ziemiach, na których osiedlono weteranów Cezara. Z niezrównanym cynizmem darował każdemu żołnierzowi, którego udało mu się przeciągnąć na swą stronę, pięćset denarów równoważące dwuletniego żołdu legionisty pozostającego w służbie czynnej.

Kupowanie ludzi stanowi wszakże tylko część sukcesu. Zapewnienie sobie ich lojalności może się okazać trudniejsze. Oktawian przeliczył się. Powinien się trzymać na uboczu, pokazać swą siłę mojemu panu i dojść z nim do porozumienia. Zamiast tego pomaszerował na Rzym, obsadzając Forum legionistami w drugim tygodniu listopada. Jego posunięcie zaniepokoiło nawet tych, którzy mu sprzyjali. Nie mieli pewności, czy jest tak silny, na jakiego wygląda. Dlatego wahali się. Wyjątek stanowił trybun Tytus Kannucjusz. Wygłosił przed ludem mowę pochwalną na cześć Oktawiana, popierając pretensje chłopca do zaszczytów i pozycji jego „ojca” Cezara. Było to więcej, niż większość ludzi się spodziewała. Wywołało zaniepokojenie. Nawet ci, którzy nadal wyrażali podziw dla Cezara, wcale nie chcieli zobaczyć, jak wyrasta jego następca.

Więści o poczynaniach chłopca pobudziły mojego pana do czynu. Porzucając gnuśny żywot w luksusie, stał się znowu sobą. Przynajmniej właśnie tak by to sam określił. Jeśli o mnie chodzi, wiem, że jest w równej mierze sobą, gdy oddaje się rozpuście.

Wezwał legiony z Macedonii i pośpieszył na południe, aby spotkać je w Brundizjum. Żołnierze byli wzburzeni, niezadowoleni, wręcz bliscy buntu. Ich uszy zatrzała propaganda

Oktawiana. Działał ze zdecydowaniem, jakie – aż do ostatnich tygodni, niestety! – wywoływał w nim zawsze kryzys. Zarządził natychmiastową egzekucję najbardziej hałaśliwych dowódców. Następnie, przywróciwszy porządek, rozdzielił premie i zajął się północą.

Wieści o jego posunięciach dotarły do Rzymu. I wzbudziły trwogę. Żołnierzy Oktawiana ogarnęło przerażenie. Znajdujący się wśród nich weterani służyli pod rozkazami mojego pana i znali jego zalety. Jedną rzeczą było przyjąć łapówki od chłopca i grać rolę w jego szaradzie, zupełnie inną zaś narazić się na gniew Antoniusza i stawić czoło lwu na polu bitwy. Wkrótce legiony osłabiła dezercja co bardziej rozważnych. Oktawian przeliczył się z siłami. Rzymu nie dało się utrzymać. Uciekł na północ do Arretium, rodzinnego miasta Mecenasa.

Mój pan zwołał posiedzenie senatu. Przeszło mu przez myśl oskarżenie Oktawiana o zdradę i wyjęcie go spod prawa jako wroga ojczyzny. Z punktu widzenia prawa sprawa była oczywista. Wina chłopca nie podlegała dyskusji. Wprowadził wojsko do miasta. Nie sprawując żadnego urzędu, próbował zagarnąć całą władzę dla siebie.

– Czyniłem sobie potem z tego powodu wyrzuty. Ludzie mówią, że nie starczyło mi odwagi. Nie śmiałem powiedzieć mi tego w twarz, ale szeptaki nie mogły ująć mojej uwagi.

A jednak nie była to sprawa odwagi. Ważyłem się na większe rzeczy.

Prawda wyglądała tak, że pożądana linia postępowania była niemożliwa. Gdybym spróbował wyjąć Oktawiana spod prawa, jakkolwiek był winny, jakiś trybun zgłosiłby sprzeciw. W odróżnieniu od dumnych, samozwańczych optymatów, którzy przeciwstawili się Cezarowi w roku Rubikonu, nie chciałem łamać prawa i dopuścić się świętokradztwa, nastając na nietykalność osoby trybuna. Moi wrogowie potępili mnie jako awanturnika i tyrana, ale miałem więcej szacunku dla prawa niż oni.

A jednak, a jednak były i inne przyczyny...

Czy to jeszcze noc, Krytiaszu?

Czy też promienie nieznośnego słońca rzucają cienie na piaski?

Jakże nienawidzę teraz Egiptu!

O czym to ja mówiłem? Odchodzę od tematu. Więcej wina!

Chłopiec nie był tylko chłopcem. Zamieszkał w nim duch Cezara, który kierował jego

krokami. Gdy weterani patrzyli na niego, nie widzieli chudej, zniewieściałej postaci. Widzieli cień Cezara...

Byłem wobec tego bezsilny.

Jego oddziały nie wystąpiłyby przeciwko mnie. Nie śmiały. Ale moje drżały na sam dźwięk imienia Cezara.

Wszystko obróciło się przeciwko mnie. Widziałem znaki. Moi wrogowie zbierali się. Zbliżał się koniec mojego konsulatu. Obecnie ledwie mogę sobie przypomnieć szczegóły niebezpiecznych miesięcy, które nadeszły potem. Opuściłem Rzym w pośpiechu, ale nie uciekałem. Nadszedł czas na przejęcie kontroli nad prowincją, którą sobie przydzieliłem. Nad Galią Cisalpińską, której Decymus Brutus nie chciał opuścić. Nie pozostało mi nic innego, jak go wypędzić. Moi ludzie nie mogli walczyć z dziedzicem Cezara. Będą więc walczyć z jego zabójcami.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Zepchnęliśmy Decymusa do Mutiny i obiegliliśmy go tam. Ziemia zamarzła, śnieg pokrył góry, ciała zmarłych leżały między obozami.

Tymczasem w Rzymie nowi konsulowie Pansa i Hircejusz, których uważałem za przyjaciół, nie stanęli zdecydowanie w mojej obronie. Wkrótce znaleźli się w szeregach moich wrogów. Cynceron, głupio-mądry jak zwykle, zaofiarował pomoc Oktawianowi. Zignoruje wszystkie prawa – za pośrednictwem Cyncerona, arcykapłana praworządności – i zostanie mianowany propretorem, wbrew obyczajowi i rozsądkowi. Chłopiec przydał w ten sposób urzędowej powagi sile, jaką zdobył.

Próbowaliśmy pojednania. Dlaczego Rzymianie mają znowu walczyć z Rzymianami? Czy nie ma już wrogów Rzymu na granicach? Lepidus, lojalny, albowiem nawet on potrafił zrozumieć, że gdybym został zniszczony, zwróciliby się następnie przeciwko niemu, krojąc stronnictwo Cezara jak salami, zalecał ugodę, uroczyście zapewniając o wierności Republice, oddaniu dla idei zgody. To był dobry list, lepszy, niż Lepidus mógłby sam ułożyć.

Serwiliusz wystąpił przeciwko propozycji w senacie. Cynceron go poparł. Chwalił Lepidusa gładkimi słówkami, fałszywymi jak zapewnienia kochanka o wiecznej miłości. Następnie pokazał list, który napisałem do Oktawiana i Hircejusza. List był szczery. Stwierdziłem w nim wyraźnie, że są wykorzystywani przez wrogów Cezara w celu zniszczenia mnie, jego wiernego stronnika. Gdy spełnią swoje zadanie, zostaną odsunięci na bok. Czy ktokolwiek uwierzy, że nie

mówiłem prawdy?

Następnie Cynceron napisał do Lepidusa. Pamiętam dokładnie treść listu:

Moim zdaniem, zrobiłbyś mądrzej, nie narzucając się z propozycjami zawarcia pokoju z Antoniuszem. Nie pochwalają ich ani senat, ani lud, ani patriotycznie nastawieni obywatele...

Lepidus chciał się szeregiem konsularnych przodków sięgającym początków Republiki. Nie wzięłyby lekcji patriotyzmu od kogoś takiego, jak Cynceron, prawnik z małego miasteczka, człowiek z awansu.

Za ten list przyszło Cynceronowi drogo zapłacić. Zapłacił za niego życiem.

Strategicznie niebezpieczeństwo było ogromne. Moja armia, oblegająca Decymusa Brutusa w Mutynie, wkrótce sama znalazła się w oblężeniu. Oktawian wyruszył z Bononii, łącząc się z Hircjuszem. Nie mieli jeszcze odwagi zaatakować, lecz czekali na przybycie Pansy z czterema legionami. Moją jedyną nadzieją było przeszkodzenie ich połączeniu. Wykonując manewr mylący przeciwnika, zwróciłem się przeciwko Oktawianowi, który, zwiedziony, natychmiast się wycofał. Wyruszyłem wtedy na spotkanie wojsk Pansy na Forum Gallorum, jakieś siedem mil na południowy wschód od Mutiny.

Bitwa była podobna do innych. Nie było czasu ani miejsca na manewrowanie. Uderzyłem z impetem. Walka wręcz, po kostki w lodowatym błocie. Tak właśnie Rzymianie walczą ze sobą, w milczeniu, bez okrzyków wojennych jak barbarzyńcy – rąbanina, parcie ustępując czy oddając grunt stopami...

Gdy wspomina wojnę, jego głos staje się niski, ciemność ocienia twarz. Spaceruje po pokoju, a słowa brzmią urywanie. Nigdy nie zabiłem człowieka. On zabił ich wielu, a odpowiada za śmierć tysięcy.

– Właśnie w bitwie traci się dziewictwo. Oktawian nigdy tego nie zaznał. Dowodzi, nie trzymając miecza w ręku.

Przed wieczorem legiony Pansy zaczęły ustępować. Spychaliśmy je do tyłu krok za krokiem. Żołnierze byli bliscy złamania szeregów. Jest taki moment w każdej decydującej bitwie, gdy

widzi się, że za chwilę do tego dojdzie.

Wtedy rozległ się krzyk na naszym lewym skrzydle. Posłałem legata, aby zbadał przyczynę, ale zanim zdołał wrócić, przez szeregi poniosła się wieść, że z tamtej strony pojawiły się świeże legiony. Oficer z naszej jazdy sprzymierzeńczej, z rozciętą brwią, silnie krwawiący, przygalopował, aby donieść, że nowa armia naciska na nasze skrzydło.

W tamtej chwili legiony Pansy zachwiały się. Krzyknąłem, aby zatrzymać pościg, który miał się właśnie puścić przez ich złamane szeregi. Z tą dyscypliną, do której są zdolni jedynie weterani, usłuchano rozkazu. Ale nie było już czasu na przeformowanie szyków i stawienie czoła temu nowemu nieprzyjacielowi. Nakazałem więc ogłosić odwrót, podczas gdy nasze lewe skrzydło zajęło pozycję gotową do ataku.

Nikt poza oddziałami weteranów nie przeprowadziłby tego odwrotu w góry. Gdy zapadła noc, przykucnęliśmy wokół kociołków, w których warzyła się strawa, i opatrywaliśmy rany.

Bitwa jest przypadkiem, czymś, czego niedoświadczeni żołnierze nie rozumieją. Można przegrywać bitwę za bitwą, nie mając powodu, aby tracić nadzieję. Liczy się wynik wojny.

(Tak więc nie wszystko stracone, nawet teraz).

Ale naciskano na nas mocno, zmuszając do stoczenia bitwy siedem dni później za Mutiną. Wobec przewagi liczebnej przeciwnik zdołał nas zepchnąć. Po tamtej stronie zginął Hirejusz, zasłużona nagroda za zdradę, jakiej się wobec mnie dopuścił. Ale czegoż poza zdradą można oczekiwać w wojnie domowej? Wiedziałem o tym dobrze i nikogo w związku z tym nie winiłem.

Ruszyliśmy na północny zachód, przez Via Aemilia, kierując się na Galię Narbońską. Lepidus i Plankus ukrywali się tam ze swoimi legionami. Nie wiedziałem, jakie wśród nich panują nastroje. Klęska pociąga za sobą nie tylko śmierć wielu. Znikają również przyjaciele.

Lepidus był w kłopotach. Jakikolwiek żywił wobec mnie przyjazne uczucia, jeszcze bardziej bał się o własną skórę. Co więcej, w jego sztabie znajdowali się moi starzy wrogowie, surowi, pełni pychy republikanie oraz dawni zwolennicy Pompejusza. Sam Lepidus, o czym wiedziałem, napisał do senatu, zgłaszając gotowość wystąpienia w roli rozjemcy między skłóconymi stronnictwami. Z pozoru nadawałby się do tej roli. Wysłałem do niego pismo, nalegając, aby pozostał wierny sprawie, która nas łączy od tak dawna. Gdy czekałem na odpowiedź, nadeszła z Rzymu wiadomość, iż ogłoszono mnie wrogiem ojczyzny. Cynceron chełpił się, że sprawa Cezara została pogrzebana. Wierne mu legiony nie będą walczyć po stronie zdegenerowanego Antoniusza. Szkoda, że nie widział, jak moi ludzie umierali za mnie pod Mutiną – rekruci

wymiotowali, patrząc na nieubłaganą i milczącą robotę weteranów. Ale Cynceron zawsze wolał słowa od rzeczywistości.

Czekając na odpowiedź Lepidusa, napisałem do Oktawiana:

Przyznaję, że mnie zaskoczyłeś. Nie sądziłem, że potrafisz tak wiele. Dowiodłeś swych zalet, chłopcze. Zaslugujesz na to, aby traktować Cię jak równego.

Oczywiście nie zainteresuje Cię to teraz.

Po prostu przypomnij sobie o tym, co mówię, za parę tygodni.

Pozwól, że ci powiem dokładnie, co się wydarzy.

Zostanie ci przyznane prawo do owacji (choć niektóre stare pierniki w senacie odmówią Ci nawet tego, skoro zrobiłeś już swoje). Triumf, najwyższe dowództwo prowadzenia wojny i legionów, którymi dowodzili nieżyjący nieodżałowani Pansa i Hircjusz – konsulowie na zawsze związani ze sobą, jakby tworzyli duet w komedii – zostanie przyznane jednemu z samozwańczych wyzwolicieli – przypuszczam, że otrzyma je Decymus Brutus.

Chodzi teraz, chłopcze, o to, że gdy oni myślą, iż przegrałem – co, nawiasem mówiąc, jest niezgodne z prawdą – nie potrzebują już Ciebie. Jesteś zbędny – tak więc zostaniesz odsunięty, aby znowu zapanowała korupcja i rządy senatu.

Jeśli mi nie wierzysz, obejrzyj się za siebie.

Uwierz mi. Wojna dopiero się zaczyna i, moim zdaniem, nadszedł czas, abyśmy się znaleźli po tej samej stronie. Urządźmy spotkanie.

Lepidus nadal się wahał. Z perspektywy nie mogę go winić, chociaż winiłem go wówczas, rozważnie jednak skrywając swoją irytację. Rozwaga nie jest cnotą, którą krytycy mojej osoby kiedykolwiek byli skłonni mi przyznać, ale przejawiałem ją od czasu do czasu.

Nie uśmiechaj się głupio, Krytiaszu.

(Dziwne: sądziłem, że zatopił się w marzeniach, nieświadom mojej obecności).

Nie mogę winić Lepidusa, ponieważ, nie mając intuicji, widział sprawy wyłącznie takimi, jakimi się wydawały. A wyglądały źle. Senatorowie, działając z pochopnością, której, przysięgam, zaczną żałować, przyznali wszystkie legiony i prowincje na Wschodzie Markowi Brutusowi i Kasjuszowi. Przyjęli nawet z wdzięcznością pomoc zaofiarowaną im przez Sekstusa Pompejusza, nie przejmując się wcale tym, jak bardzo oszedł od zachowania godnego

rzymskiego arystokraty.

Wiedziałem jednak na pewno, że zawsze mogę zastraszyć Lepidusa. Bez ostrzeżenia przekroczyłem rzekę i ruszyłem do jego obozu. Gdy wieść o moim przybyciu się rozeszła, żołnierze rzucili się, aby mnie powitać. Żołnierze dziesiątego legionu pamiętali sławę, jaką zdobyli pod moim dowództwem, i tłoczyli się naokoło, usiłując mnie dotknąć. Następnie ponieśli mnie na swoich tarczach, jakby w triumfie, do kwatery głównej Lepidusa. Zapewne wydawało mu się, że jego własne legiony poddały mi się.

I tak w istocie było.

Nerw na jego twarzy drgał. Lepidus nie wiedział, czego oczekiwać.

Wydałem żołnierzom rozkaz, aby pozwolili mi zejść na ziemię. Następnie, patrząc mu w twarz, ruszyłem w jego kierunku. Położyłem swoje ręce na ramionach Lepidusa i zorientowałem się, że drży, objąłem go i poczułem pot.

„Mój stary towarzyszu broni – rzekłem – nadszedł czas, abyśmy pogadali”.

Moje przybycie przyniosło mu ulgę. Uwolniło go od obowiązku podejmowania decyzji.

Za moją radą napisał list do senatu. Pozwoliłem, aby sam dobierał słowa – Lepidus był sławnym stylistą – tak długo, jak ich sens był mój. Wyjaśnił, że jego żołnierze nie mieli najmniejszego zamiaru odbierać życia swoim rodakom. Bawiło mnie, że kazałem mu to napisać, albowiem wiedziałem, jak rychło będzie się od nich właśnie tego oczekiwać.

Po kolacji Lepidus położył się na sofie i powiedział:

„Ale, mój drogi, nadal obawiam się młodego Oktawiana”.

„Oktawian – odrzekłem – nie ma wyboru, musi w końcu sprzymierzyć się z nami. W przeciwnym razie zostanie zgnieciony między dwiema siłami, z których żadnej nie jest w stanie zrozumieć. Ciągłe myśli, że może ufać Cynceronowi, nie rozumie ogromu złośliwości starca”.

Pozostawała jeszcze sprawa Planka, namiestnika Galii Komaty, towarzysza broni z dawnych lat, który jednak zapewnił Cyncerona, że żadne względy osobiste nie powstrzymają go przed sprzymierzeniem się nawet z najgorszym wrogiem w celu ratowania Republiki.

Lepidus przypomniał mi o tych słowach. Obawiał się, że Plankus przyłączy się do Decymusa Brutusa, który nadal jako wódz cieszył się największym zaufaniem senatu.

„Plankus jest politykiem. – Roześmiałem się. – Ustawia się tak, jak wieje wiatr, a teraz, gdy

załagodziłyśmy dzielące nas różnice, ten wiatr sprzyja naszej sprawie”.

„Mam ogromną nadzieję, że tak właśnie jest, mój drogi” – odparł Lepidus.

„Zaufaj mi” – rzekłem, a Lepidus, który mimo swej próżności nigdy nie umiał uwierzyć w swój własny rozum, westchnął z ulgą. Przyniosłem mu pewność, której nie potrafił znaleźć w samym sobie. Biedny Lepidus.

„Co robimy teraz?” – zapytał.

„Czekamy. Cierpliwość i czas są naszymi sojusznikami”.

Tymczasem bez wiedzy Lepidusa wysłałem emisariusza do Planka. Zawiózł mu list ode mnie.

Planku, stary towarzyszu broni!

Wierz mi, że rozumiem Twoje położenie.

Zostałeś desygnowany na urząd konsula na rok następny; to zaszczyt, którego wszyscy szlachetni Rzymianie pragną, i nie chcesz zrobić niczego, co by temu zagroziło.

Zasługuje to na pochwałę.

Ale rozważ wszystko dobrze:

Po bitwach pod Mutiną, wedle moich obliczeń znajduje się na zachodzie pod bronią jakieś czterdzieści pięć legionów.

Oktawian ma jedenaście, Mysz Brutus dziesięć (ale kiepsko wyszkolonych), Lepidus siedem, Polion w Hiszpanii dwa, ty masz (jak sądzę) cztery, następnych cztery albo pięć jest w Galii i Hiszpanii, a ja mam tylko cztery.

Możesz powiedzieć, że nie widzisz dla mnie szans. Ale sprzymierzyłem się z Lepidusem. Jedenaście legionów, którymi dowodzimy, tworzą weterani. Znają mnie i wiedzą, ile jestem wart. Co więcej, Polion jest moim starym przyjacielem. To daje trzynaście. Jeśli dołączysz do nas, uzyskamy przewagę.

Jeśli idzie o Oktawiana, jego siła jest większa z pozoru aniżeli w rzeczywistości. Uwierz mi. Wiem to. Niewielu z jego ludzi zechce stawić czoło w bitwie mnie albo swoim starym towarzyszom w moich legionach.

Młody Oktawian zawdzięcza wszystko swojemu nazwisku, ale weterani wiedzą, że nazwiska nie wygrywają bitew.

Przylącz się do mnie, a do usunięcia pozostanie tylko Decymus Brutus.

Wystąp przeciwko mnie i za kim staniesz?

Za Cynceronem i senatem?

Czy przypuszczasz, że ludzie, którzy zamordowali Cezara, kiedykolwiek zaufają Tobie, który służyłeś mu wiernie?...

Plankus, czego byłem pewien, dał się przekonać. Decymus Brutus próbował się z nim dogadać. Plankus zachęcił go, przekupił jego żołnierzy, i wtedy zastanawianie się nad siłami uszykowanymi przeciwko niemu złamało jego odwagę. Uciekł na północ, w górzyste rejony Galii, gdzie został wzięty do niewoli przez miejscowego wodza. Ten człowiek, który znał mnie z wojen galijskich Cezara, posłał, aby się dowiedzieć, co chciałbym, żeby zrobił ze swym znakomitym jeńcem. Odpowiedziałem, że sprawiłoby mi przyjemność, gdybym już nigdy więcej o nim nie usłyszał.

Pozostał Oktawian, który w końcu zdał sobie sprawę ze zdrady senatu. Zażądał konsulatu. Odmówiono mu. Przekonany moimi epistołami, pomaszerował na Rzym. Było to konieczne. Jedynie w ten sposób mogłem uzyskać pewność, że ostatecznie opowiedział się przeciwko moim wrogom. Ustanowił się konsulem – chociaż nie miał jeszcze nawet dwudziestu lat. Doprowadził do wstecznego zatwierdzenia swojej adopcji przez Cezara i uchwalił prawo ustanawiające karę śmierci dla wyzwolicieli, z którymi, za pośrednictwem Cyncerona, flirtował przez tyle miesięcy.

Nadszedł czas, abyśmy zaczęli działać razem.

ROZDZIAŁ 7

Mój pan nigdy nie zechciał opowiedzieć swojej wersji tego spotkania na rzecznej wyspie w pobliżu Bononii. Lepidus, dając upust swemu gadulstwu, wkrótce ogłosił własny opis, bodaj nawet więcej niż jeden. Fulwia uczyniła to później także, ale ponieważ nie była obecna, jej relacja nie zasługuje na wiarę. Oktawian, podobnie jak mój pan, zachował milczenie. Nic dziwnego. Miał najwięcej powodów do wstydu. Poniższa relacja wiernie oddaje przebieg spotkania. Jako sekretarz mojego pana byłem obecny w czasie rozmów.

(Próbowałem namówić go, aby opowiedział własnymi słowami o tym, co się wydarzyło, ale nie chce tego zrobić).

Przepelniała nas obawa, gdy wsiadaliśmy do łodzi, która miała nas przewieźć na wyspę. Żołnierze wiedzieli, że jeśli wodzowie nie osiągną porozumienia, następnego dnia może dojść do bitwy. Mój pan w chłodnej mgle świtu siedział na dziobie łodzi, owinięty w płaszcz.

Gdy przybyliśmy, Lepidus i Oktawian znajdowali się już w namiocie. Lepidus trajkotał bezustannie ze zdenerwowania. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem Oktawiana i nie wstydzę się wyznać, że bardzo chciałem go zobaczyć. Mój pan tak wiele o nim opowiadał, o tajemniczości jego charakteru, o jego fizycznych wdziękach. Często mówił o tym, że Oktawian był kochankiem zarówno Cezara, jak i Decymusa Brutusa. Wiedziałem też, że jego najbliższym przyjacielem był Mecenas, a on, tak się złożyło, był specjalnym przyjacielem tancerza imieniem Kleon, do którego, wyznaję, sam wdychałem – niestety, bez wzajemności. Odczułem podniecenie, widząc chłopca, który zdawał się łączyć wytworną zniewieściałość ze zdolnością zdobycia lojalności żołnierzy. Nawiasem mówiąc, nie mogłem uwierzyć, że mój pan miał rację, twierdząc, że wszystko zawdzięcza on swojemu nazwisku.

Muszę przyznać, że doznałem rozczarowania. Wyglądał nędznie. Jego twarz była chuda, a cera miała ziemisty odcień. Trząśł się. Nie udało mi się stwierdzić, czy w ataku gorączki, czy ze zdenerwowania. Gdy mówił, jego głos brzmiał twardo, jakby on sam nie mógł mu zaufać.

Mój pan od razu przejął kierownictwo. Oktawian nalegał, aby najpierw omówili wszystko we własnym gronie, ale Antoniusz uparł się, abym pozostał jako sekretarz.

– Jeśli zrezygnujemy z zapisywania wszystkiego, co omówimy i ustalimy, nasze spotkanie straci sens – powiedział.

Następnie wyraził uznanie dla osiągnięć Oktawiana.

– Przysporzyłeś mi, chłopcze, wiele kłopotów – rzekł. – A i twój własny taniec na linie miał swoje niebezpieczne momenty. Imponuje mi taka zimna krew. I oto jesteś, już nie chłopak, lecz Cezar.

Wziął młodzieńca w ramiona i przez chwilę myślałem nawet, że zamierza go pocałować.

Następnie, ciągle trzymając go w uścisku, powiedział:

– Mimo wszystko dla mnie zawsze będziesz zarówno chłopakiem, jak i Cezarem. Czy pamiętasz – jasne, że nie, nie było cię tam – ale musiałeś słyszeć o tym, jak tłum krzyczał do Niego, że chce się ogłosić królem, a on zażartował: „Nazywam się Cezar, a nie król”.

Znowu usiadł wygodnie.

– A zatem – rzekł – Zachód należy do nas, dopóki trzymamy się razem. Nie twierdzę, że w Italii nie pozostało żadne niezadowolenie, ale możemy się z nim wkrótce uporać. Dumni śmierziele i mistrzowie słów uciekają...

– A co z Sekstusem Pompejuszem? – zapytał Oktawian. – Dysponuje siłami, z którymi należy się liczyć.

Mój pan roześmiał się.

– Pompejusz może zaczekać. Jego ojciec zawsze był w tym dobry. W swych ostatnich latach nie potrafił nic innego. Pompejusz będzie się puszył i odgrażał, ale nie musimy się obawiać, że wyruszy przeciwko nam.

Lepidus odchrząknął. Zawsze tak robił, gdy chciał coś powiedzieć, jakby bez tego wstępu nikt nie zadał sobie trudu, aby zwrócić na niego uwagę.

– Wedle moich informacji – rzekł – Marek Brutus i Gajusz Kasjusz zebrali czterdzieści legionów i zamierzają wiosną wylądować w Brundizjum.

– Nie wylądują – odparł mój pan.

– Sprzymierzywszy się z Pompejuszem, mieliby flotę.

– Pompejusz im nie zaufa. W każdym razie nie uda się im to tak szybko. Kasjusz mógłby, ma odwagę. Ale oni tworzą komitet. Marek Brutus stanowi jednoosobowy komitet.

– Posuwali się całkiem szybko w czasie id marcowych – rzekł Oktawian, jakby z wyrzutem.

– Morderstwo jest łatwe. Raz-dwa, i po wszystkim. Z wojną jest inaczej. – Mój pan przerwał.

– Wojna jest długim połowem. Wymaga wytrwałości. Czy to rozumiesz, chłopcze?

Oktawian rzekł:

– Nie próbuj mnie drażnić. Nie teraz...

Mój pan uśmiechnął się do niego promiennie.

– Mój chłopak.

Myślę, że Oktawian się zaczerwienił. Pochylił się i zaczął gładzić rękoma swe nieowłosione uda. Słyszałem, że goli je za pomocą rozgrzanych do czerwoności skorup orzecha.

– Jesteś odważny – powiedział mój pan, nadal się uśmiechając. Powiedz mi, chłopcze, właśnie przybyłeś z Rzymu. Jak wygląda stan skarbu?

– Opłaciłem z niego moje oddziały – odpowiedział Oktawian. Jako konsul.

– Ach tak, jako konsul.

– Całkiem słusznie – wtrącił się Lepidus. – Całkiem słusznie, chociaż oczywiście sam konsulat... ale nie ma sensu roztrząsać tego teraz. Z pewnością nie. Zastanawiam się, czy mógłbyś usankcjonować zapłatę zaległości, zaległości, rozumiesz...

– To się da zrobić. Nikt, chłopcze, nie podważa tego, co zrobiłeś. Byłeś tam. Tak samo jak skarb: otwarty przed tobą. A więc wziąłeś pieniądze. Chce mi się pić. Krytiaszu, każ przynieść wina. Bukłak białego dla wodzów.

Zapanowała cisza. Lepidus skrzywił się, a jego palce wygrywały krótkie melodie na stole. Antoniusz odesłał niewolnika, który przyniósł wino, i mrugnął do mnie.

– W porządku – rzekł. – Przypuszczam, że mamy razem czterdzieści dwa albo czterdzieści trzy legiony. Wasze są nieco poniżej normalnego stanu liczbowego, podobnie jak moje. Powiedzmy zatem, że mamy armię złożoną z dwustu tysięcy żołnierzy. No cóż, chłopcy nas kochają, oczywiście, ale ich miłość osłabnie bez zapłaty. Zatem jak wygląda stan skarbu, chłopcze? Czy go całkiem opróżniłeś?

Przez chwilę myślałem, że Oktawian nie zamierza odpowiedzieć. Wbił wzrok w stół. Sądziłem, że nie chce zdradzić swej wiedzy na ten temat. Ale musiał coś powiedzieć, jeśli spotkanie miało posuwać się dalej. Odezwał się niechętnie, jakby ktoś siłą wywlekał słowa z jego ust:

– Nie wiem dokładnie, ale jest pewne, że nie da się z niego długo utrzymać takiej masy wojska. Poza tym spodziewam się, że jesteście świadomi tego, iż nie otrzymamy żadnych podatków z Azji, dopóki nasi wrogowie trzymają w swych rękach Grecję i kontrolują morza.

– Jakże słusznie. Egipska lala również nie zamierza niczego zwymiotować. Dostałem od niej liścik. Zapewnia, że oczywiście jest nastawiona do nas przyjaźnie i pała chęcią pomśzczenia

Cezara, ale nie może powierzyć swych drogocennych pieniędzy podatkowych morzom, gdy flota Pompejusza jest gotowa je porwać. Właśnie tak. Doskonała wymówka. Czy kiedykolwiek, chłopcze, spotkałeś tę lalunię?

Oktawian skrzywił się, jakby urażony myślą o Kleopatrze. Jest naprawdę szczwanym stworzeniem, powiedziałem sobie w duchu.

– Staruszek miał bzika na jej punkcie. Głupi. Zazwyczaj bywało odwrotnie, jak sami wiecie. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Zapewne miał przecucie, że jest jego ostatnią damą. Chłopcy myśleli, że rzuciła na niego urok. Czyż nie tak było, Lepidusie?

– Z pewnością robiła niezwykle wrażenie.

– O mało nie poderżnęli nam gardel w Aleksandrii, gdy mu dogadzała.

Ciekaw jestem, czy mój pan pamięta, że mówił w ten sposób. Oby nie zobaczył tego, co napisałem. Z drugiej strony mógłby się nie zgodzić. Znowu z samym sobą. Ale to bez znaczenia, ponieważ nie ma już zdolności koncentracji, potrzebnej do ponownej lektury mojej opowieści. Śpi teraz, wyobraźcie sobie, z otwartymi ustami i chrapie.

– Tak więc – rzekł mój pan – pieniądze będą stanowić problem. Jak powiedziałem, moi chłopcy uwielbiają mnie, ale nie będą walczyli z miłości. Trudno ich za to winić.

Znowu przerwał. Oczywiście wiedział, co powinien usłyszeć, ale chciał, aby to powiedział Oktawian.

Chłopiec wahał się, a następnie uśmiechnął. Gdy to uczynił, ujawnił się jego urok. Jego piękno, w które wątpiłem, ukazało się w całej pełni. Uśmiechnął się, jakby wiedział, że to, co za chwilę powie, jest trucizną. I podobała mu się ta myśl. Przypominał kota. Leżącego przy ogniu i zaciskającego pazury.

– Istnieje precedens – rzekł. – Inni bywali w podobnych sytuacjach. Na przykład Sulla. – Powoli pił wino i patrzył mojemu panu w oczy znad brzegu pucharu.

– Sulla? – wykrzyknął Lepidus. – To nie najszcześniejszy precedens...

Wspomnienie Sulli wprawiało Rzymian z pokolenia mojego pana w zdenerwowanie. Lucjusz Korneliusz Sulla był nie tylko pierwszym rzymskim wodzem, który zbrojnie zajął miasto, ale, chociaż zdobył wielkie bogactwa w wyniku zwycięstw w wojnach na terenie Azji, ogłosił następnie listę swych wrogów – ich majątki miały zostać skonfiskowane, a oni sami mieli stracić życie. Podobno wśród proskrybowanych znajdował się również Juliusz Cezar, ocalony jedynie

dzięki interwencji swej krewnej, która cieszyła się względami Sulli.

– Sulla? – powtórzył mój pan, jakby to nazwisko go zaskoczyło, chociaż wiedziałem, że udaje. – Sulla? Twój ojciec – zatrzymał się szyderczo na tym słowie – owej nocy, zanim przekroczyliśmy Rubikon, powiedział mi, że nigdy nie będzie naśladował Sulli. Postępowanie Sulli było przedmiotem nienawiści i potępienia ze strony wszystkich porządných ludzi. W wojnie domowej, jak mawiał Cezar, łagodność wobec pokonanych stanowi naczelną imperatyw...

– Szlachetne uczucie – wtrącił się Lepidus. – Wszyscy jesteśmy Rzymianami szlachetnego pochodzenia. Nie zapominajmy o tym.

– Twoi przodkowie – powiedział mój pan – przynoszą ci chlubę, Lepidusie. Oczywiście mój własny rodowód, chociaż znakomity, jest w swych początkach plebejski, a nasz młody przyjaciel tutaj... no cóż, chłopcze, co na to powiesz?

– Sulla zmarł w swoim łóżku. Ty sam, Antoniuszu, trzymałeś w ręku skrwawioną togę Cezara.

– Jakże słusznie mówisz. I całkiem przypadkowo mam tu listę, podaj mi ją, Krytiaszu, trzydziestu najbogatszych senatorów i stu pięćdziesięciu najbardziej majątnych ekwitów, którzy okazali się na tyle nierozważni, aby ogłosić swą sympatię dla samozwańcých wyzwolicieli.

– Byłoby szaleństwem – rzekł Oktawian – gdybyśmy pomaszerowali do Grecji, pozostawiając wrogów tutaj, w Italii...

Nazajutrz zaczęli ustalać nazwiska.

Początkowo uległo to zresztą zwłóce, przez Lepidusa. Szukał asekuracji. Wszystko musi być w porządku, zanim odważy się wyrazić swą zgodę na to, o czym mój pan i Oktawian wiedzieli, że jest nieuniknione. Na podstawie jakiej władzy, pytał, chcą działać? Oczywiście Oktawian jest na razie konsulem, ale musi zdać urząd pod koniec roku. On i Antoniusz, ciągnął dalej, mają władzę prokonsularną, ale ta nie daje żadnej władzy poza ich prowincjami.

– Mamy ponad czterdzieści legionów – odparł mój pan. – Jakiejże jeszcze innej władzy potrzebujesz?

Oktawian rzekł:

– Lepidus ma rację.

Czy już wówczas próbował oddzielić Lepidusa od mojego pana? Myślę, że tak. Rozumiał, że w każdej grupie trzech jeden musi być od czasu do czasu osamotniony.

– Tak – ciągnął dalej – jestem pewien, że wszyscy dostrzegamy różnicę między siłą a władzą. Nasze legiony dają nam siłę, ale jeśli mamy być szanowani, a nie tylko wzbudzać strach, musimy zadbać o stworzenie legalnej podstawy dla naszych działań. Jaka szkoda, że zniósłeś stanowisko dyktatora, Antoniuszu. W przeciwnym razie zgłosiłbym wniosek, abyś je objął.

– Z pewnością – odparł mój pan. – Nie zdziwicie się, jeśli powiem, że nie mam zrozumienia dla formalności prawnych. Jestem wystarczająco stary, aby pamiętać, jak szef, Pompejusz i ten gruby, siedzący na pieniądzech skąpiec Marek Krassus rozbierali na części państwo w Lukce. Dla mnie to wystarczający precedens.

– Ale – upierał się Lepidus – wszyscy porządni ludzie potępili to jako jawny bandytyzm.

– Co zatem?

– No cóż, jestem za młody – odezwał się Oktawian – aby to pamiętać, chociaż oczywiście czytałem o tym. Ale myślę, że widzę wyjście. Ustanówmy rzeczywiście triumwirat, jak oni to zrobili, ale uczynmy to w legalny sposób. Postarajmy się, aby trybun – znam odpowiedniego człowieka – przeprowadził na zgromadzeniu ludowym prawo wyjątkowe, upoważniające nas na okres, powiedzmy, pięciu lat, do zaprowadzenia porządku w Republice. Może on powiedzieć, co zechce, dla uzasadnienia wniosku, byleby to było wystarczająco szlachetne i pozwoliło ludowi głosować za tym środkiem z pełnym przekonaniem. Takie prawo nada nam pełnię władzy i będzie oznaczać, że jeśli którykolwiek z nas postanowi następnie wrócić do życia prywatnego, co, czego jestem pewien, wszyscy chcielibyśmy pewnego dnia uczynić, nie będzie możliwe zaskarżenie naszych czynów. Będziemy także w stanie kontrolować wszystkie wybory urzędnicze i wyznaczać jedynych kandydatów nawet na lata naprzód.

– A niech to – powiedział mój pan. – Jest jednak jeszcze pewna sprawa. Abyśmy startowali na równych prawach, a o to nam przecież chodzi, będziesz musiał, chłopcze, zrezygnować z konsulatu.

Wstrząsnęło to Oktawianem (jak zauważył później mój pan).

– Oczywiście – odparł. – Sam właśnie miałem to zaproponować. Uprzedziłeś mnie. Wyjąłeś mi z ust te słowa.

Zacząłem go wtedy szanować. Takie zręczne i natychmiastowe wyjście z trudnej sytuacji!

Potem wzięli się do pracy. Oprócz listy mojego pana Oktawian i Lepidus dostarczyli także swoje własne, albo raczej dostarczyły je ich sztaby, z imionami senatorów i ekwitów znanych

z tego, że byli, jak to delikatnie ujął Oktawian, „niezadowoleni”. Ogromna liczba imion powtarzała się na wszystkich trzech listach, a wiele z tych osób uciekło już z Italii i miało się znajdować w obozie albo w otoczeniu wyzwolicieli. Gdy ich majątek został oszacowany, Lepidus zapalił się do pracy, zapominając najwyraźniej o swych wcześniejszych wątpliwościach. Oktawian nie okazywał żadnych emocji. Czy miał jakiegokolwiek skrupuły co do charakteru dzieła, do którego realizacji się zabrali, nie potrafię powiedzieć. Nie okazał ani entuzjazmu, ani wstrętu.

W miarę trwania dyskusji nieuchronnie pojawiły się jednak rozbieżności. Wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, że wzięli się do czegoś, co wzbudzi nienawiść porządnym ludzi. Jest coś strasznego w takim skazywaniu. W każdym razie niektórzy z kandydatów do proskrypcji byli przyjaciółmi lub krewnymi jednego albo drugiego z samozwańczych sędziów. Zauważyłem, że w miarę jak dyskusja się przeciągała, mój pan coraz więcej pił. Oktawian popijał tylko małymi łykami wino zmieszane z wodą.

– Lepidusie – oświadczył chłopiec – musisz poświęcić swego brata Paulusa.

– Mojego brata?

– Weź pod uwagę jego konto, weź pod uwagę jego bogactwo. Czy można zaufać komuś, kto zdradził mojego ojca, choć ten darował mu życie? Antoniuszu, zwracam się do ciebie.

Mój pan nie odpowiedział. Nalał sobie wina i westchnął.

– Nie jest moim przyjacielem – wyrzucił z siebie w końcu.

– Zaznacz go – powiedział Oktawian.

– Świetnie – rzekł Lepidus. – Zgadza się ze łzami w oczach dla dobra Republiki. Ale wet za wet. W zamian Antoniusz musi zgodzić się wydać brata swej matki, Lucjusza Juliusza Cezara, sławnego pompejańczyka. Nalegam. Jest związany z wami oboma. Żądam, abyście przyłączyli się do mnie na równi w krwawej zbrodni.

Mój pan napił się znowu. Nie spojrzał na Oktawiana. Czy doznałem wtedy przeczucia? Czy dreszcz trwogi zwrócił moją uwagę na siłę chłopca, na dziką siłę woli, z którą w swoim czasie zaatakuje mojego pana? Przypuszczam, że nie. Takie rzeczy widzi się dopiero z dystansu.

– Czemu nie? – rzekł Oktawian. Następnie wydał straszliwy chichot. – Nie pozostało mu w każdym razie wiele życia. Przeżył swoje na tym świecie. Wyślij go do następnego. Złożenie w ofierze takiego człowieka, julijczyka i Cezara, przekona wątpiących, że nasza wola jest twarda jak etruski marmur. Od takich proskrypcji nie będzie odwrotu.

– Attyk – rzekł Lepidus. – Nikt nie wypłuje więcej złota niż ten tłusty bankier.

– Nie Attyk – mruknął mój pan.

– Nalegam – upierał się Lepidus.

Może po raz pierwszy w swym życiu, pomyślałem wtedy, zasmakował narkotyku władzy absolutnej i doprowadza go to do szału.

– Istnieją uzasadnione powody dla proskrybowania Attyka – wyjaśnił Oktawian. – Najpierw jego bogactwo. Jego przyjaźń z Markiem Brutusem. Wrażenie, jakie jego śmierć zrobiłaby na innych. Doskonale cię rozumiem, mój drogi kolego. Mimo to powinniśmy zrezygnować. Wojna może trwać długo. Gdy uporamy się z Brutusem i Kasjuszem, ciągle będziemy mieć przeciwko sobie Sekstusa Pompejusza. Pochłonie to wiele czasu i pieniędzy. A proskrypcji na taką skalę nie da się powtórzyć. Są one rodzajem jednorazowej daniny majątkowej. Ale potem będziemy nadal potrzebowali coraz więcej pieniędzy, a nikt nie jest lepszy w znajdowaniu funduszy niż Attyk i jego kolega Balbus. Czy nie byłoby mądrze związać ich z nami? A jakże, pozwólmy im poczuć, że znajdowali się blisko śmierci. Tym szczęśliwsi będą, że zachowali życie. Ale na dłuższą metę zyskamy więcej, jeśli usuniemy ich z naszej listy.

– Attyk żyje – zdecydował mój pan. – Balbus także. Nie ma kwestii. Ale Cynceron musi umrzeć.

Słowa te powinny spowodować chłód. Cynceron był w końcu, bez względu na wady jego charakteru i błędność ocen, najznakomitszym żyjącym Rzymianinem. Oczywiście obraził mojego pana w sposób wykluczający przebaczenie. Ale sam Cezar nazwał go „ozdobą kultury rzymskiej” i oszczędził mówcę. Aby wyrządzał więcej szkody, jak mój pan często powtarzał. Co więcej, fakt, że Oktawian ważył teraz życie Cyncerona na szali, stanowił niewątpliwie konsekwencję poparcia, jakiego starzec mu udzielił po idach marcowych. Jeśli istniała jakakolwiek życzliwość, jeśli była jakakolwiek wdzięczność, unosząca się w powietrzu tego zimnego namiotu na wyspie rzecznej, Oktawian powinien przemówić w obronie Cyncerona.

– Jak sobie życzysz, Antoniuszu – rzekł krótko.

Słyszałem, jak Lepidusowi dech zaparło. Mój pan popatrzył na Oktawiana i nie mogłem nic odczytać z jego twarzy.

– Chłopcze – powiedział Oktawian – należy schlebiać, obsypać go zaszczytami i pozbyć się. Pamiętaj te słowa. Sam mi o tym mówiłeś, Antoniuszu. Cynceron ma dość schlebiana na całe życie. Zostanie uczczony przez przyszłe pokolenia, które o nas być może zapomną. Czego więcej może chcieć od życia? Niech stary człowiek umrze.

Tego wieczoru mój pan upił się na smutno. Pomogłem mu dotrzeć do łóżka, a on przywarł do mnie, szlochając. Jego oddech cuchnął winem, a paznokcie wbijały się w moje ramię.

– Krytiaszu – mruknął – cóż to za chłopiec?

ROZDZIAŁ 8

– Zdradziecka postawa senatu oraz próby Cyncerona wygrania przeciwko mnie Oktawiana nie zapobiegły połączeniu sił cezariańskich. Ale ich machinacje dały czas Brutusowi i Kasjuszowi.

W Grecji powitano Brutusa jak bohatera. Wznoszono posągi na cześć zabójcy Cezara. Mój brat Gajusz nie był w stanie stawić mu oporu. Został wzięty do niewoli i skazany na śmierć jako zdrajca. Brutus wybijał monety, które przedstawiały sztylet wyzwolicieli i jego własny wizerunek na rewersie. Wspaniały popis republikańskiej cnoty.

Kasjusz pokonał w Syrii mojego dawnego kolegę, Dolabellę. Wschód, z wyjątkiem Egiptu, znajdował się w ich rękach. Kleopatra napisała do mnie, zapewniając, że wysłała oddziały na pomoc Dolabelli, ale jej flotę złapał sztorm. Mogło to być prawdą, chociaż nigdy nie znalazłem dowodów na to, że tak było. Poprosiła o uznanie swego dziecka, które nazwała Cezarionem, za syna Cezara. Oktawian był oburzony. Jedyne on, upierał się, może szczyścić się tym tytułem. Ale przekonałem go, że ryzyko, iż Kleopatra użyje wsparcia i bogactw Egiptu naszym wrogom, jest tak wielkie, że postąpimy mądrzej, ulegając jej żądaniom. Jakże to ma znaczenie? – zapytałem. W odpowiedzi zmarszczył jedynie posepnie brwi.

Nawet bez bogactw Egiptu nasi przyjaciele mieli środki Azji do swojej dyspozycji. Prowincje wschodnie płaciły każdego roku co najmniej pięćdziesiąt milionów denarów w podatku i trybucie. Nic z tego nie dotarło do Rzymu od zabójstwa Cezara. Wszystko trafiło do skarbcza wyzwolicieli. Stali się teraz jeszcze bardziej wymagający. Miasta Azji zmusili do zapłacenia w ciągu roku trybutu, zwykle ściąganego w ciągu dziesięciu lat. I nie uzyskały one obietnicy zwolnienia z opłat w następnym roku. Wyglądało to tak, jakby głodne wilki dopadły nieszczęsnych mieszkańców prowincji. Ale nie śmieli się przeciwstawić.

Szlachetni wyzwolicieli nie cofnęli się nawet przed zawarciem układu sojuszniczego z zacięłym wrogiem Rzymu, Orodese, władcą Partii, który obiecał pomoc w ludziach i pieniądzu. Aby mnie zgnieść, wystawiliby na niebezpieczeństwo samą Republikę.

Wszystko zmierzało do decydującego starcia. Wojska skupiono pod Filippi, na północy Egei, w wietrznej Tracji. Dotarliśmy tam z najwyższym trudem, albowiem nasi wrogowie panowali na morzu, a Oktawian wbrew mojej radzie tracił czas i środki na daremnych próbach pokonania Sekstusa Pompejusza. To prawda, że flota Pompejusza krępowała nasze wysiłki, ale byłoby

strategicznym błędem tracić czas na niego. Jest dobrą zasadą wojny skoncentrować siły w najważniejszym punkcie, na najgroźniejszym z przeciwników. Oktawian jednak był nowicjuszem, a przyjaciele chłopca, Agrypa i Mecenaz – ludzie pozbawieni jakiegokolwiek doświadczenia, na dodatek Mecenaz ze względu na swój charakter zupełnie nie nadawał się do prowadzenia wojny – podsycali jego próżność.

Oslabiony przez jego zwlekanie, miałem wiele kłopotów z wyrwaniem się z Brundizjum, blokowanego przez Murkusa, admirała Kasjusza. Straciłem na tym trzy legiony i przez resztę kampanii nękały mnie kłopoty, gdyż Murkus nadal utrudniał dopływ zaopatrzenia z Italii.

Prawdę powiedziawszy, zaopatrzenie stanowiło mój największy problem. Nie ma w tym zresztą nic niezwykłego.

Ale to oznaczało konieczność zmuszenia nieprzyjaciela do bitwy. Nie mógłbym przetrzymać długiej kampanii.

Z kolei w interesie przeciwnika leżało zwlekanie. Jak dowiedziałem się później, Kasjusz opowiadał się za unikaniem bitwy, ustępowaniem i wciąganiem mnie, coraz dalej od mojej bazy, w niegościnne tereny Tracji. Ale Brutus miał inny pogląd. Pewny swej cnoty, przeceniał własne zdolności.

Zajęli jednak bardzo obronną pozycję. Wojska rozłożyły się po drugiej stronie Via Egnatia, ich skrzydła zaś od strony lądu chroniły góry, a od strony morza bagna. Linie zaopatrzenia przeciwnika były krótkie i bezpieczne.

„A niech to – westchnąłem. – Nie ma sposobu, aby zejść ich z flanki. Doszłoby do ciężkiej rąbaniny”.

Oktawian tkwił w Dyrrachium. Wysłał wiadomość, że zachorował. Może rzeczywiście był chory. Moim zdaniem, zawiodły go nerwy. Jak dotąd, odnosił sukcesy bez potrzeby wykazywania swej wartości w bitwie. Gdy stanął teraz przed tą koniecznością, leżał, dygocąc, w swym namiocie.

Nie mogłem sobie pozwolić na czekanie. Musieliśmy nawet kopać studnie, gdyż nie było bieżącej wody w pobliżu naszego obozu. Każdego dnia zagrażało nam też przerwanie naszego łańcucha zaopatrzenia.

Kasjusz znajdował się z lewej strony, Brutus z prawej, chroniony przez górski szczyt. Uśmiechnąłem się, gdy się o tym dowiedziałem. Uśmiechnąłem się z podziwu dla Kasjusza, którego zaufanie do zdolności Brutusa było równie wielkie, jak moje do zdolności Oktawiana.

W końcu siły chłopca zajęły pozycję. Z ociąganiem podążył za nimi dwa dni później. Znowu się uśmiechnąłem: ambicja stłumiła, jeśli nie pokonała, strach. Oktawian nie mógł pozwolić, aby przypadł mi zaszczyt zwycięstwa, a byłby zgubiony, gdybym przegrał.

Znalazłem go w namiocie, samego z Agrypą. (Mecenas przezornie wolał trzymać się z dala od bitwy i używał sobie w łaźniach i burdelach Dyrrachium – tych, które oferowały chłopców, oczywiście. A w każdym razie tak przypuszczałem).

Mówiłem krótko. Chociaż zwróciłem się do Oktawiana, moje słowa były naprawdę skierowane do Agrypy, który miał, jak sobie wyobrażałem, a następne wydarzenia potwierdziły, niestety, mój osąd, zadatki na dobrego żołnierza. Wszystko, co muszą zrobić, powiedziałem, to nie ustąpić. Moje własne oddziały uderzą na Kasjusza.

„Zaczęliśmy już torować sobie drogę przez bagna, kopiąc groble”.

„W swoich listach – rzekł Oktawian – pisałeś o konieczności frontalnego ataku”.

„Tak rzeczywiście pisałem, chłopcze, ale jest to zbyt ryzykowne”.

„Czy przedzieranie się przez trzęsawiska nie niesie ze sobą równie wielkiego ryzyka?”

„Na pewno. Z innymi oddziałami niż moje”.

Moja pewność była oczywiście udawana. Dobrze wiedziałem, że nawet Cezar mógłby się obawiać tak śmiałej strategii. Ale przekonałem sam siebie, że nie mam żadnego innego sensownego wyjścia. Moi ludzie ufali mi.

Bitwa na bagnach zaczęła się przed świtem. Dla wodza pierwsze etapy bitwy oznaczają podniecenie, którego nie da się porównać z niczym innym w życiu, nawet z pierwszymi uściskami nowego kochanka. Gdy patrzyłem, jak moi legionieci maszerują, w milczeniu, jakie zarządziłem, w mgłę, i słyszałem jedynie odgłosy stóp chlupiących w płycznach, zacisnąłem zimne palce naokoło szyi i pomyślałem krótko o śmierci i niesławie. Następnie stanąłem na czele rezerwy i wydałem rozkaz do natarcia.

Wzgórz ponad obozem Brutusa dotykały różowe promienie słońca, gdy przez szeregi poniosła się wieść, że pierwsze nasze oddziały natknęły się na wysunięte straże Kasjusza i zmiażdżyły je. Wkrótce odległe okrzyki powiadziły mi, że w obozie nieprzyjacielskim ogłoszono alarm. Posuwałem się naprzód przez moczary rozbrzmiewające głosami ptaków, których spokój zakłóciły odgłosy wojny. Po chwili stanąłem na twardym gruncie. Dzieliła nas może połowa mili od obozu nieprzyjaciół. Widziałem, że wykorzystaliśmy zaskoczenie, na jakie

liczyliśmy, a legiony były w stanie rozwinąć się w linię, gotowe do ataku. Nie chciałem, aby żołnierze posuwali się zbyt szybko, i wydałem rozkaz, by pozostali na zajętych stanowiskach. Nieraz tracono przewagę zdobytą dzięki zaskoczeniu, gdyż dowódcy myśleli, że już osiągnęli zwycięstwo.

Słońce podniosło się, zanim zakończyliśmy przygotowania do ogólnego natarcia. Ku mojej uldze, nieprzyjaciel był wciąż w trakcie formowania szyku. Rzuciliśmy się do ataku. Zmiotliśmy przeciwników i wpadliśmy do obozu. Sama bitwa trwała zaledwie kilka minut. Zwycięstwo stanowiło efekt naszego przygotowania, a także kombinacji odwagi i ostrożności, z jakimi wykonaliśmy nasz plan. Teraz wszystko zależało od Oktawiana. Gdyby jego ludzie nie ustąpili, kampania byłaby zakończona tamtego ranka.

Ale tak się nie stało. Czy Brutusa (albo, co bardziej prawdopodobne, jego sztab) zaalarmował jakiś ruch, którego nie zauważył Kasjusz, czy też nasz atak jedynie uprzedził ich uderzenie zaledwie o kilka godzin, nigdy nie udało mi się ustalić. Ale nawet gdy zabezpieczyliśmy obóz Kasjusza i powstrzymałem moich ludzi na chwilę przed zarządzeniem ogólnego pościgu – zasadniczy fakt, który przemienia porażkę w druzgocącą klęskę – rozeszła się wieść, że Brutus nie tylko wyruszył przeciwko Oktawianowi, ale że armia chłopca ucieka w popłochu. Poza tym jeden z oficerów Brutusa miał dość rozumu, aby ustawić część swej armii w pozycji defensywnej naprzeciwko nas.

Zapanowało zamieszanie. Puchar zwycięstwa wypadł z moich rąk. Musieliśmy skupić swoje siły. Ja sam pośpieszyłem znowu na tyły, wydawszy rozkazy moim oficerom, aby nie ustępowali.

Zanim sytuacja się wyjaśniła, nastał zmierzch. Oktawian rzeczywiście został rozgromiony. Chłopiec uciekł, pod wieczór, ukrywając się w gnieździe ptaka wodnego dwie mile za polem bitwy. Ale Brutus, zaalarmowany wieściami o moim sukcesie i zapewne niemający odwagi natrzeć ze wszystkich swych sił, sam odszedł nagle w zmieszaniu. Żołnierze mówili, że w pierwszej bitwie pod Filippi był jeden zwycięski dowódca i trzech pokonanych. Dowcip tak samo prawdziwy, jak wszystkie inne takie dowcipy.

Na wieczór zwołałem naradę, ale najpierw chciałem spotkać się z Oktawianem na osobności.

Gdy wszedłem, masowało go dwóch niewolników. Leżał na łożu na brzuchu z ręcznikiem przerzuconym przez biodra. Położyłem rękę na jego ramieniu. Skóra chłopca była gorąca i zdrzała od mojego dotyku. Zaraz też wstał, kazał niewolnikom podać wino, po czym ich odprawił.

„Nie wiem, co powiedzieć”.

„Odwaga nie jest stała – odparłem. – Gdy będziesz w moim wieku, zrozumiesz to”.

Przyszedłem zły, ale wyglądał tak młodo, tak nieszczęśliwie, taki był zawstydzony, że to, co odczuwałem wobec niego, gdy żył jeszcze Cezar, wróciło. Otoczyłem go ramieniem, uściśnąłem i poczułem, że się rozluźnia...

Gdy rada, zdenerwowana, przygnębiona, z oczyma ciężkimi ze zmęczenia, zebrała się tamtego wieczoru w moim namiocie, rzekłem:

„Z niczyjej winy znaleźliśmy się w znacznie gorszej sytuacji, aniżeli byliśmy rano, a to dlatego że potrzebujemy zwycięstwa bardziej niż oni. Do nich należy tylko nie ustąpić i im dłużej ta kampania się przeciąga, tym bardziej ich przewaga rośnie”.

Nie takie słowa zebrani mieli nadzieję usłyszeć, ale musieliśmy spojrzeć rzeczywistości w twarz. Zanim zdołałem omówić rzecz szczegółowo, młody oficer Salwidienus Rufus, jeden z najzdolniejszych oficerów Oktawiana, przedarł się przez wartowników i zawołał, że przynosi wielkie wieści...

„Kasjusz nie żyje”.

Przez chwilę nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Wszyscy byli oszołomieni tym nagłym odwróceniem losu. Następnie skoczyli na równe nogi, tłocząc się wokół młodego człowieka i domagając się szczegółów. Minęło trochę czasu, zanim powrócił porządek i przybyły zaczął mówić. Jeśli idzie o mnie, doświadczyłem naglej ulgi. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ciemne były nasze widoki, dopóki te słowa nie spowodowały, że chmury się rozwiały.

„Schwytyany jeńiec – rzekł oficer – którego przesłuchiwałem, zapewnia, że popełnił on samobójstwo. Jestem przekonany, że mówi prawdę. Zdaje się, że Kasjusz sądził, iż Brutus także został pokonany, a ich sprawa jest stracona”.

Nie zacząłem badać, jak do tego doszło, że jeden z ludzi Oktawiana przesłuchiwał moich jeńców. Odwzajemniłem jedynie:

„Panowie. Myliłem się. Nasza sytuacja jest znacznie lepsza niż rano”.

Potem kazałem przynieść wino.

Mimo wszystko nasza sytuacja była nadal niebezpieczna. Brakowało żywności. Brutus musiał jedynie czekać i trwać na swojej pozycji, a my bylibyśmy zmuszeni albo zaatakować, nie zważając na niesprzyjającą dla nas sytuację, albo wycofać się, co było równie ryzykowne.

Przez dwa tygodnie wyczekiwaliśmy, próbując wywabić Brutusa z jego obronnej pozycji. A potem albo opuściła go odwaga, albo sprowokowały żądania jego oficerów i żołnierzy, gdyż dopuścił się największego szaleństwa i zaatakował nas. Mogłem krzyczeć z radości.

Wieczorem płakałem rzewnymi łzami. Nie były zwykłymi łzami ulgi, chociaż i to było powodem do płaczu. Tym razem legiony Oktawiana utrzymały swoje pozycje, a moje spadły na głupio odsłoniętą flankę Brutusa i zniosły wszystko, co znajdowało się przed jego wojskiem.

Nasze zwycięstwo było całkowite, niszczące i nieodwracalne. Armia naszych wrogów przestała istnieć.

Brutus podążył za Kasjuszem w krainę cieni. W ten sam szlachetny sposób. Spojrzałem na ciało i kazałem je okryć purpurową szatą.

„Cnota – rzekłem. – Puste słowo”.

Ale gdy patrzyłem na niego, przypominały mi się dawne lata. Zapomniałem zabójcę Cezara. Zapomniałem nudnego pedanta. Zapomniałem nawet o jego odpowiedzialności za śmierć mojego brata Gajusza. Zamiast tego pamiętałem młodego Marka, w dniach, gdy byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Przypominałem go sobie w ogrodach Palatynu, opowiadającego o wielkich czynach, jakich dokona dla Rzymu, o szlachetności ideałów republikańskich. Przypominałem sobie także, jak w tych szczenięcych latach młodości podziwiałem go, odczuwałem jego dobroć jako naganę dla mojego własnego dzikiego i niesfornego życia, dobroć wyrażaną z taką delikatnością, że nie odczuwałem urazy, lecz podziw i chęć naśladowania go. A przynajmniej czułem to w moich lepszych chwilach.

Kiedyś brałem udział w trwającej kilka dni hulance z Klodiuszem i Kurionem i natknęliśmy się na Brutusa, gdy zataczając się szliśmy przez Forum, waląc w budy karczmarzy, a czasami je przewracając. Jakiś krzepki jegomość zaprotestował i podniosłem na niego sztylet, a wtedy Brutus położył rękę na moim ramieniu, aby powstrzymać buńczuczny gest, i popatrzył na mnie z tak czułym wyrzutem, że odwróciłem się, opuściłem przyjaciół i wróciłem do domu. Nazajutrz odwiedził mnie, zanim wstałem, i mówił długo z wielką serdecznością i troską i bez cienia nagany o tym, że powinienem odmienić swoje życie, jeśli nie chcę zmarnować nadzwyczajnych zdolności, jakie, jego zdaniem, posiadam, że postanowiłem poprawić swoje obyczaje i trwałem w tym postanowieniu przez kilka tygodni.

„Urodziłeś się – rzekł wtedy – na przywódcę naszego pokolenia. Nie ma zaszczytu, którego nie potrafiłbyś osiągnąć. Jestem przekonany o własnej wartości i zdolnościach, ale czuję się sam

nieważny w porównaniu z tobą. A moja miłość do Rzymu jest tak wielka, że gdybym uznał za konieczne dać ci możliwość służenia Republice, co leży w granicach twoich możliwości, odłożyłbym na bok swoją ambicję i wycofałbym się w życie prywatne”.

Wspomnienia napływały niepokromione i straszne jak gwałtownie wzbierający Tybr, gdy patrzyłem na zwłoki Brutusa, z wyrazem największego spokoju na jego poranej bruzdami twarzy. Szlochałem...

Po wszystkich tych latach nadal potrafił mnie zawstydzić. Rzadko słyszałem, aby mówił o Marku Brutusie bez ironii. Nic dziwnego, że wielu posądziło go o nieszczerłość, gdy w swej mowie pogrzebowej nazwał go „najszlachetniejszym z Rzymian”. Jednak teraz jest całkowicie szczerzy. Jego twarz ma obojętny wyraz i chociaż jestem pewien, że oplakując na nowo Brutusa, gdy stoi w obliczu swojej własnej zagłady, oplakuje to, co ze sobą zrobił i czego nie udało mu się zrobić, mimo wszystko jego uczucie jest prawdziwe i naprawdę oplakuje Brutusa. Prawda jest taka, że nigdy go do końca nie zrozumie.

– Ostatni list, jaki do mnie napisał – nigdy go nie widziałeś, Krytiaszu, a może? Trzymam go w moim tajemnym sekretarzyku, a właściwie w moim sercu. Znam go na pamięć. Wysłał ten list na trzy dni przedtem, zanim jego świat się zawalił pod Filipi...

Antoniuszu! Złośliwy los stawia nas teraz przeciwko sobie i wiąże ze sprawami, z których żaden nie może się wycofać. Jednak zasmuca mnie myśl o tym, co się stanie.

Obydwoj odczuwaliśmy siłę woli Cezara i zniewalający wpływ jego uroku.

Ale wiedziałem, że Cezar zmierza do zniszczenia wszystkiego tego, co wielkie i szlachetne w duszy i w sercu Rzymu. Nie sądzę, aby naprawdę tego chciał. Kierował nim demon, wobec którego był bezsilny, co zapewne, acz niedoskonale, rozumiał.

Zasmuca mnie, że Ty – tak wielkoduszny i wspaniałomyślny – daleś się mu zniewolić.

Mogłeś przyłączyć się do Kasjusza i moich przyjaciół, próbując wraz z nami wyzwolić Republikę. Nawet po złożeniu przez nas ofiary z Cezara chciałem pozostać Twoim przyjacielem i przywrócić zgodę między nami.

Niestety, zostaliśmy odsunięci od siebie przez okrutny bieg wypadków i jesteś teraz związany z młodym Oktawianem, który ma całą ambicję Cezara i nic z jego szlachetności.

Podporządkowałeś jemu swą wolę i zapłacisz za to szaleństwo.

Czy nie rozumiesz jeszcze, że rządy jednej osoby oznaczają zniszczenie wolności, której żaden dzielny człowiek nie odda, chyba że wraz ze swoim życiem?

Och, Antoniuszu, stary towarzyszu mojej młodości, boleję nad Tobą, mój bracie.

Może zginę w bitwie, na którą jesteśmy skazani, a ze mną umrze wolność. Lepiej byłoby dla Ciebie, gdybyś padł na tym polu pod Filippi. Albowiem Twoje zwycięstwo, jeśli bogowie pozwolą na nie, przyniesie gorzkie owoce, zrodzi truciznę, która zepsuje i zniszczy cię. Może w ostatnich dniach swojego życia wspomnisz Brutusa, który Cię kochał i ocaliłby przed tobą samym, gdybyś tylko chciał zostać ocalony.

Czy nie rozumiesz tego, mój drogi?

Monarchia jak okrutny mróz zabija wszystko, co odznacza się prawdziwą żywotnością. Pod rządami jednej osoby wszyscy ludzie stają się niewolnikami.

Jeśli umrę, uniknę tego. Jeśli wygrasz, zgniecie Cię straszliwa i żelazna wola chłopca. Nie potrafisz go pokonać, albowiem to, co w Tobie ludzkie, ulegnie jego nieludzkości...

To dziwne, że nigdy nie sądziłem, aby miał on intuicję.

Bitwa pod Filippi była straszniejsza niż jakakolwiek z bitew Cezara. W żadnej nie zginęło tak wielu wybitnych mężów ze szlacheckich rodzin.

Na nalegania Oktawiana, na które się z ociąganiem zgodziłem, rzeź się na tym nie skończyła. Zgładzono wielu z tych, którzy uciekli z Italii, aby przyłączyć się do Brutusa i Kasjusza.

„Racja stanu – rzekł Oktawian. – Zgodziliśmy się na to. Nie ma mowy o łagodności”.

Gdy pokonani defilowali obok nas, pozdrawiali mnie jako „imperatora”, Oktawiana zaś obrzucali wyzwiskami. Być może tłumaczy to jego żądza krwi. Od dawna zauważyłem, że cywile, tacy jakim on był z natury i jest, są zawsze bardziej żądni egzekucji po bitwie aniżeli żołnierze. Gdy Kwintus Ligariusz, jeden z zabójców Cezara, popatrzył mojemu koledze prosto w oczy i zażądał honorowego pogrzebu, Oktawian odrzekł: „to sprawa dla sędziów”. Gdy ojciec i syn zapomnieli ich imion – błagali, aby chociaż jednego z nich oszczędzono, kazał im rzucać losy. Zarządził nawet odcięcie głowy Brutusowi, aby można ją było rzucić do stóp posągu Cezara w Rzymie.

Udało mi się ocalić życie bliskiego przyjaciela Brutusa, Lucylusza. Jest ze mną nawet teraz.

Chociaż Oktawian, zapewne doprowadzony do tak nikczemnego okrucieństwa przez świadomość własnego tchórzostwa w pierwszej bitwie (jakby mógł wymazać wspomnienie swej ucieczki w strumieniach krwi), okazał się surowy niczym alpejski wiatr i bezlitosny jak sam Sulla, w naszych prywatnych kontaktach odzyskiwał swój chłopięcy wdzięk. Przyznał szczerze, jak wiele mi zawdzięcza, i błagał, żebym mu przebaczył, iż nie był dość silny, aby udźwignąć większą część ciężaru. Gdy byliśmy sami, zdawało się, że obawy i napięcia dwóch lat, od kiedy zabójstwo Cezara popchnęło go w życie publiczne (albo dało mu sposobność wejścia w nie), uleciały z niego. Żartował, śmiał się i okazywał się zachwycająco czuły. Dał także do zrozumienia, że nasze urządzenie świata będzie serdeczne i że jest gotów przystać na wszystko, cokolwiek zalecę.

„Albowiem – rzekł – zniosłeś żar bitwy i słusznie należy ci się palma zwycięstwa”.

Nie mogłem mu się odwzajemnić. Przeszkadzał mi w tym obraz chłopca stojącego na podium i wymierzającego śmierć. Nie potrafiłem myśleć o nim tak, jak myślałem wcześniej, z uczuciem, które trwało nawet wówczas, gdy zdawało się, że zawziął się, aby mnie zniszczyć. Nie potrafiłem już o nim dłużej myśleć jako o chłopcu.

ROZDZIAŁ 9

– Czy po Filippi mogliśmy zaprowadzić porządek w Republice? Miałem najlepsze intencje, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli Oktawian i ja nie mamy rozpocząć wojny na śmierć i życie, zgodę między nami należy oprzeć na solidnych podstawach. A skoro moje intencje były dobre, zaufałem mu.

Sprawą zasadniczą było określenie podziału obowiązków. Spotkaliśmy się na osobności, aby to załatwić. Nieszczęsny Lepidus poszedł w zapomnienie. Nie miał najmniejszego udziału w naszym zwycięstwie pod Filippi i gnił w Hiszpanii, gdzie nie potrafił podporządkować sobie Sekstusa Pompejusza, który ze swej bazy na Sycylii kontrolował Morze Zachodnie.

Dwie kwestie były dla nas najważniejsze. Musieliśmy rozpuścić legionistów, którzy odsłużyli już swój czas, i wypłaciwszy im obiecane sumy, osiedlić tych ludzi w koloniach. Na swe nieszczęście, jak się okazało, przyrzekliśmy im najlepsze gospodarstwa w Italii. Z kolei aby opłacić żołnierzy w służbie czynnej, musieliśmy odbudować finanse wschodnich prowincji, spustoszonych przez chciwość Krassusa, a jednocześnie przygotować się do planowanej przez Juliusza wojny z Partią. Za życia Cezara powątpiewałem w sensowność tego przedsięwzięcia, uważając, że traktował tę wojnę jako sposób na powiększenie swej sławy i ucieczkę przed reformowaniem Republiki. Ale teraz zuchwalstwo i najazdy Partów, zachęconych naszymi sporami wewnętrznymi, uczyniły konieczną, a nawet pilną, walkę z nimi.

Początkowo Oktawian wzdragał się przed perspektywą wojny na tak wielką skalę. Ale gdy przekonywałem o jej konieczności i wreszcie przekonałem go, że jest nieunikniona, oświadczył, iż jest gotów ją poprowadzić. I dowodzić naszą armią. Śmieszny pomysł.

Legiony, obawiające się wojny partyjskiej z powodu wspomnień klęski doznanej przez Marka Krassusa, nigdy nie wyruszyłyby na tak niebezpieczną wyprawę pod wodzą młodzieńca, który ukrył się przed wojskami Brutusa w gnieździe ptaka wodnego. Ale oczywiście nie wyraziłem sprzeciwu tak bez ogródek. Nie miałem powodu, jak sami rozumiecie, ranić chłopca. A w każdym razie, kierując się przekonaniem, że bezpieczeństwo państwa i restauracja pokoju w obrębie świata rzymskiego zależy od zachowania naszej przyjaźni, jedynie w oględny sposób wyraziłem swój sprzeciw.

Ostatecznie zatem stanęło na tym, że Oktawian wróci do Italii, aby osiedlić weteranów, ale

Italia zostanie potraktowana jako obszar wspólny, albowiem obaj będziemy musieli przeprowadzać tam rekrutację nowych legionów. Galia Cisalpińska zostanie włączona do Italii, jak dawno temu zamierzał Cezar. Stanowiło to ustępstwo z mojej strony, gdyż byłem prawowitym namiestnikiem tej prowincji. Zachowałem władzę nad Galią Komatą i Galią Narbońską. W przeciwnym razie cały zachód należałby do Oktawiana.

„Co z Lepidusem?” – zapytał, zapomniawszy wcześniej o nim.

„Zachowa Afrykę”.

Wschód miał podlegać mnie, a Oktawian podjął się dostarczenia mi wszelkich dodatkowych oddziałów, jakich potrzebowałem na wojnę z Partią (okoliczności miały mnie jednak zmusić raz jeszcze do jej odłożenia).

Zawarliśmy nasze porozumienie na piśmie.

Potem, ponieważ Oktawian oświadczył, że nadal ma kłopoty z żołądkiem i musi wystrzegać się wina, udaliśmy się w poszukiwaniu rozrywki do domu publicznego. Chociaż chłopiec formalnie poślubił córkę Fulwii – moją pasierbicę Klaudię – aby przypieczętować nasz sojusz na kilka miesięcy przed Filippi, ubawiłem się, widząc, że wybrał sobie do zabawy chłopca: kędzierzawego efeba o zachęcającym uśmiechu, którego upodobałbym sobie, gdyby moje oko nie padło już na pulchną Murzynkę z naoliwionymi udami, lśniącymi niby zbroja centuriona. Piła jak centurion i lubiła swe zajęcie, co dobrze świadczyło o zakładzie. Nawet dzisiaj podnieca mnie myśl o niej. Wykupiłem ją od jej alfonsa i zrobiło mi się przykro, gdy zmarła z gorączki kilka miesięcy później.

List od Fulwii zakłócił mój spokój w kilka tygodni po powrocie Oktawiana do Italii.

Czasami myślę, że nie powinnam spuszczać Cię z oczu. Nie można Ci zwyczajnie zaufać. Gdy odnoszę się do Ciebie życzliwie, co staram się robić, gdyż jesteśmy ze sobą związani jako mąż i żona, a ja jako potomkini wielkiego rodu, który może się pochwalić ponad tuzinem konsuli, szanuję i cenię małżeństwo. A więc myślę, że dzieje się tak dlatego, że za bardzo sobie ufasz. Masz szlachetną naturę, co czyni cię ślepym na niegodziwość innych.

Ale z drugiej strony, pamiętam pewne rzeczy, które zrobiłeś, i sposób, w jaki mnie traktowałeś – bez szacunku należnego komuś o moim pochodzeniu, i chociaż sama to mówię, charakterze, a wtedy myślę sobie, że dzieje się tak po prostu dlatego, że jesteś głupcem.

Musisz być głupcem, zawierając taką umowę z tym małym łajdakiem Oktawianem. Wiesz,

nawiasem mówiąc, że nigdy jeszcze nie spał z naszą córką. Pokazuje to, jaki z niego mężczyzna. Wstrętny, mały, choć przebiegły zboczeniec.

Tak przebiegły, że mój wspaniały wielki głupi Antoniusz wpadł prosto w dół, który Oktawian dla niego wykopał.

Idę o zakład, że próbował ukraść wschodnie prowincje i wojnę partyjską dla siebie i że Ty uważasz, że Tobie się wydaje, iż go przechytrzyłeś, odwołując od tego.

Czy nie jest tak?

Niewiarygodne.

Jak można było uwierzyć, że tchórzliwy mały zniewieścialec – wszyscy słyszeliśmy, jak zachował się w czasie pierwszej bitwy, a szkoda, że nie wiesz, co o nim mówią dziewczęta z mojego kółka tkackiego – odważyłby się wyruszyć na wojnę partyjską?

Czy nie rozumiesz? Cały czas chciał Italii, a chciał, ponieważ kontrola nad Italią zapewni mu władzę nad Republiką.

A ty podałeś mu to na tacy.

Na szczęście Twój brat Lucjusz został konsulem tego roku – jestem zdumiona, że okazałeś tyle przezorności, aby powierzyć mu tę funkcję – na szczęście, gdyż mogę go teraz użyć, aby zatruć życie tej kreaturze, która od mojej córki woli wypachnionych, kręcących pupciami chłopców. Nie żebym cenila samego Lucjusza. Zawsze uważałam go za ofermę, jak wiesz, ale potrafię wlać w niego trochę żelaza, gdy okaże się to konieczne.

Nie wiem, co począłbyś beze mnie albo gdzie byś był. Ale uczynię cię panem Republiki, choćby wbrew Tobie samemu...

Napisałem oczywiście do Lucjusza, polecając mu współpracować z Oktawianem i nie zwracać w ogóle uwagi na bredzenia Fulwii. Można by z równym skutkiem kazać tonącemu nie zwracać uwagi na wodę, która go pochłania.

Na swoje usprawiedliwienie powiem, że byłem ogromnie zajęty. Historycy nigdy nie doceniają ciężaru rządzenia. Zarządzanie imperium nie kończy się na określaniu ogólnego kierunku polityki. Są pilne decyzje, które trzeba podejmować codziennie, a każda decyzja wymaga rozważenia wielu czynników. Jeśli nadam jakiś przywilej jednemu miastu, jaki będzie to miało wpływ na drugie... i tak dalej. Poza tym prowincje wschodnie znajdowały się w stanie

bliskim anarchii. Brutus i Kasjusz ograbili je, jakby byli zbójcami, a nie namiestnikami. Niewątpliwie usprawiedliwialiby się koniecznością. Ale dzieło przywrócenia porządku i zgody było naglące i wyczerpujące. Po prostu nie miałem czasu, aby zajmować się jednocześnie sprawami Italii. Poza tym podjąłem się zebrania pieniędzy potrzebnych na opłacenie części legionów i wsparcie tych, które trzymaliśmy pod bronią. Stanowiło to część mojego targu z Oktawianem i byłem zdecydowany dotrzymać umowy.

Ale czy byłem zarazem świadomie zaślepiony? Naprawdę nie wiem. Może byłem. W ogarniającym mnie teraz nastroju wątpliwości myślę, że tak.

Stale byłem w ruchu. Pewne listy wysłane do mnie nie nadeszły. W przeciwnym razie, kto wie, co mógłbym zrobić, aby oddalić...

Krytiaszu, jestem zmęczony, każ przynieść wino...

– Noc zapada szybko tutaj, w moim Timonium, gdy wpatruję się w ciemne, wirujące wody gorzkich wspomnień i próżnych żalów. Jest bardzo cicho w nocy. Nawet ptaki morskie śpią i ucichł hałas dalekiego miasta.

Miałem wspaniałe życie, nie sądzisz, Krytiaszu? Ziemia obraca się ciężko. Jakby ogłaszała, że nie pozwala mi już dłużej stąpać po niej, zawstydzona moją obecnością.

O czym to ja mówiłem?

– O wojnie peruzyńskiej, panie. Zamierzałeś właśnie o niej zacząć opowiadać.

– Cóż mam powiedzieć? Nie było mnie tam, pracowałem, zbierałem wojska, rozsądzałem miasta, łajdaczyłem się i ucztowałem na Wschodzie.

Peruzja? No cóż, jeśli mam zostawić historię mojego życia, muszę i o niej opowiedzieć.

Przydział ziemi przysporzył Oktawianowi kłopotów. Zadanie byłoby ciężkie, nawet gdyby przeprowadził je lepiej. W Italii panowało rozgoryczenie. Ci, którzy posiadali ziemię, obawiali się ją stracić, ci, którzy nie mieli żadnej, mieli nadzieję jakąś zdobyć. W miastach na całym półwyspie dochodziło do krwawych walk ulicznych między obywatelami a żołnierzami. Nadeszły wieści, że zdemobilizowanych legionistów na ziemiach, które im przydzielono, powitano kamieniami.

Ale Oktawian pogorszył sytuację bardziej, aniżeli było to konieczne. Faworyzował swoich weteranów kosztem moich. Przejmował skonfiskowane majątki na własność i sprzedawał po wysokich cenach na wolnym rynku. Zraził do siebie całe okręgi. Wybuchły bunty w Etrurii i na

starych ziemiach sabińskich.

Mówi się, że Fulwia podzęgała do nich. Ku mojemu wstydnowi, muszę przyznać, że to zrobiła. Nie ona jednak była ich przyczyną. Ta leżała głębiej, w od dawna tłumionej złości, której wybuch spowodowały drastyczne posunięcia Oktawiana.

Ale prawdziwa uraza Fulwii kierowała się przeciwko mnie. Znała mój charakter. Wiedziała, że zawarłszy układ z Oktawianem, zamierzam go dotrzymać. Dlatego dążyła do skompromitowania, a następnie zniszczenia Oktawiana. Nawet ja ledwie mogę winić go za zareagowanie w podobny sposób. Najbardziej ze wszystkiego nie mogę jej przebaczyć zbałamucenia biednego Lucjusza. Gdy osioł wbił swe kopyta w ziemię, pobudzała go do czynu za pomocą ościenia.

Jesienią doszło do otwartej wojny. Wtedy Oktawian rozstał się z niemile widzianą żoną Klaudią, którą obraził swą obojętnością. Wezwał Salwidienusa Rufusa z sześcioma legionami z Hiszpanii. Zbyt późno zrozumiał, że się przeliczył, Lucjusz próbował przedrzeć się na północ. Ale i na to było za późno. Salwidienus i Agrypa odcięli go. Wycofał się do Peruzji i przygotowywał do odparcia oblężenia, mając nadzieję na pomoc wiernych mu dowódców. Nie brałem w tym jednak udziału i w ogóle nie wiedziałem, co się dzieje.

Podobno w Peruzji żołnierze Lucjusza wypisywali moje imię na pociskach, które wystrzelili ze swoich proc. Aby uświadomić oblegającym, że prowadzą wojnę przeciwko „bohaterowi spod Filippi”. Oblężenie trwało przez straszną górską zimę. Próby przedarcia się zawiodły. Zapanował głód. Fulwia raczej aniżeli Lucjusz pobudzała garnizon do heroicznych czynów. Tych, którzy mówili o pokoju, poddawano chłości lub skazywano na śmierć. Opowiadano później, że gdy dwaj urzędnicy miasta przemawiali za poddaniem się, Fulwia kazała ich powiesić, a ciała zrzucić z murów.

Chciałbym myśleć, że to nie jest prawda.

Lucjusz wreszcie zachował się jak mężczyzna i stawił czoło rzeczywistości. Ignorując moją żonę, wynegocjował kapitulację miasta. Obiecano mu łagodność. Ufając obietnicy, poddał się, po to tylko, aby się dowiedzieć, ku swjej rozpacz, że łagodność dotyczy tylko jego. Poniżywszy go, trzymając przez dwa tygodnie w wykutej w skale celi, Oktawian pogardliwie uczynił go namiestnikiem Hiszpanii Dalszej.

„Wiem, że właśnie tego życzylibyście sobie ty i twój brat” oświadczył.

Wychodząc ze spotkania, z przekrwionymi oczami i ciałem cuchnącym po ciężkich

przejściach, Lucjusz szedł obok zwłok swych towarzyszy, dyndających w kajdanach.

Nigdy nie otrząsnął się ze swego poniżenia. Listy, które pisał do mnie z Hiszpanii, były chaotyczne, pozbawione związku, pełne poczucia winy – i nienawiści zarówno do Fulwii, jak i do Oktawiana. Z trudem mogłem zrozumieć, co się wydarzyło, albo co on uważał, że się wydarzyło. Ale nie wątpiłem, że mojego brata złamały te straszne miesiące i ich jeszcze straszniejszy finał. Oficerowie, którzy uniknęli rzezi, wymykając się z miasta w przebraniu, i przedostali się do mnie do Grecji, mówili o tym wszystkim z przerażeniem...

Wiele miesięcy potem, gdy ocaleli obywatele wzniesli pomnik ku czci tych, którzy zginęli, walcząc o republikańską wolność. Oktawian kazał go zburzyć i nałożył na miasto straszną grzywnę.

Oszczędzono również Fulwię. Przewieziono ją pod eskortą do Rzymu i trzymano pod strażą u westalek.

Ta kara, jeśli zechcesz uczynić ją dożywotnią, będzie dla niej właściwa – napisał Oktawian. – Nie jest ona typem kobiety, który westalki pochwalają, i pozwoli jej odczuć swą wzdargę. Ale szczerze mówiąc, bracie, na Twoim miejscu rozwiódłbym się z nią. Swym postępowaniem okazała się niegodna Ciebie i jest oczywiste, że stanowi przeszkodę dla naszych wspólnych trudów, w istocie nieprzewyciężoną przeszkodę.

Miał rację, ale oczywiście nie mogłem przyjąć jego sugestii. Mimo powściągliwego języka brzmiała za bardzo jak rozkaz. Z ciężkim sercem kazałem Fulwii przybyć do Grecji.

Gdy przyjechała do Aten, stwierdziłem, że ciężkie przeżycia nie poprawiły jej usposobienia. Oskarżyła mnie o zaniedbanie zarówno jej, jak i moich własnych interesów. Intrygowała również z agentami wysłanymi przez Sekstusa Pompejusza, u którego schroniła się moja matka, obawiając się gniewu Oktawiana. Ale nie chciałem mieć nic wspólnego z Pompejuszem. Dałem przecieź słowo Oktawianowi.

Znosiłem wyrzuty Fulwii ze stoicyzmem obcym mojej naturze. Może dręczyło mnie poczucie winy. Z pewnością było mi żal kogoś tak zagniewanego na cały świat.

Zostawiłem ją w Atenach. Nie było mi przykro z tego powodu, albowiem jej wymówki były nie do zniesienia. Ale ogarnął mnie smutek, gdy zmarła kilka miesięcy później. Mimo wszystkich ułomności swego charakteru była jedyną z mych żon, która całym sercem przyłączyła się do

mojej sprawy. A jeśli wyrządziła jej szkodę, jak zrobiła, nie stało się tak wskutek jej złej woli.

ROZDZIAŁ 10

Usiłuje powiedzieć prawdę. Jestem tego pewien. Ale zawsze się cofa... Po części dlatego, że lata bezpośrednio po Filippi były latami sławy, a także latami dogodnych okazji, jak sądziłem nawet wtedy. Uzyskał najwyższą pozycję w świecie rzymskim i w oczach wszystkich górował nad Oktawianem, tak jak słońce góruje nad księżycem. Przez brak rozwagi i wielkopańskie niedbalstwo pozwolił, aby władza wymknęła mu się z rąk. Sprawia mu zbyt wielki ból rozwodzenie się nad tym.

Znowu też wykorzystuje mnie teraz, czy też, powinienem powiedzieć, wykorzystuje te pamiątki, aby zapewnić sobie właściwe miejsce w historii. Z pewnością nie tu, moim zdaniem, należy szukać prawdy. Skrupulatnie omija bowiem kłopoty i wszystko to, czym mógłby się czuć zawstydzony.

Wiem oczywiście, że wielu sama myśl o moim panu odczuwającym wstyd wyda się niedorzeczna. Zupełnie niesłusznie. Oktawian, który niezwykle przenikliwie potrafił oceniać charakter innych, zauważył podobno, że Antoniusz nawet w swoich najwspanialszych godzinach – może szczególnie wtedy? – przypomina świętego ucznia. Uwaga była niegrzeczna, czego właściwie można było oczekiwać od bystrego – strasznie bystrego – małego łajdaka, jakim był Oktawian. Tak czy owak, coś w tym jest. I nie mówcie mi, że uczniowie, nawet wspaniali uczniowie, nie potrafią doświadczać wstydu. Jeśli chcecie mojej opinii, odczuwają go jeszcze silniej niż dorośli, ponieważ tak im zależy na tym, aby dobrze o nich myślano.

Poza tym chociaż żaden mężczyzna nie miałby żadnego poczucia winy z powodu niewierności wobec tej jędzy Fulwii, Antoniusz je miał. Wiedział doskonale, że była wcieloną okropnością, ale była jego okropnością, i czuł się odpowiedzialny wobec niej i za nią. Sytuację jeszcze bardziej pogorszył fakt, że tak dobrze się bawił, gdy ona cierpiała z powodu przerażającego obłąkania Peruzji. Przede wszystkim w Kapadocji miał małą przygodę z naprawdę cudowną dziewczyną imieniem Głafyra, kochanką (przez większość czasu, ale nie wyłącznie) władcy Komany – jego imienia nie pamiętam. Głafyra była damą o obfitych wdziękach (i figurze), typ, z którym Antoniusz mógł się czuć rzeczywiście dobrze. Prawdę powiedziawszy, wyglądała jak jego matka. Krzątała się wokół niego, pieściła go i dawała mu zadowolenie. Uwielbiał niewielkie dawki domowego szczęścia i żartów. Jej greka była zresztą

straszna, a poczucie humoru niezwykle grubiańskie, gdyż zaczęła życie na ulicach i pracowała w domu publicznym, zanim została kochanką władcy. Trudno było o większe przeciwieństwo Fulwii i nic dziwnego, że mu się podobała.

A potem była Kleopatra. Mój pan niezmiennie zaprzeczał, że kochał się z nią jeszcze za życia Cezara, chociaż sprawiało mu ogromną przyjemność, gdy dawała do zrozumienia, że rzuciłaby dla niego Cezara, gdyby zrobił pierwszy krok. Zatem owej zimy rzeczywiście po raz pierwszy zostali kochankami. Przybyła do niego do Tarsu w Cylicji, dokąd ją wezwał, aby wyjaśnić jej postępowanie w czasie wojny filipińskiej.

Wszyscy chyba znają już historię jej wjazdu, ale na wypadek, gdybyście tej historii jednak nie znali – a przyszłe pokolenia będą miały szansę czytania tej opowieści (którą piszę teraz, mogę rzec, drżąc z obawy, podniecenia i przeczucia czegoś złego, jeśli nie jest to zbyt pompatyczne słowo) – chyba mogę przedstawić również moją wersję tego spotkania.

Nie od razu odpowiedziała na jego zaproszenie, które było w rzeczywistości rozkazem. Nic dziwnego, pomyślałem sobie, gdy przybyła. Najbardziej pomysłowemu reżyserowi teatralnemu musiało zająć tygodnie przygotowanie takiego przedstawienia.

Przypłynęła rzeką Kydnos w najwspanialszej galerze, jaką kiedykolwiek widziałem. Rufa była pokryta złotem – a w każdym razie złotą folią – żagle purpurowe, a wiosła srebrne. Wioślarze utrzymywali tempo w takt muzyki fletów, piszczałek i harf. Królowa, ubrana i przystrojona jak Afrodyta, którą Rzymianie zwą Wenus, leżała pod baldachimem haftowanym matowym złotem, najbardziej znakomitej i kosztownej roboty. Wachlowało ją ośmiu ustawionych przy łożu, na którym spoczywała, ślicznych chłopców, ucharakteryzowanych na kupidynów. Jej palce delikatnie tańczyły po na wpół obnażonych piersiach. Służące były przebrane za nereidy. Zapach palonego kadzidła unosił się z galery i odurzał tłum ustawiony wzdłuż brzegu.

Afrodyta, mówiono, przybyła na ucztę z Dionizosem, bogiem, którego Antoniusz otaczał taką czcią, że wielu uważało go za jego wcielenie.

Oczywiście było to w złym guście, ale nie da się zaprzeczyć, że robiło wspaniałe wrażenie. I było przy tym niezwykle zmysłowe. Mój pan wsiadł na galerę jak byk w rui i wyznaję, że sam dałem się ponieść. (Na szczęście udało mi się później, wieczorem, gdy Antoniusz i Kleopatra zajęli się sobą, porwać jednego z umalowanych kupidynów, których wyraźne i oczywiste wdzięki nie okazały się pod żadnym względem zwodnicze). Antoniusz znalazł Kleopatrze równie

satysfakcjonującą i nic dziwnego, że był gotów udać się z nią do Aleksandrii.

Mimo wszystko nie zatracił się w miłości, bez względu na to, co opowiadano na ten temat w Rzymie.

A może jednak?

Nikt lepiej ode mnie nie znał jego nastrojów, kaprysów i emocji, a mimo to nie potrafię dać pewnej odpowiedzi na owo pytanie. Ciągle mnie to zdumiewa.

Jedno wszakże mogę powiedzieć, a sami zdecydujecie, o czym to świadczy.

Myślę o co najmniej dwóch tuzinach kobiet, z których łask Antoniusz korzystał przez wszystkie te lata (albo na odwrót, jeśli wolicie), i gdyby mnie poproszono, abym uszeregował je pod względem piękności, bez wątpienia Kleopatra znalazłaby się w niższej części listy. W pewnym świetle mogła się nawet wydać okropna, a nikt nie mógł zaprzeczyć, że miała nieproporcjonalny podbródek. Ujawniłoby się to w starszym wieku (gdyby go dożyła). W młodości była niewielkiego wzrostu i miała zgrabne nogi, ale, podobnie jak mój pan, lubiła zjeść i wypić, a już wtedy wykazywała skłonności do tycia. Nawet poza tym rankami, gdy miała kaca, wyglądała starzej niż na swój wiek. Nie mogło być pięknym widokiem obudzić się obok niej.

Krótko mówiąc, jeśli idzie o urodę, nie można by jej porównać do mojej ukochanej Kytheris, a nawet Fulwia była o wiele piękniejszą kobietą.

Ale wszystko to było bez znaczenia. Kleopatra miała cudowny głos – mówiła zresztą co najmniej ośmioma językami, żadnym z nich, jak mnie zapewniano, poprawnie – a już z pewnością tak się sprawy miały z jej greką. Ale grała swym głosem niczym instrumentem muzycznym, rozumowi zaś nie można było jej odmówić. Oczywiście, to łatwe dla królowej albo wodza zyskać sobie reputację z powodu rozumu, albowiem ci naokoło są zawsze gotowi go doceniać, ale nie ma żadnych wątpliwości, że Kleopatra była naprawdę niezwykle inteligentna i dlatego jest mi przykro teraz, że nie mogę, wyobraźcie sobie, przypomnieć sobie żadnej mądrej ani zasługującej na zapamiętanie jej wypowiedzi.

Wtedy gotowa była dzielić wszystko w życiu mojego pana, a jest to czymś tak niezmiernie rzadkim u kobiet, że ci, którzy zachwycają się kobietami, uznają to za wspaniałe. Z zapalem grała, piła, ucztowała, polowała, ba, uczestniczyła nawet w przeglądach oddziałów wojskowych. I zdawała się czerpać równie wiele przyjemności ze wszystkich tych zajęć, co czerpała (rzekomo) ze spółkowania. Włoczyła się nocami z moim panem po mieście, a co wyczyniali przy tych

okazjach, wolę nie opisywać.

Nie ulega też wątpliwości, że zachęcała go do picia więcej, niż mu to służyło. I ponosi odpowiedzialność za jego obecny stan. Zachęcała go do rozpusty, co uczyniło go gorszym, niż był. Z drugiej strony, kto może kochać mężczyznę bez takich przywar albo niezdolnego do tak wspaniałego pobłażania samemu sobie?

Mimo to w tamtym okresie nie kochał on wcale Kleopatry bez pamięci. Jego zainteresowanie nią było, jak mi często powtarzał, przede wszystkim polityczne. Rozumiał znaczenie Egiptu i jego bogactw i był, jak Cezar, zdecydowany utrzymać królową jako sprzymierzeńca. Nawet gdyby trzeba było pójść z Kleopatram do łóżka.

O tym, że nie był do niej przywiązany, świadczy fakt, że kiedy musiał pojechać do Italii, zrobił to i nie widział Kleopatry przez ponad cztery lata. To zadaje kłam tym, którzy go krytykowali, rozpuszczając plotki, że stracił dla niej głowę.

Istniała jeszcze jedna przyczyna, dla której nie jest w stanie mówić szczerze o tych latach. Chodzi o to, że oszalał wcale nie na punkcie Kleopatry, lecz Oktawiana.

Nie może teraz tego przyznać i nie mógłby nawet wtedy.

Gdy mówię, że oszalał na punkcie Oktawiana, nie mam na myśli tego, że chciał z nim pójść do łóżka. Bez względu na to, czy zrobił to wcześniej, jak niektórzy utrzymują i jak sam nieraz się przechwalał po pijanemu, czy nie. Nawet jeśli do tego doszło, należało to już do przeszłości.

Ale w jego stosunku do chłopca było coś obsesyjnego. Wierzył, że ugoda, którą z nim zawarł, jest najważniejszą rzeczą w jego życiu. Uważał za konieczne utrzymanie równowagi świata rzymskiego, a cała jego polityka, od Filippi począwszy, była podporządkowana temu celowi.

Nawet wtedy gdy wyparł się działania swego brata Lucjusza i swej żony Fulwii.

Ale tak jak się oszukiwał, myśląc, że jego związek z królową jest przede wszystkim polityczny, tak samo oszukiwał się w sprawie swych stosunków z Oktawianem.

Prawda zaś była taka, że ogromnie mu zależało na dobrej opinii Oktawiana. Tęsknił za doskonałą zgodą między nimi. Wpadał w pasję, gdy uznawał, że Oktawian zdradził jego zaufanie i źle mu się przysłużył – co zdarzało się za każdym razem, gdy zawierali nową ugodę. Ale zawsze wracał.

Nie potrafię tego wyjaśnić. Może reszta tej tragicznej opowieści, jeśli uda się nam ocaleć i ją dokończyć, pokaże w praktyce, co mam na myśli.

Tymczasem, uwierzcie mi, Oktawian znaczył dla mojego pana więcej niż ktokolwiek inny, i w tym sensie można słusznie powiedzieć, że Oktawian, a nie Kleopatra, był miłością jego życia i jego złym duchem.

Jeśli mi nie wierzycie, czytajcie dalej.

ROZDZIAŁ 11

Niemniej jednak istniało realne zagrożenie, że znowu wybuchnie wojna między moim panem a Oktawianem. Mnóstwo ludzi, mając własne interesy na widoku, gotowych było próbować skłócić ich ze sobą, chociaż, jak powiedziałem, Antoniuszowi na niczym tak nie zależało, jak na przyjaźni z Oktawianem, a ten ze swej strony nie był jeszcze gotów z nim zerwać. Ale oczywiście Oktawiana drażnił większy szacunek, jakim darzyły Antoniusza zarówno legiony, jak i senatorowie.

Do Aten docierały wieści, że Oktawian wykorzystał sposobność, jaką dała mu nagła śmierć Rufiusa Kalenusa, legata mojego pana w Galii, aby przejąć tę bogatą prowincję i, co jeszcze ważniejsze, jego ogromną armię, której dowódcą uczynił swego przyjaciela Salwidienusa Rufusa. Wtedy agenci Sekstusa Pompejusza przybyli do Aten, sugerując, aby ich pan połączył się z moim panem przeciwko Oktawianowi. Niełatwo, obawiam się, czytać o tych wszystkich zabiegach. Zapewniam was, że jeszcze trudniej przychodziło się w tym połapać, a najgorzej przeżyć to.

Mój pan musiał stawić czoło flocie dowodzonej przez Gnejusza Domicjusza Ahenobarbusa. Ahenobarbus sympatyzował z zabójcami Cezara, chociaż znajdował się jedynie na skraju spisku. Został wyjęty spod prawa w czasie proskrypcji i miał tyle szczęścia, że uszedł z życiem. Ale będąc człowiekiem o znacznym majątku, wyrobił sobie pozycję i teraz dowodził flotą złożoną z co najmniej pięćdziesięciu galer, które zagradzały nam drogę do Italii.

Mój pan zawsze rozkwitał w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Chciał uniknąć bitwy, której wynik był trudny do przewidzenia. I dlatego popłynął przeciwko Ahenobarbowi jedynie z garstką galer, wyjaśniając, że przybył na rozmowy, a nie po to, aby walczyć. Aby dowieść swojej dobrej woli, sam przybył na statek Ahenobarba. Nie ma kwestii, że złożył swoje życie w jego rękach, i słyszałem potem, iż Ahenobarbus przyznawał, że odczuwał pokusę skorzystania ze sposobności i zgładzenia triumwira. Może to właśnie cnota była tym, co go powstrzymało. A może podziw dla męstwa Antoniusza. Może nie miał odwagi zaufać swoim własnym zdolnościom. Kto wie? Serca ludzi w chwilach kryzysu są podobne do głębokiej sadzawki, ciemne jak nocna mgła. Nigdy nie miałem cierpliwości do historyków, którzy udają, że potrafią wytłumaczyć, dlaczego coś się wydarzyło, a do czegoś innego nie doszło. Nawet bogowie, podejrzewam, są często zbici z tropu tajemniczością ludzkich czynów. Któż może twierdzić, że

potrafi odczytać intencje ukryte w ludzkich umysłach?

Antoniusz i Ahenobarbus uściskali się. Patrząc na to, obawiałem się sztyletu. Ale zamiast tego były uśmiechy, głośne rozmowy i śmiech. Zawsze mnie to jako Greka zadziwiało. Choć całe życie spędziłem w domu Antoniusza i miałem w związku z tym sposobność obserwowania wszystkich wielkich ludzi Rzymu, nadal zadziwia mnie łatwość, z jaką potrafią odłożyć na bok wrogość i rozmawiać, jakby byli przyjaciółmi do grobowej deski. Zapewne dzieje się tak dlatego, że nawet ci Rzymianie, którzy zdają się śmiertelnymi wrogami, są zarazem w pewnym sensie przyjaciółmi na całe życie. Tak wiele ich łączy. Chodzi mi o to, że mają nie tylko wspólnych przyjaciół i interesy, ale i wspomnienia, chodzili do tych samych szkół i zostali wychowani w tym samym systemie wartości. Gdy rozmawiają ze sobą, nawet po długim okresie oziębienia stosunków albo wrogości, mówią tym samym językiem. I wcale nie chodzi mi o to, że mówią po łacinie. Chodzi o coś ważniejszego. Należą do czegoś, co – jeśli wolno mi to tak nazwać – uważam za elitę świata. Jakkolwiek ich konflikty są brutalne i krwawe, to rozmowy tworzą jedyną w swoim rodzaju i niezwykłą muzykę. Oczywiście ta zdolność zachowywania przyjaznych stosunków nie powstrzymuje jednego człowieka od zdradzania drugiego, z którym chwilę wcześniej zdawał się doskonale rozumieć. Prawda jest taka, że stanowią oni kastę odrębną od reszty ludzkości i właśnie dlatego zarówno ich osiągnięcia, jak i ich zbrodnie są tak wielkie.

Tak i teraz, zanim opróżnili pierwszą butlę wina, uznalibyście Antoniusza i Ahenobarba za serdecznych kumpli. W ich przypadku okazało się na dodatek, że doskonale się ze sobą zgadzają. Śpiewali tę samą piosenkę. I od tamtego dnia na pokładzie jego galer, pod palącym słońcem, Ahenobarbus uroczyście zapewnił o swej bezwzględnej wierności wobec mojego pana. Służył mu przez lata z całkowitym oddaniem i nie było nikogo, komu Antoniusz ufał bardziej, niewielu, dla których miał większe i bardziej szczerze uczucie. I to było świadectwo jego własnego uroku i jego własnej wielkości, albowiem przysięgam, że owego dnia, gdy Antoniusz wszedł na galere, Ahenobarbus zamierzał go zabić.

Ich floty połączyły się i pożeglowały do Brundizjum. Stało się to przyczyną chwilowego zamieszania, gdyż zdarzyło się, że poprzedniego roku Ahenobarbus, jako jeden z piratów Pompejusza, zaatakował miasto, grabiąc jego składy i podpalając statki w porcie. Teraz zdawał się pozostawać w sojuszu z Antoniuszem, który wyjął go spod prawa. Nie można winić władz miejskich za to, że nie bardzo wiedziały, co się dzieje.

Umieszczono zaporę przed portem i zamknięto przed nami bramy miasta. Naturalnie wielu

pośpiesznie zawiadomiło mojego pana, że zrobiono tak na rozkaz Oktawiana. Okazało się później, że nie o to chodziło. W każdym razie tak twierdził Oktawian, a mój pan jak zwykle gotów był mu wierzyć. Ale zanim się spotkali, istniało realne niebezpieczeństwo ponownego wybuchu wojny domowej.

O tym, że do niej nie doszło, zdecydowała postawa legionów. Nie rozpoczynając buntu – obawa przed nim hamuje zawsze nierozważnych wodzów – legioniści wyjaśnili, że nie widzą powodu do bitwy. Nie można im było zaufać, że będą walczyć przeciwko tym, których uważają za kolegów, i ginąć za sprawę, której nie rozumieją.

Zarówno mój pan, jak i Oktawian odetchnęli z ulgą. Niedługo potem rozpoczęły się negocjacje. Spotkali się na osobności, w namiocie ustawionym pół mili za miastem.

Ich świty wyczekiwały z niepokojem, ale niedługo potem, gdy słońce przeszło swój zenit, bratanie się między nimi było w toku. Ludzie znajdowali starych przyjaciół i kolegów. Pili wino. Rozmowy ciągnęły się przez całe popołudnie i zanim słońce zaczęło zachodzić, trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek zachodziło niebezpieczeństwo bitwy. Spotkanie przypominało przyjacielskie przyjęcie.

Podszedł do mnie, jak pamiętam, Mecenasa, serdeczny przyjaciel Oktawiana. Muszę stwierdzić, że chociaż mój pan nigdy nie miał o nim nic dobrego do powiedzenia, to jeśli idzie o mnie, zawsze uważałem Mecenasa za pełnego uroku. Miał tak przystępny sposób bycia, że niezwykle szybko zapomniałem o różnicy w naszej randze i stanowisku; i chociaż mówię to sam, nie mam najmniejszych wątpliwości, że on również dokonał podobnego odkrycia w stosunku do mnie. Mecenasa uwielbiał Grecję i grecką kulturę, a ponadto rozumiał teatr. Stwierdziliśmy, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Zabawiałem go opowieściami o Kleopatrze i jej dworze.

– Czarująca odmiana, wyobrażam sobie – rzekł – po rzymskiej cnocie. Nie jestem wcale zaskoczony, że Antoniusz znalazł w królowej wdzięki, jakich nigdy nie odkrył w biednej Fulwii.

– Z pewnością, jeśli o to chodzi – odparłem i puściłem do niego wielkie oko.

Wspominam o tym nie po to, aby się przechwalać, ale dlatego, że niezyczliwi ludzie próbowali później oczernić mnie przed moim panem, rozgłaszając, iż Mecenasa nakłonił mnie do szpiegowania go. Nic nie mogłoby być bardziej odległe od prawdy. Nawet jeśli mówiłem trochę nieostrożnie, jestem całkowicie pewien, że nie powiedziałem Mecenasowi nic, co mogło skompromitować mojego pana, i z pewnością nic, czego nie mógłby się z łatwością dowiedzieć z innych źródeł. Trudno się dziwić, że interesowało go wszystko, co miało związek z Kleopatrami.

Wszystkich przecież intrygowała. Jeśli idzie o Mecenasa, był po prostu czarujący.

– Gdy przyjedziesz do Rzymu – powiedział – a jestem pewien, że tak uczynisz, mój drogi, kiedy całe to zamieszanie się wreszcie skończy, mam ogromną nadzieję, że mnie odwiedzisz. Ciągłe powtarzam Oktawianowi, że te swary między nim a Markiem Antoniuszem są całkiem niepotrzebne, i wierzę, że zdaje sobie teraz z tego sprawę. Kłopot polega na tym – między nami mówiąc, jak sam rozumiesz, proszę, nie piśnij o tym nikomu ani słowa – że kochany chłopiec jest odrobinę zazdrosny o twojego pana. Wie, że nie dorównuje jego zasługom wojennym, i czuje, że go to poniża przed światem. Powiedziałem mu oczywiście, że ma inne cnoty, inne niezwykle zalety, ale tak to wygląda. W gruncie rzeczy podziwia ogromnie Antoniusza i pragnie być pewny, że cieszy się jego zaufaniem.

Przytaczam te słowa w całości, dokładnie tak, jak je wypowiedział, ponieważ wielu twierdzi, że Mecenasa próbował skłócić Oktawiana z moim panem. Mam nadzieję, że to zaprzecza owym złym pogłoskom.

Potem mój pan i Oktawian wyszli z namiotu. Mecenasa uściskał mi rękę, dotknął mojego policzka i pośpieszył, aby do nich dołączyć. Z przykrością stwierdziłem, że mój pan chwieje się na nogach, gdyż w tym stanie nieraz wypowiadał się nieostrożnie, używając na dodatek niezbyt dyplomatycznego języka, czego później żałował. Wino pogłębiało też u niego irytację albo niezadowolenie. Ale tym razem moje obawy okazały się nieuzasadnione. Uśmiechał się w swój najbardziej pogodny i najbardziej nieodparty sposób, przytulając Oktawiana do siebie (myślałem, że młody człowiek zeszywniał, zanim zdał sobie sprawę, że była to niewłaściwa reakcja), a następnie zawołał do żołnierzy, że mogą schować swoje miecze i że „wszystko zostało załatane”.

„Nie będzie wojny!” – krzyknął z akcentem mieszkańców najgorszej dzielnicy Zatybrza.

Żołnierze wiwatowali radośnie i złamali szeregi (albowiem gdy ogłoszono, że wodzowie zaraz wyjdą, wydano rozkaz, aby ustawili się w szyku). Ludzie, którzy jeszcze rano obawiali się, że będą walczyć ze sobą, znowu zmieszali się radośnie, znajdując starych przyjaciół i poznając nowych. Chociaż ja sam nigdy nie znajdowałem upodobania w atmosferze koleżeństwa, jaką uwielbiają żołnierze, mając, jak zapewne zdajecie sobie sprawę, bardziej wyrafinowane skłonności, wyznaję, że odczułem taką ulgę z powodu tego szczęśliwego zakończenia, iż nagle poczułem się ogromnie niespokojny. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak byłem przerażony.

Układ z Brundizjum, bo tak później go nazwano, podobnie jak większość takich paktów, obiecywał, niestety, więcej, niż ostatecznie zapewnił. Zasadniczo oznaczał nowy podział obowiązków i władzy w imperium. Ludzie mówili, że na dłuższą metę Oktawian zyskał więcej i obawiam się, że jest to prawda. Umocnił swą pozycję na Zachodzie, a nawet w Italii, chociaż zastrzeżono w umowie, że obydwaj wodzowie będą mogli prowadzić rekrutację na tym terenie. Jeśli idzie o biednego Lepidusa, który tym razem został niemal całkowicie zignorowany, jeśli nie rzeczywiście zapomniany, pozwolono mu zachować władzę nad Afryką – chociaż nie miało mu to przynieść wielkiego pożytku – albowiem wszyscy poza samym zainteresowanym wiedzieli, że jego dni są policzone.

Prawda jest taka, że mój pan miał trzy powody, aby nie forsować mocniej swojej własnej sprawy.

Po pierwsze, w skrytości ducha odczuwał pewien wstyd z powodu kłopotów, w jakie jego brat Lucjusz i ta suka Fulwia wpędzili Oktawiana. Oczywiście wiedział, że sądzili, iż działają w jego interesie. Ale ta wiedza wcale nie nastrojała go bardziej wobec nich życzliwie. W istocie gniewało go to.

Po drugie, był już zajęty planowaniem wojny z Partią, nieuniknionej, jak sądził, gdyż najazdy Partów na wschodnie granice imperium dawały się nieznośnie we znaki. Oktawian rozumiał tę troskę i ujął mojego pana, przyrzekając mu – „całkiem spontanicznie”, jak wielokrotnie powtarzał Antoniusz – pięć swych najlepszych legionów na tę kampanię. Oczywiście nigdy nie dotrzymał obietnicy, ale Antoniusz nie wiedział wtedy, że tak się stanie.

Po trzecie, i moim zdaniem, najważniejsze, Antoniusz był tak szczęśliwy, że znowu jest w dobrych stosunkach z Oktawianem, że prawdopodobnie zgodziłby się na wszystko, co ta mała bestia by proponowała. To właśnie mam na myśli, gdy mówię, że oszalał na jego punkcie. Mimo całej swej wiedzy o nikczemności i wiarołomstwie ludzi – i świadomości wyrafinowanej obłudy Oktawiana – ciągle mu ufał. Myślał tak, ponieważ czując to, co czuł w stosunku do niego, był przekonany, iż owo uczucie jest odwzajemnione.

Upewnił się w tym przekonaniu, gdy Oktawian zaproponował, by dla przypieczętowania ich nowego paktu i okazania swej przyjaźni oraz trwałego charakteru sojuszu Antoniusz poślubił jego siostrę Oktawie. Ostatnio owdowiała i była w związku z tym do wzięcia. Wiem, że w ostatnich latach Oktawian mówił o „poświęceniu swojej siostry”. To niedorzeczność. Ta kobieta była zachwycona możliwością poślubienia mojego pana.

ROZDZIAŁ 12

– Oczywiście, zanim spotkałem Oktawiana w Brundizjum, wszystkie sprawy zasadnicze zostały załatwione przez naszych posłów, Azyniusza Poliona i tego wypachnionego fircyka Mecenasa. Gdy więc spotkaliśmy się z Oktawianem, wiedziałem, że wszystko pójdzie gładko. Odczułem ulgę.

Uściskaliśmy się. Pachniał młodym potem i olejkiem migdałowym.

„Gdy jesteśmy razem, zawsze się ze sobą zgadzamy – powiedziałem. – Jedyne wówczas, gdy znajdujemy się daleko od siebie, rodzą się nieporozumienia i nigdy nie są one twoją albo moją winą. Opowiadając kłamstwa, ludzie napuszczają nas wzajem na siebie”.

„Zawsze tak uważałem”.

„Może powinniśmy zamieszkać razem. Wtedy wszystko wyglądałoby wspaniale”.

„No cóż – rzekł – okoliczności nie pozwalają na to, ale zamierzam zaproponować coś, co może uznasz za niemal równie dobre rozwiązanie. Powinieneś poślubić moją siostrę Oktawie. Jak wiesz, jej mąż, drogi Marcellus, zmarł niedawno”.

„Poślubić twoją siostrę? A więc zatoczyliśmy pełne koło”.

Ucieszyłem się, widząc, że nadal potrafi zapłonąć rumieńcem.

„Jest coś jeszcze – powiedział. – Małżeństwo jest korzystne, albowiem umacnia nasz sojusz polityczny, ale chcę dodać, że kocham moją siostrę”.

„Myślałbym gorzej o tobie, gdyby było inaczej. Słyszałem, że jest równie cnotliwa, jak piękna. Dokładnie jak ty sam”.

Zachichotał. Zobaczyłem chłopca, którego znałem, zanim śmierć Cezara nie ściągnęła z jego twarzy maski, jaką nauczył się nosić.

„Zatem o co jeszcze chodzi?”.

„Kleopatra”.

„Królowa? Co z nią?”.

„Plotka głosi, że jesteście kochankami”.

„Och, plotka – rzekłem – stara, dobra plotka. W porządku, przyznaję, byliśmy na sianie. Założę się, że sam byś się jej nie potrafił oprzeć, gdyby zechciała się z tobą przespać. Niezła z niej sztuka. Ale będę się cieszył, mając dobrą rzymską żonę, która obroni mnie przed królową”.

„To jest warunek, jaki postawiła moja siostra: że nie zobaczysz się z władczynią Egiptu sam na sam”.

„Załatwione” – rzekłem.

Tak wówczas myślałem, Krytiaszu. Prawda jest taka, że byłem dumny, gdy Oktawian ofiarował mi swą siostrę za żonę. Bywały takie momenty – och, do diaska z tym! Powiem ci. Dzięki temu znowu mogłem się czuć naprawdę Rzymianinem. Powiedziałem to Oktawianowi.

„Wiesz – rzekłem – są chwile na Wschodzie, gdy wszyscy odczuwają pokusę zasymilowania się. Sam Cezar jej uległ. Ale na pewno rozumiesz, że nasz związek jest przede wszystkim polityczny. Potrzebuję Egiptu. Rzym potrzebuje Egiptu”.

„Rzym potrzebuje Egiptu – powtórzył. – Czy Rzym potrzebuje Kleopatry? Czy Egiptu?”.

„No cóż – odparłem – sam się nad tym zastanawiałem”.

Wypiliśmy butlę wina, chociaż Oktawian, mrużąc coś o swoim żołądku, poprzestał na jednym kielichu.

Dopiero wtedy, jeśli dobrze pamiętam, wspomnieliśmy Lepidusa.

Rozmawialiśmy o Pompejuszu, który nadal kontrolował Sycylię. Ale zgodziliśmy się, że Pompejusz może zaczekać.

„Nie jest wcale taki zły – orzekłem – i byłoby mądrze go zjednać”.

„A przynajmniej udawać, że chce się to zrobić” – zakończył.

Podróżowaliśmy razem do Rzymu. Jesień była tego roku szczególnie piękna. Gdy wyruszyliśmy na północ, przez kwitnące pola i winnice z purpurowymi winogronami, nastrój ludzi zdradził nam głębię i intensywność ich obaw z minionych tygodni. Usłyszałem o wielu przepowiedniach zguby i klęski, jakie krążyły tamtego lata. Czy nie będzie końca, pytano, walce między obywatelami? Żaden obcy wróg, żadne italskie miasto nie było zdolne zniszczyć Rzymu. Jedynie wojna domowa sprowadzała rozpacz i przerażenie na obywateli. Jak nigdy przedtem, odczuwałem straszny ciężar spoczywającej na mych barkach odpowiedzialności za bezpieczeństwo i pomyślność Rzymu. I postanowiłem, że żaden mój czyn ani słowo nie wystawi na ryzyko zgody, którą przywróciliśmy.

Powtarzam to teraz uroczyście.

Napisz to wyraźnie, Krytiaszu.

Gdy na strasznych polach Farsalos Cezar patrzył na zamordowanych pompejańczyków ze

znieruchomiałą i szarą od chłodu śmierci twarzą, rzekł: „Chcieli tego, dążyli do tego”.

Śmierć patrzy teraz na mnie w surowym świetle dnia. Unosi się nad moim bezsennym łóżem. Ale zapewniam was – nie ja doprowadziłem do tej wojny.

Gdybym dokonał w Brundizjum innego wyboru, mógłbym zniszczyć Oktawiana. Nawet jego bliski przyjaciel i zaufany Salwidienus Rufus, prokonsul Galii, wyznał, że był gotów porzucić go i związać się ze mną. Żałuję, że w chwili lekkomyślności poinformowałem swego kolegę o nielojalności jego przyjaciela. W kilka miesięcy po moim wyjeździe z Italii oskarżył Salwidienusa o zdradę i zabił go. Salwidienus był zdolnym człowiekiem, który mógł jeszcze oddać Rzymowi wielkie usługi.

W Rzymie, ku niezadowoleniu jej matki, odbył się mój ślub z Oktawią. Nigdy nie miałem wielkiego majątku ani nie znajdowałem sympatii u matek moich żon.

Sama Oktawia była piękna niby jutrzienka. Podobieństwo do brata było zarówno uderzające, jak i niepokojące. Zbliżyła się do mnie niepewnie, z pełnym skromności ociąganiem. Ale gdy wkrótce pokonałem jej opory, wyznała, że nigdy nie osiągnęła prawdziwego szczęścia w małżeństwie z Marcellusem. Jeśli idzie o mnie, żywość jej uczucia przekroczyła moje oczekiwania. Jak wiele czystych i cnotliwych kobiet, raz rozbudzona, Oktawia kochała się z większym zapalem niż jakakolwiek profesjonalistka.

Z oddaniem, co szanowałem, odnosiła się do swego brata. Niczego nie pragnęła bardziej niż naszej trwałej przyjaźni, a ja potrafiłem ją przekonać, że takie jest również moje życzenie. Wyznała jednak, że wprawia ją w zakłopotanie jego charakter.

„Jest mu tak trudno – rzekła – działać spontanicznie”.

Jej skóra była gładka jak perła, a kończyny twarde jak alabaster, dopóki nie poddały się namiętności.

W Rzymie zapanował nastrój radości i ulgi. Wspólnie odbyliśmy triumf, a jeśli nawet nie było żadnego zwycięstwa na polu bitwy dla jego usprawiedliwienia, osiągnęliśmy mimo wszystko większe zwycięstwo. Rozsądek wziął górę nad gniewem, a nagrodą był pokój. Ustawiono posągi na cześć Zgody i wybiliśmy monety z wizerunkiem laski Hermesa, posłańca bogów, i ze złączonymi dłońmi, oznaczającymi naszą przyjaźń, podczas gdy rewers ukazywał dwa rogi obfitości, spoczywające na globie ziemskim. Ja sam zostałem kapłanem boskiego

Juliusza, a Oktawian pozwolił nazywać się „synem boskiego”. Prywatnie odżegnywał się od tego, a ja ripostowałem, przypominając mu o moim pochodzeniu od Heraklesa.

Urządzaliśmy uczyty dla arystokracji, a także zabawy uliczne dla ludu. Młody poeta (o którym nigdy wcześniej nie słyszałem) imieniem Wergiliusz, najwyraźniej protegowany Mecenasa, którego gusta w dziedzinie literatury przewyższały jego gust w dziedzinie ubioru, przeczytał nam poemat zapowiadający narodziny złotego wieku; prorocтва te miały być spełnione, jeśli nie zapoczątkowane, przez dziecię, które wkrótce przyjdzie na świat. Nie ulegało wątpliwości, że stanowi to aluzję do nadziei zrodzonych przez moje małżeństwo z Oktawią. Niezwykle przyjemny komplement. Jak sobie przypominam, wynagrodziłem młodego barda, dając mu w podarunku złoty łańcuch.

Inni mówili, że kometa, która pojawiła się po zabójstwie Cezara, była znakiem i zwiastunem tego nowego wieku, a filozofowie pitagorejscy i liczni astrologowie głosili, że dobiega kresu jedna epoka w dziejach świata, a nadchodzi druga, wspanialsza od poprzedniej.

Jako żołnierz nigdy nie miałem tak wiele czasu, jak powinienem, na tego rodzaju spekulacje. Wydają mi się one teraz raczej przygnębiające.

ROZDZIAŁ 13

Oktawia nie wiedziała, czy okazać rozbawienie, czy zgorzenie, gdy odkryła, że powitano mnie jako boga Azji.

„Czy naprawdę uważają cię za wcielenie Dionizosa?” – zapytała, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

„Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Czasami myślę, że tak, kiedy indziej, że nie. Myślę, że i jedno, i drugie po trochu”.

Mieszkańcy Wschodu są inni niż my, Rzymianie. Nawet Grecy są inni. No cóż, są na wpół ludźmi Wschodu. Chodzi mi o to – i nie bierz tego do siebie, Krytiaszu, nie chcę cię obrazić – że inaczej rozumieją rzeczywistość.

„Rzeczywistość nie budzi chyba wątpliwości” – rzekła.

„Przypomnij sobie Platona” – odparłem głupio, ponieważ oczywiście nigdy nie przeczytała nawet jednej linijki.

Wedle mojego doświadczenia niewiele kobiet odczuwa pociąg do filozofii, i nie ufałbym takiej, która by go odczuwała. Zastanawiałem się więc, czy kontynuować, zwłaszcza że gdy patrzyła na mnie w ten sposób, z pełnym słodyczy, zmarszczonym czołem i szeroko otwartymi wiśniowymi ustami, myślałem o bardziej interesujących rzeczach, jakie mógłbym z nią robić. Ale nie ustępowała. Wyjaśniłem jej więc teorię idei Platona i jego koncepcję, wedle której rzeczywistość znajduje się poza naszym bezpośrednim doświadczeniem, a znamy ją jedynie z niewyraźnych wyobrażeń. Widziałem, że zainteresowało ją to, wobec czego posłałem niewolnika po egzemplarz „Państwa” i kazałem mu przeczytać mit o jaskini. Z jakiegoś powodu przykuło to uwagę Oktawii. Jej cudowne piersi zdawały się nabrzmiwać.

„Bardzo piękne – powiedziała – i jest w tym pewien sens, choć nie ma on wielkiego związku z rzeczywistością. Ale rozumiem, co masz na myśli. Oni nie uważają wcale, że jesteś naprawdę bogiem, ale zdaje im się, że tak właśnie wyglądałby bóg, gdyby stąpał po ziemi. Innymi słowy w jakiś sposób zamieszkuje on w tobie. Wiedzą, że naprawdę jesteś Markiem Antoniuszem, rzymskim wodzem, ale nie widzą żadnego powodu, dla którego bóg nie miałby objawić się przed nimi w twojej postaci. Czy właściwie to rozumiem?”.

„Mniej więcej – powiedziałem i pocałowałem ją. – Z drugiej strony schlebianie mi

odpowiada ich interesom. Ludzie Wschodu naprawdę lubią się płaszczyć”.

Musiałem poświęcić sporo myśli i czasu, aby ich zrozumieć. Niewielu Rzymian zadało sobie ten trud, chociaż wierzę, że Sulla miał pewne pojęcie o tym, jak działają wschodnie umysły. Pompejusz oczywiście zdobył wielką sławę na Wschodzie, pozyskał sobie wielu królów klientów, nadawał rzymskie obywatelstwo i udzielał łask i fiskalnych przywilejów wielu miastom. Wschód uczył go, ale z tego, co słyszałem, nigdy nie traktowano go tam poważnie jako człowieka, chociaż musiano, rzecz jasna, szanować jego władzę.

Muszę też przyznać, że ponad wiek rzymskich rządów nie przyniósł wielkich korzyści podbitym ludom ani tym królestwom, których władcy uznali nasze zwierzchnictwo. Armie rzymskie spustoszyły ich kraje, a rzymscy poborcy podatkowi pozbawili bogactw. Brutus i Kasjusz zażądali na przykład połowy produktu Azji jako rocznego trybutu. Postanowiłem rządzić w zupełnie inny sposób.

Imperium nie da się długo utrzymać wyłącznie za pomocą brutalnej siły. To jest lekcja, jakiej chciałem udzielić Rzymowi. Musieliśmy przekonać Greków i mieszkańców Azji, że nie jesteśmy zwykłymi i zachłannymi zdobywcami, lecz że leżą nam na sercu ich interesy. Nie wystarczyło okazać wyrozumiałość wyższość. Okazywałem im aktywną życzliwość. Wierzyłem, że okazywanie szacunku dla zwyczajów helleńskich, uczuć i opinii stanowi oznakę siły, a nie słabości (jak na przykład myślał Katon – jeśli jego procesy umysłowe można uczcić tym słowem). Taki szacunek uczyniłby więcej niż cokolwiek innego dla umocnienia pokoju i zgody. Postawiłem sobie za cel okazać szacunek i poważanie miejscowym ludziom cieszącym się majątkiem i wpływami oraz zapewnić ich, że stoję przed nimi jak pasterz, a nie wilk. Nadejdzie dzień, często im mówiłem, gdy klasa rządząca w miastach Azji wejdzie do senatu rzymskiego, jak równi, a nie jak błagalnicy, zajmując miejsce wśród rzymskiej arystokracji. Stworzymy, powiedziałem, nową elitę imperium.

Wielu drżało, słysząc moje słowa.

Aby sprawić przyjemność zwykłym ludziom, podkreślałem pochodzenie mojej rodziny od Heraklesa i łaski, jakich zaznawałem od Dionizosa. Gdy poszli dalej i utożsamili mnie z bogiem, nie odczułem niezadowolenia. Wyznaję, że gdy pojawiałem się przed nimi na wielkich uroczystościach w stroju boga i witano mnie hymnami radosnej pochwały, czułem się kimś więcej niż istotą ludzką. Miałem świadomość tkwiącej we mnie boskości, nawet jeśli godzinę

później, gdy zanurzałem się w wannie i prostowałem swoje członki, wszystko przypominało mi o tym, że jestem człowiekiem.

Doniesiono mi, że Oktawian wyszydzał moje publiczne mowy, naśladując nawet kwiecisty i ozdobny język, na jaki sobie pozwalałem. No cóż, mogłem zrozumieć takie kpiny. Sam zawsze z siebie pokpiwałem. Ale gdy pozwoliłem na wznoszenie inskrypcji na cześć „Antoniusza wielkiego i nieustraszonego”, wcale nie pogrążyłem się w szalonej próżności. To była polityka. Oślepiający Wschód będzie posłuszny jedynie władcy, który go oślepią. Zrobiłem tak, ogłaszając wielką prawdę, że ze wszystkich bogów właśnie Dionizos jest tym, który przynosi radość i pomoc zwykłym ludziom.

Oczywiście nie wszystko, co robiłem, było godne podziwu. Oktawia nie cierpiała Heroda, którego uczyniłem najpierw tetrarchą, a następnie królem Judei. Judea, do której Egipt rościł sobie pretensje i której odmówiłem Kleopatrze, była najbardziej kłopotliwą prowincją. Nie mam wątpliwości, że Żydzi należą do najzdolniejszych ludzi. Ale są zarazem niezwykle trudni. Dzieje się tak być może z powodu ich religii. Wszyscy ludzie oczywiście uważają swoich własnych bogów za najpotężniejszych i najbardziej dobroczynnych i wierzą, że obdarzają ich oni specjalną łaską. Jest to naturalne i właściwe. Chociaż historia pokazuje, że bogowie są często obojętni wobec państw i miast, którym zawdzięczają opiekę, to jednak przekonanie o wyższości bogów, których mieszkańcy wybrali, aby ich chronili, jest powszechne.

Ale żaden inny lud nie wyznaje tak niedorzecznego poglądu, jak Żydzi. Utrzymują oni, że ich bóg jest jedynym prawdziwym Bogiem, a wszyscy inni są fałszywi. A czynią tak mimo to, co jeszcze bardziej śmieszne, że ich bóg jest wyłącznie ideą, której nigdzie nie przedstawia się w widocznej postaci. Nie wolno im nawet wymawiać jego imienia, przy czym uznają oni za grzech wznoszenie, jak to czynią inne ludy, posągów ku czci bóstwa. I trudno się w związku z tym dziwić, że inne narody nimi pogardzają, a czynią to tym zawzięciej, że Żydzi uważają się za jedyny „naród wybrany” owego anonimowego bóstwa. Ich pewność swej uprzywilejowanej pozycji jest tak wielka, że są agresywni i buntowniczy w stosunkach z każdym, kto uzyskuje nad nimi władzę. Albowiem, co ciekawe, mimo swej bezmiernej próżności nie potrafili przez wiele stuleci utrzymać się jako niezależny naród, lecz zawsze podlegali cudzej władzy.

Chociaż są zwykle, także we wszystkich sprawach politycznych, przebiegli, zdradzieccy i nieposłuszni, odznaczają się swoistym uporem, którego nie mogłem nie podziwiać. Zupełnie

wyraźnie zdałem sobie sprawę, że Żydzi nigdy nie podporządkują się dobrowolnie bezpośrednim rządóm Rzymu. Przez pewien czas rządził nimi najwyższy kapłan, ale – stanowisko jest dziedziczne – piastujących je ludzi ożywiało zawzięte i krnąbrne poczucie nacjonalizmu. Pompejusz powierzył zarząd prowincji najwyższemu kapłanowi imieniem Hyrkan, którego postępowanie po raz kolejny dowiodło, że Pompejusz nie znał się na ludziach. Pamiętam Hyrkana z lat, gdy służyłem jako oficer jazdy w armii Gabiniusza, i wiedziałem, że nigdy nie zostanie przyjacielem ludu rzymskiego. Cezar miał dość rozsądku, aby postawić nad nim żołnierza, wcale niewysokiego rodu, zwanego Herod Antypater, którego rodzina pochodziła z Idumei, na południu kraju w pobliżu granicy z imperium partyjskim. Antypater rzeczywiście wysłał oddziały do Cezara podczas jego kampanii egipskiej i mógł twierdzić, że ocaliły one życie Cezara w Aleksandrii. Gdy przybyłem na Wschód, zdecydowałem z tego powodu zaufać synom Antypatra – stary człowiek sam już nie żył, otruty przez stronnictwo kapłańskie – a zwłaszcza najmłodszemu z nich, Herodowi. Wprawdzie Antypater na jakiś czas sprzymierzył się z Kasjuszem, ale, jak młody Herod powiedział, z łotrowskim uśmiechem, który mi się spodobał, Filippi wykazało, że rozum starego człowieka nie działał zbyt sprawnie.

Sytuacja w Judei była niezwykle skomplikowana i nic się w tej materii nie miało zmienić.

Wkrótce inne sprawy oderwały mnie od spraw wschodnich. Kompromis zawarty z Sekstusem Pompejuszem w Brundizjum okazał się efemeryczny. Miałem nadzieję, że spokój na Wschodzie da mi wolną rękę w prowadzeniu nieuniknionej wojny z Partią. Ale gdy tylko opuściłem Italię, a w każdym razie niedługo potem, Pompejusz, wierząc, jak mówiono, że moja nieobecność daje mu szansę, wyparł oddziały Oktawiana z Sardynii i wznowił blokadę Italii. Doszło do rozruchów w samym Rzymie, ludzie domagali się na przemian chleba i pokoju. Obydwa żądania stanowiły w rzeczywistości jedno. Życiu Oktawiana zagroziło niebezpieczeństwo. Jego list zdradzał niezwykle podniecenie.

Oktawia błagała mnie, abym pośpieszył jej bratu na ratunek. Nie potrzebowałem takiego zaproszenia.

Wysłałem posłów. Pompejusz, zadowolony, że jest traktowany jak równy, zgodził się na spotkanie w Puteoli. Pragnąc okazać mu moje zaufanie, przekonałem Oktawiana, iż zgodził się na jego żądanie, byśmy spotkali się na galerze Pompejusza.

Wezwaliśmy Lepidusa z Afryki. Chociaż wydawało się mało prawdopodobne, aby mógł on wnieść wiele do negocjacji, uważałem za mądrzejsze włączyć go, ażeby Pompejusz nie próbował

oderwać go od nas i zawrzeć z nim osobnego sojuszu, w którym to przypadku nasze spotkanie nie doprowadziłoby do satysfakcjonującego wyniku. Wiedziałem, że Lepidus jest łasy na pochlebstwa, i chociaż sam nie miał znaczenia, ze względu na legiony, którymi dowodził, pozostawał siłą – i należało się z nią liczyć. Mimo więc że Oktawian byłby zadowolony z pominięcia go, uznałem, że to niemądre posunięcie. Mój pogląd zwyciężył.

„To głupie – zaprotestował. – Jak możemy mu zaufać?”

„Zaufanie jest naszą siłą” – odparłem.

„Antoniuszu – rzekł – zachowaj swoją retorykę dla teatru”.

„W porządku, drogi chłopcze. Pozwól, że powiem ci coś o Pompejuszu. Po pierwsze, żywię dla niego wdzięczność, gdyż otoczył opieką moją matkę, gdy my obaj znajdowaliśmy się w złych stosunkach. To daje mu pewność siebie. I to oznacza także, że skoro wierzy, iż jestem mu wdzięczny, oczekuje, że mu ufam. Nigdy nie osiągniemy porozumienia, jeśli tego nie okażę. A co jeszcze najważniejsze, od lat żyje jako osoba wyjęta spod prawa, wróg Republiki. I powiesz być może, że rzeczywiście nim jest. Zupełnie słusznie. Ale wcale nie chce nim być. W głębi duszy jest typowym rzymskim arystokratą i nie potrafi zapomnieć, że w czasie wojny domowej z Cezarem wszyscy ci, których ten stary bękart Cycleron nazywał optymatami – lepiej urodzeni oraz ci, którzy najlepiej myśleli o sobie – stanęli po stronie jego ojca. Najbardziej ze wszystkiego Pompejusz pragnie szacunku i jeśli będziemy go traktować jako kogoś zasługującego na szacunek, będzie się zachowywał wobec nas właściwie”.

„Świetnie – powiedział Oktawian – ale dopilnuję, aby nigdy nie był poza zasięgiem sztyletów mojej straży przybocznej”.

Przyjął nas z fanfarami. Roztył się jak jego ojciec. Oktawian przyglądał mu się z niedającą się ukryć rezerwą. Uścisnąłem go.

„Życie na morzu ci służy” – powiedziałem.

„Jestem głęboko wdzięczny, że przybyłeś tutaj, Antoniuszu rzekł – porzucając wygodne łoża Egiptu”.

„Och – odparłem – nie zaznałem żadnego wygodnego egipskiego łoża od miesiący. Odmieniłem swój charakter, no wiesz, zostałem szczęśliwym małżonkiem. Mamy nadzieję również ciebie odmienić, Sekstusie”.

„Nowa epoka moralności? – zaśmiał się. – No cóż, zobaczymy”.

Potem napiliśmy się wina, a on rzekł:

„Pozwólcie mi wyjaśnić moje stanowisko, a jest ono takie samo, jak mojego szlachetnego ojca. Pozwólcie, że was zapytam: dlaczego mój ojciec przeciwstawił się ambicjom Cezara? Dlaczego szlachetny Brutus i mądry Kasjusz wyciągnęli swe miecze przeciwko dyktatorowi?”

„To stara gadka – odparł Oktawian. – Nie przybyliśmy tu po to, aby o tym słuchać ani dyskutować”.

Pompejusz jednak obstawał przy swoim.

„Stało się tak – ciągnął – po prostu dlatego, że wierzyli, iż człowiek jest tylko człowiekiem, nie królem ani bogiem. I z tej samej przyczyny, w imieniu Republiki, którą wy, jako spadkobiercy Cezara, sprowadziliście do stanu podległości, nawet niewoli, grasując po morzu z moją flotą: broniąc starej postaci Rzymu i mszcząc się za mojego szlachetnego ojca, ofiarę niewdzięczności Rzymu”.

Przyjął szlachetną w intencji pozę...

„Daj sobie z tym spokój – rzekł Oktawian. – Republika jest martwa. Wszyscy to wiemy, chociaż wszyscy słowami oddajemy jej cześć. Musimy. W taki sposób załatwia się te sprawy. Ale twój ojciec – jego szlachetności nie zamierzam kwestionować – był pierwszym z wielkich wodzów, których wielkość pokazała, że stary ustrój nie spełnia już swej roli. Porzućmy pretensje i porozmawiajmy o sprawie”.

Pompejusz popatrzył na mnie, jakby nie przepadał za tak szczerym sposobem rozmowy, jakby wołał, abyśmy zachowywali się niczym senatorowie z dawnych czasów, dyskutującą sprawę do późnej nocy, a nie ludzie, jakimi się staliśmy wskutek okoliczności.

Nie spotkał się z żadną zachętą z mojej strony.

„Miałeś czas – powiedziałem natomiast – aby rozważyć propozycje, które złożyli ci nasi posłowie”.

„Tak” – odparł, spoglądając posępnie, jak ktoś, kogo wymanewrowano.

„Przyznajemy ci władzę nad Sycylią i Sardynią – rzekł Oktawian. – W zamian oczyścisz morze z piratów, synowski obowiązek, skoro było to największym dziełem twójego dostojnego ojca w jego czasach. Zobowiąziesz się też wszelkimi uroczystymi ślubami, jakich od ciebie zażądamy, że uwolnisz flotę zbożową, aby Rzym mógł otrzymywać żywność, i zagwarantujesz jej wolny przejazd w przyszłości”.

„Tak” – rzekł Lepidus, po raz pierwszy zabierając głos. Zwykle gadatliwy, był wyraźnie

speszony obojętnością, jaką mu okazywaliśmy.

Pompejusz zdawał się wahać. Przez chwilę spoglądał w niebo, potem na otwarte morze, jakby rozważał zdradę. Popatrzył na Oktawiana i spuścił wzrok, napotykając pewne spojrzenie chłopca.

Pompejusz odwrócił się do mnie i powiedział:

„Przybyłem tutaj zdecydowany przyjąć waszą ofertę. Ale gdy was zobaczyłem, poczułem przypływ starych uraz, słuszny gniew, który żywiłem od tak dawna. I wtedy twój kolega potraktował mnie z taką pogardą, że kusiło mnie, aby powiedzieć wam, co możecie zrobić ze swoją ofertą. Czy mogę wam zaufać?”

„Zaufaliśmy ci – rzekłem. – Oto jesteśmy na twoim okręcie, na twojej łasce. Zatem z pewnością możesz nam zaufać”.

„Świetnie” – odpowiedział krótko.

To jest wersja oficjalna. Nie odbiega ona zbyt od rzeczywistości, choć zawsze myślałem, że ta rozmowa była swego rodzaju szaradą. Mój pan jednak wierzył w nią, chociaż, jestem pewien, Oktawian nigdy nie wierzył. Dla niego zaufanie, albo pozór zaufania, nie było niczym więcej niż teatralnym udawaniem. Na rzuconej przez niego linie, zgodnie z jego planem, Pompejusz miał się sam powiesić. Przyznaję, że ocenił Pompejusza bardziej wnikliwie niż mój pan. Oktawian, moim zdaniem, był i jest zdecydowanym na wszystko cynikiem. Ponieważ nigdy w życiu nie dotrzymał umowy, nie oczekiwał, że Pompejusz wywiąże się ze swojej obietnicy. Ale osiągnął to, czego chciał. Zboże dla Rzymu.

Tamtego wieczoru, jak wszyscy wiedzą, albo wiedzieli, tak, muszę to uściślić – albowiem kto może odgadnąć ignorancję przyszłych czytelników tych wspomnień? – Pompejusz wydał ucztę na pokładzie swego okrętu flagowego. Była to na początku wesoła okazja, którą oglądałem z bliska jako członek świty mojego pana. Pomyślelibyście, słuchając ich rozmowy, że triumwirat, który rządził Rzymem, składa się z mojego pana, Oktawiana i Pompejusza, a Lepidus, cel ich żartów, jest człowiekiem spoza. Oczywiście sam się o to prosił. Wypytywał mojego pana o Egipt, co było niezbyt taktowne w obecności Oktawiana, skoro wszyscy wiedzieli, że gdy mówił o Egipcie, myślał o Kleopatrze. Może zresztą miał nadzieję wywołać kłótnię między Antoniuszem a Oktawianem, z której mógłby wyciągnąć jakieś korzyści. Ale mój pan miał za dobry humor, aby dać się sprowokować. W każdym razie niedługo potem wino całkiem zamąciło intelekt Lepidusa, jeśli ten w ogóle jakikolwiek posiadał. Potwierdziło się zatem to, co słyszałem:

że pije teraz nałogowo i głupiej od tego – stając się jeszcze głupszym, niż bogowie go stworzyli.

„Co to za zwierzę krokodyl?” – zapytał.

„No cóż – odpowiedział mój pan – jeśli musisz wiedzieć, ma swój własny kształt. Jest równie gruby, jak szeroki, i równie wysoki, jak jego własna wysokość. Odżywia się żywnością i porusza się, jak chce”.

„Naprawdę? Niezwykłe. Jakiego jest koloru?”.

„Krokodylego”.

„Krokodylego? Bardzo dziwne”.

„Właśnie tak. A kiedy szłocha, jego łzy są mokre”.

„Fantastyczne”.

„Czy ten opis cię zadowala? – zapytał Oktawian. – Czy możesz teraz odmalować bestię?”.

„Fantastycznie tak”. – Lepidus pokiwał głową i napił się znowu.

W czasie tej wymiany zdań Pompejusza odciągnął na bok jego admirał Menas; rozmawiał z nim w sposób, który wydawał się gwałtowny, i wskazywał ręką na bok okrętu. Przysunąłem się bliżej, aby uchwycić treść ich rozmowy, obawiając się zdrady.

„Nie – usłyszałem słowa Pompejusza. – Dlaczego mi powiedziałeś? Gdybyś sam zrobił, jak mówisz, wyświadczyłbyś mi przysługę. Ale ja nie mogę”.

„Mógłbyś być panem świata” – rzekł Menas.

„Mogłeś mnie nim uczynić”.

Często zastanawiałem się nad tymi słowami. Podejrzywałem wtedy, co potwierdził potem Ahenobarbus, któremu Menas zwierzył się później, że admirał zachęcał Pompejusza, aby odciąć linę mocującą okręt do brzegu, wypłynąć na pełne morze i zamordować mojego pana, Oktawiana i Lepidusa.

Dlaczego tego nie zrobił?

Mówił podobno o honorze. Dał słowo. Zagwarantował swoim gościom bezpieczeństwo. Są tacy, którzy nie wiedzą, jak zostać wielkimi. Nawet wtedy byłem pewien, że gdyby zamienili się rolami, Oktawian prędzej odciąłby własnoręcznie cumę, aniżeli pozwolił, aby taka okazja wymknęła mu się z rąk.

Pijaństwo trwało nadal. Lepidus pobladł, potem zzieleniał, zwymiotował, wypił łączywie jeszcze jeden puchar, zabelkotał coś bez sensu, uściskał Pompejusza, zatoczył się i upadł, a na

koniec został wyniesiony przez żołnierza.

„Silny gość – mruknął ktoś. – Niesie trzecią część świata”.

„Trzecią część pijanego świata”.

„Tak jak i pozostałe dwie”.

„Nie Oktawian, nie nasz Cezar, on jest zbyt przebiegły. Czy nie zauważyłeś, z każdego nalanego kielicha upija łyk, a potem, gdy myśli, że nikt nie patrzy, wylewa go na pokład?”.

Słomkowego koloru księżyc w pełni stał wysoko na letnim niebie. Łagodny ciepły wietrzyk dmuchał z południa. Ktoś podszedł i zawiesił wieńce z kwiatów na szyjach wodzów. Ludzie zaczęli wspominać stare bitwy, bohaterskie czyny, przygody. Wojna, która nawet tego ranka rzucała swój ciemny i straszliwy cień na wszystkich, teraz stała się okazją do sentymentalnych wspomnień. Inni śmiali się i opowiadali dowcipy, prostackie i nieprzyzwoite, jak zawsze żołnierskie. Nawet gwardzista Oktawiana zdjął rękę z rękojeści sztyletu. Chłopiec okrętowy, efeb o kręconych włosach, robił do mnie szelmowskie oczy, obiecując przyszłą przyjemność.

Mój pan wstał, chwiejąc się, wziął Pompejusza za jedną rękę, a Oktawiana za drugą, i wyprowadził ich na otwartą część pokładu. Kazał muzykom zagrać skoczną melodię i wtedy cała trójka, trzymając się za ręce, zaczęła tańczyć. Mój pan podskakiwał wysoko, Pompejusz dołączył do nich i wyrzucał z siebie radosne okrzyki. Myślałem, jak często myślę, że jest coś niedojrzałego, coś z wiecznej młodości, w rzymskich arystokratkach. Coś, co, chociaż my, Grecy, możemy traktować to z pogardą, jest mimo wszystko jedną z przyczyn, dla której oni, a nie my, są panami świata. Mają wielkie zasoby zwierzęcych instynktów, ogromną żywotność; pozwala im ona wejść szczerze w nastrój chwili, nawet zapomnieć o swej godności, którą w jasnym świetle dnia tak wysoko cenią. Gdy patrzyłem, jak mój pan i Pompejusz tańczą, kręcąc się jeden wokół drugiego w wirującym kręgu, coraz szybciej i szybciej, zacząłem rozumieć, że wspaniałe lekceważenie samych siebie jest tajemnicą ich sukcesu. Potrafią uchwycić chwilę i cieszyć się nią. Ponieważ wierzą, że sami są poza wszelką krytyką, mogą się wygłupiać jak uczniowie, którzy wiedzą, że świat jest stworzony dla ich przyjemności.

Ale Oktawian nie potrafił nigdy całkiem się zapomnieć, jak to robili inni. Jakaś jego cząstka obserwowała taneczne popisy, w które angażował się mniej szczerze aniżeli mój pan i Pompejusz. Jego wzrok nigdy nie tracił wyrazu wyrachowania. Oczywiście uczestniczył, zamknięty w sobie i powściągliwy, jakim był, w chwilowym uwolnieniu od napięcia, które powodowało i ożywiało taniec. Ale był też pierwszym, który odskoczył na bok, do tego czasu

jednak mój pan i Pompejusz, przepelnieni dionizyjskim szalem, tak poddali się upojeniu swoich dzikich skoków, że nawet nie zauważyli, iż nie tańczy już z nimi.

Spostrzegł, że patrzę na niego, i uśmiechnął się. Wtedy księżyc skrył się za chmurą i zrobiło się ciemno. Zaraz potem zaczęło padać.

ROZDZIAŁ 14

Oktawia miała nadzieję, że utrzyma mojego pana u swego boku w Atenach. Uwielbiała miasto i sposób, w jaki się tam zachowywał: przyzwoity, domatorski, odnajdując szczęście w uprawianiu szermierki umysłowej. Chodzili razem do teatru i słuchali odbywających się w Liceum dysput, w których mój pan był od czasu do czasu gotów uczestniczyć. Chociaż niewielu w Rzymie w to wierzyło, lubił roztrząsać abstrakcyjne kwestie, takie jak istota sprawiedliwości.

Ponadto, gdy żył zgodnie z Oktawią, jego zdrowie się poprawiło, a wraz z tym i jego usposobienie. Nie chcę stwarzać wrażenia, że w innych okresach mojego pana rozpiekał temperament. Ale niewątpliwie ulegał nastrojom, doznając przyływów i odpływów energii, raz kipiał życiem, raz pogrążał się w przygnębieniu. Zwykle, jak zauważyłem, dzieje się tak z ludźmi, którzy dużo piją. Pijaństwo zakłóca równowagę chodu i w podobny sposób oddziałuje na umysł. Żyjąc z Oktawią, mój pan rzadko dużo pił. Nigdy ponad dwie kwarty wina za jednym posiedzeniem – co dzięki swej wspaniałej budowie potrafił znieść bez przykrych konsekwencji. Jedynie w obozie wojskowym, a także w Rzymie, albo gdy później przebywał w towarzystwie królowej, przekraczał ten limit z opłakanymi dla siebie skutkami.

Pewien grecki uczony, zapomniałem, niestety, jego imienia, napisał traktat na temat wpływu wina na umysł i duszę, który powinien przeczytać, moim zdaniem, każdy dobrze urodzony chłopiec, wkraczając w dorosłe życie. Uroki wina są podobne do uroków tancerek. Działają z ogromną siłą i psują. Pijak nie może skupić się na niczym innym niż potrzeba jeszcze jednego kielicha. Nie panuje nad rzeczywistością. Postrzega sprawy w fałszywych proporcjach. Spokój wewnętrzny, który jedynie zapewnia szczęście i ogromnie pomaga w osiągnięciu sukcesu, jest mu niedostępny. To właśnie miało spotkać mojego pana. Ale w tych szczęśliwych dniach w Atenach zdawał się on odpoczywać w złotym popołudniu. Nikt nie mógł wątpić, że jest nie tylko najwspanialszym z ludzi, ale i ulubieńcem bogów, że jego osiągnięcia daleko przewyższyły dokonania wszystkich innych śmiertelników.

Zwykłem towarzyszyć mu do gimnazjonu, gdzie ćwiczył z zapalem właściwym raczej Grekom niż Rzymianom. Gdy obnażony i namaszczony oliwą szykował się do zapasów albo podnoszenia ciężarów, jedynie fałda wokół talii stanowiła dowód, że przekroczył już

czterdziestkę. Jego męskie piękno należało do kogoś o połowę od niego młodszego. Mówię to z pewnością jako sędzia tych spraw, mimo że moje własne upodobania zawsze kierowały się ku efebom. Wolałem nieukształtowane, nawet dziewczęce piękno od w pełni dojrzałego i męskiego. Uznacie może, że jest to moim nieszczęściem. I nie pomylicie się. Ale przyznaję, że mój pan w tamtych dniach w Atenach nadal stanowił najdoskonalszy znany mi przykład męskiego piękna.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Oktawia go podziwiała. Może na początku nawet z bólem serca. Poślubiła go, gdyż brat jej tak kazał, i wierzę, że zrobiła to, nie oczekując radości, posłusznie, z przyczyn politycznych, które dobrze rozumiała. Chociaż miała małego synka z pierwszego małżeństwa z Gajuszem Marcellusem, sprawującym konsulat na rok przedtem, zanim Cezar rozpętał wojnę domową, przekraczając ze swymi oddziałami Rubikon, miała niewiele ciepłych wspomnień o tym bojaźliwym i nieszczerym arystokracie.

Widząc moje oddanie dla swego męża, z radością uczyniła mnie swoim powiernikiem. Dobrze to świadczy zarówno o jej inteligencji, jak i wielkoduszności. Sądziła być może – z pewnością było wielu gotowych upewnić ją w tym – że jestem jego katamitą. Nie wpłynęło to jednak na jej stosunek do mnie ani życzliwy sposób, w jaki mnie traktowała. Prawda jest taka, że ceniła moje absolutne oddanie dla Antoniusza. Miała dość rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, że znam go lepiej niż ona i mogę jej poradzić, jak go zadowolić.

– Staraj się go rozerwać – mawiałem. – Mój pan łatwo się nudzi, potrzebuje śmiechu i wesołości.

– Czy właśnie tak Kleopatra sprawiała mu przyjemność?. – Och, królowa – mówiłem – należy do przeszłości. Cokolwiek mogło być między nimi, nie powinno martwić cię teraz.

– Ale czy nie jest prawdą, że urodziła mu bliźniaki?

– Z pewnością urodziła bliźniaki.

– A on je uznał?

– Wiesz, jaki jest wielkoduszny. Nie zarzuciłby kłamstwa kobiecie, szczególnie takiej jak królowa, zwłaszcza że jej potrzebował ze względów politycznych. Może są jego dziećmi. Nie twierdzę, że to niemożliwe. Podobnie jej starszy syn mógłby być dzieckiem Cezara. Wiesz oczywiście, że nazwała go Cezarionem. Ale kto może mieć całkowitą pewność? W każdym razie wszystko to należy do przeszłości, zapewniam cię. – Nie kłamałem, zapewniam ją o tym. Naprawdę wierzyłem, że mój pan umknął sieci królowej.

– Jaką jest kobietą? Czy to rzeczywiście piękność?

– Nie, nie nazwałbym jej pięknnością, na pewno nie. Powinnaś widzieć jej podbródek, jest o wiele za gruby i trochę zakrzywiony. Poza tym ona tyje, gdyż jest bardzo żarłoczna i nie lubi się gimnastykować, wyjąwszy chwile, gdy próbuje zaspokoić kochanka.

– Odbywa mnóstwo ćwiczeń w łóżku, jak słyszałam.

– Rzeczywiście, to prawda, ale tobie ten rodzaj aktywności zapewnia szczupłą figurę.

Robiłem wszystko, co mogłem, jak widzicie, starając się odwieść Oktawie od zainteresowania królową, które łatwo mogło się przekształcić w obsesję. Mój pan lubił czuć się swobodnie. Nie znosił zazdrości u kobiet. Z tego między innymi powodu tak całkowicie odwrócił się od Fulwii, która była zazdrosna o każdego, kogo obdarzył uśmiechem.

– Oczywiście podziwiam go – rzekła Oktawia. – Wiesz o tym, Krytiaszu, ale podziwiam także mojego brata. Zawsze byliśmy sobie niezwykle bliscy. Nasze dzieciństwo byłoby bardzo nieszczęśliwe, gdybyśmy nie mieli siebie. Niczego nie pragnę bardziej niż zachowania przyjaźni między nimi oboma.

– Są, jeśli wolno mi tak powiedzieć, pani, w otoczeniu twojego brata ludzie, którzy chcieliby ją zniszczyć.

– Wokół twojego pana też ich nie brak. – Uśmiechnęła się. – Na przykład Wentidiusz. Liczę, Krytiaszu, że powiesz mi, jeśli usłyszysz, że ktoś opowiada twojemu panu złe rzeczy o moim bracie. Wiem, że zawiera ci wiele tajemnic, i jestem pewna, że postępuje słusznie. Ale zdajesz sobie sprawę, że tajemnica między mężem i żoną jest niszcząca. Jestem pewna, że zgadzasz się ze mną co do tego, iż pokój świata zależy od trwałej zdolności mojego brata i twojego pana do działania w harmonii. Cudowne słowo: „harmonia”, czyż nie? A więc pomożesz mi, prawda?

Cóż mogłem zrobić innego, niż obiecać, o co prosiła? Przyszło mi to tym łatwiej, że Oktawia zachowywała się miło. Gdybym nie był tym, kim byłem, i nie zajmował pozycji, jaką zajmowałem... W istniejącej sytuacji odnosiłem się do niej z serdecznym uczuciem.

Nie powiedziałem nic, zdaje się, o Wentidiuszu, którego Oktawia wspomniała jako tego, któremu nie ufa. Stało się tak częściowo dlatego, że jego prostackie maniery i gburowaty język pasowały bardziej do obozu niż do salonu. Wyznaję, że sam nie miałem powodów, aby go lubić. Nawet przerażał mnie trochę i nigdy nie traktował inaczej niż ze wzgardą.

Publiusz Wentidiusz – albo Wentidiusz Bassus, jak ktoś go nazwał, choć zapewne bez

żadnego powodu – był człowiekiem, który doszedł do znaczenia na wojnie i nie znał żadnego życia poza armią. Jego pochodzenie było skromne. Niektórzy mówili, że urodził się w Auksimum, nieważnym italskim mieście. Z pewnością była tam rodzina o tym nazwisku, urzędnicy municypalni, którzy narazili się na gniew Pompejusza i zostali wygnani z ojczyzno miasta. Niektórzy utrzymywali nawet, że młody Wentidiusz został jako dziecko sprzedany do niewoli i szedł w czasie triumfu jako jeniec Pompejusza Strabona. Prawda jest taka, że o jego dzieciństwie i młodości zupełnie nic nie wiadomo. Sam o tym nigdy nie mówił, dowód na to, że nie było nic szlachetnego w jego pochodzeniu. W młodości służył jako zwykły żołnierz. Cynceron twierdził nawet, że Wentidiusz był przez pewien czas poganiaczem mułów, ale, jak już wiecie, wszystko, co Cynceron mówił o swych wrogach politycznych, jest podejrzane. Nigdy nie było podobnego kłamcy, nawet Oktawian nie dorównuje mu pod tym względem. W każdym razie pierwsze niebudzące wątpliwości świadectwa dotyczące Wentidiusza ukazują go jako dostawcę wojskowego, dostarczającego muły i inne niezbędne wyposażenie dla armii Cezara. Jego skuteczność została doceniona. Otrzymał awans, walczył w wojskach Cezara przez całą wojnę domową, a po zamordowaniu dyktatora przyłączył się do mojego pana. Przyczynił się do klęski Decymusa Brutusa, ale później nie udało mu się przerwać oblężenia Peruzji. O tym, że nie było w tym jego winy, świadczy fakt, że mój pan nie przestał mu ufać. Na przykład wyznaczył go dowódcą armii wysłanej do Syrii, aby powstrzymać najazd księcia partyjskiego Pakorusa. Wentidiusz wywiązał się z powierzonego mu zadania tak dobrze, że wynagrodzono go triumfem – niemałe osiągnięcie dla poganiacza mułów, mówili ludzie.

Wentidiusz był typem Rzymianina, jakim Grecy i ludzie Wschodu gardzą. Prawdziwy zbir. Nie miał serca do spraw, których nie rozumiał. Był bezgranicznie przekonany, że pod każdym względem Rzymianie górują nad wszystkimi innymi. (Oczywiście sam nie był naprawdę Rzymianinem, lecz jedynie Italikiem).

Był jednak wielkim, zaprawionym w bojach wodzem, na dodatek bezwzględnie oddanym mojemu panu. Doceniając to, mój pan ufał mu w równej mierze. Miało to swe złe skutki, choćby tylko dlatego, że inteligencja Wentidiusza, wyjąwszy sprawy wojskowe, nie dorównywała jego wierności. Zupełnie nie rozumiał, że przyjaźń między moim panem a Oktawianem leży w interesie wszystkich. Zawsze był przede wszystkim cezarianinem, ale pogardzał Oktawianem.

– Chłopiec jest tak oszukańczy – mówił – że nawet to, co wydała, jest pokręcone.

Oburzała go młodzieńcza zniewieścialsłość Oktawiana. Należał do nielicznych, którzy

całkowicie wierzyli, że Oktawian jest katamitą Cezara – mógł mieć zresztą w tym rację. Poza tym wiedział, o czym wiedzieli zresztą wszyscy, że Oktawian był przez jakiś czas kochankiem Decymusa Brutusa, którego mój pan nazywał Myszą i do którego Wentidiusz odnosił się z odrazą, określając go mianem „wdzięczącego się zwyrodnialca”. Widok Mecenasa w otoczeniu Oktawiana, jak często powtarzał, doprowadzał go do mdłości. Wszystko to w dziwnym i z mojego punktu widzenia haniebnym świetle stawia historia, wedle której po swoim triumfie Wentidiusz zgwałcił jednego z partyjskich książąt, zanim uduszono chłopaka w Więzieniu Mamertyńskim. Rozumiecie zatem, dlaczego uważałem go za potwora. Gdyby wszyscy Rzymianie byli do niego podobni, należałoby ich uznać za niegodziwych bydlaków, za jakich uważa ich wielu Greków.

Poza tym Oktawia miała powody, aby obawiać się wpływu Wentidiusza. Ostrzegał mojego pana przed Oktawianem i przekonywał go, że nie należy mu ufać. Oczywiście miał zupełną rację, jak pokazały późniejsze wydarzenia. Co dziwne, mój pan, który nikomu nie pozwalał przemawiać przeciwko Oktawianowi – swemu „najdroższemu bratu” – udzielał tego prawa Wentidiuszowi.

Jeszcze coś przyczyniało się do tego, że mój pan odnosił się do niego z sympatią. Wentidiusz, zapewne z czasów, gdy był poganiaczem mułów, znał mnóstwo naprawdę sprośnych dowcipów. W istocie cała jego mowa była obsceniczna i skatologiczna, w stopniu, który wskazywał, że cierpi on na jakąś chorobę duszy. Mój pan często powtarzał, że lubi sprośne rozmowy po kolacji, gdyż jest to jedyny rodzaj rozmów, w których wszyscy mogą uczestniczyć. Niewątpliwie to prawda, że większość ludzi lubi nieprzyzwoite dowcipy. Ale Wentidiusz naprawdę posuwał się za daleko. Nie potrafię zmusić się do powtórzenia nawet jego najwyborniejszych opowiastek. Kleopatra, kobieta o umyśle, który nieraz porównywałem do Cloaca Maxima, czyli Wielkiego Ścieku w Rzymie, szczególnie upodobała sobie jeden naprawdę obrzydliwy o kapłance Diany w Efezie, dwóch świecach i ośle. Szczerze mówiąc, nie mogę go powtórzyć, nawet aby pokazać całą jego obrzydliwość.

Nic więc dziwnego, że Oktawia, tak wymagająca, pełna wdzięku i prawdziwie elegancka, odsunęła się od bydlaka ze wstrętem. Często przekonywałem ją, aby przynajmniej udawała, że go toleruje, gdyż jego cnota wojskowa – jedyna, jaką posiadał – tak przysparzała mu sympatii mojego pana. Ale Oktawia nie potrafiła tego robić i wiele ją to w końcu kosztowało. Mimo że mój pan wiedział o przechwałkach Wentidiusza, który opowiadał, że wojska Antoniusza zdobyły

większą sławę, gdy imperator był nieobecny, a dowodził on, Wentidiusz, uważał jednak to za jeszcze jeden przykład czegoś, co lubił nazywać „otwartą uczciwością starego wiarusa”. Zbyt chętnie gotów więc był wierzyć Wentidiuszowi, gdy ten sączył do jego uszu podejrzenia dotyczące Oktawii. Nawet najszlachetniejszy człowiek uwierzy w kłamstwa, gdy odpowiednio często mu się je powtarza. Rozsądek mojego pana sprzeciwiał się insynuacjom, że jego żona jest bardziej oddana interesom swego brata niż jego. Gdy jednak dotarło do niego, że ich drogi się rozeszły, nazbyt łatwo dał wiarę podejrzeniom, jakie Wentidiusz jako jeden z pierwszych tak skwapliwie podsycił.

Niestety, wkrótce okazało się, że ugoda sklecona z Sekstusem Pompejuszem jest krucha. Odpowiedzialność za jej złamanie – niejasna. Oktawian obwinał Pompejusza, Pompejusz Oktawiana. Zachowałem listy od każdego napisane do mojego pana, a ogłaszające nikczemność działań drugiego. Szczerze mówiąc, stanowią smutną lekturę. Są stekiem kłamstw, które nawet wtedy wprawiały mojego pana w zakłopotanie. Prawda jest taka, że zarówno Pompejusz, jak i Oktawian chcieli wojny, a gdy ludzie są w tym stanie, przypominają jelenia na rykowisku albo sukę w rui.

Oktawian bez porozumiewania się z moim panem, a nawet żądając od niego okrętów i legionów, najechał Sycylię. W większej mierze dzięki szczęściu niż sprawnemu dowodzeniu, albowiem nigdy nie było mniej kompetentnego dowódcy na polu bitwy, odniósł zwycięstwo, wybawiony z kłopotu przez Agrypę. Pompejusz uciekł z wyspy z zaledwie trzema legionami i przez kilka miesięcy prowadził chaotyczną wojnę, a właściwie zwykły rozbój na terenie Azji. Wodzowie mojego pana otrzymali rozkaz, aby go pojmać, co zrobili – skutecznie, jeśli nawet w końcu haniebnie. Wziętego do niewoli Pompejusza wysłano na tamten świat. „Okrutna konieczność” – rzekł mój pan, gdy o tym usłyszał. Cezar wypowiedział te same słowa, kiedy pokazano mu głowę Pompejusza Wielkiego.

Tymczasem znacznie bardziej niepokojące wieści nadchodziły z Sycylii. Zawierał je list od jednego z agentów mojego pana, którego imienia, ponieważ nadal żyje i cieszy się łaskami Oktawiana, nie wymienię. Nie przypuszczam, aby on sam życzył sobie, żebym przypominał sposób, w jaki napisał do mojego pana o człowieku, któremu teraz służy.

Oto treść listu:

Prosisz o sprawozdanie o tym, co się tutaj dzieje. Mam jednak trudności z odróżnieniem teatru od rzeczywistości.

Musisz wiedzieć, że kiedy Sekstus uciekł z wyspy, jego oficer Pliniusz Rufus nadal trzymał Messynę z ośmioma legionami. Jako rozsądny człowiek nie widział powodu, aby dalej prowadzić wojnę w imieniu wodza, który go opuścił. Zgłosił więc gotowość kapitulacji.

Lepidus, którego pomocy w pokonaniu Pompejusza Twój drugi kolega potrzebował i ucieszył się z niej, gdyż w przeciwnym razie jego własna wojskowa nieudolność mogłaby doprowadzić do klęski, wykorzystał ten moment, aby ostro się postawić. Szusnie wierząc, że przyczynił się do zwycięstwa, oświadczył, że on właśnie powinien przyjąć kapitulację. Oktawian przebywał wtedy w Syrakuzach, gdzie zdobywał sobie względy obywateli, składając ofiary ku czci miejscowych bogów – jak wiesz, mają ich tysiące, tak więc wszystko to zajęło trochę czasu.

Lepidus mógł w tej sytuacji zignorować Agrypę z racji swej wyższej rangi i przejął dowództwo nad ośmioma legionami Pliniusza. Wskutek tego stanął na czele dwudziestu dwóch legionów – potężna armia, gdyby potrafił zapewnić sobie jej lojalność. Nie było żadnego powodu, jak się zdawało, dla którego nie miałoby mu się to udać. Lepidus nie jest wielkim wodzem, o czym wszyscy wiemy, ale jego wojskowa sława jest mimo wszystko nieco większa niż Oktawiana.

Przeliczył się jednak z siłami. Zanim połączył własne legiony z tymi, które niedawno służyły Pompejuszowi, zaprowadził porządek i dyscyplinę w swojej nowej armii, nakazał – tak, w istocie rozkazał – Oktawianowi pozostawić mu Sycylię.

Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się następnie, nie zdziwisz się, słysząc, że istnieje więcej niż jedna wersja wydarzeń.

Niektórzy mówią, że Oktawian chciał od razu spakować manatki i uciekać.

Nie wiem. Nie byłby to pierwszy raz, nieprawdaż?

Ale nawet jeśli miał taki zamiar, wkrótce zmienił zdanie. Doniesiono mu, że w obozie Lepidusa panuje niezadowolenie. Jedni ludzie dezercerują, inni piją.

W każdym razie Oktawian wykorzystał okazję. Nie mam wątpliwości, że wszystko zostało wcześniej dobrze przygotowane, ale to, co nastąpiło, wyglądało na całkowicie spontaniczne działanie.

Zjawił się wcześniej rano w obozie, zanim Lepidus wstał z łóżka, i, z Agrypą u boku, wydał żołnierzom rozkaz, aby ustawili się w szeregu.

Następnie przemówił do nich, nazywając ich „Rzymianami” i ogłaszając, że jest Cezarem.

Imię nadal ma swój stary czar i gdy zobaczył, że tak to wygląda, zerwał swój napierśnik i wezwał, aby uderzył go, kto zechce. (Ręka Agrypy ani na chwilę nie opuszczała rękojeści miecza, możesz założyć się o to). Nikt oczywiście tego nie uczynił. Wtedy mały człowiek zażartował, że są bardziej godni zaufania niż senatorowie.

Następnie powiedział, a dowiedziałem się tego od kogoś, kto był tam obecny, co następuje:

„Mam list od waszego wodza. Każe mi się wynosić z Sycylii. To nie jest przyjacielski list, chociaż Lepidus nie ma powodu, aby na mnie narzekać. I dlatego przybyłem tutaj, aby prosić was o radę. Czy powinienem posłuchać waszego wodza?”

Wiesz, jak żołnierze uwielbiają ironię, która jest ich ulubionym sposobem komunikowania się. Mały człowiek szydził więc dalej. Powiedział, że naprawdę się przeraził, gdy otrzymał list, „znając Lepidusa, jak ja go znam” – co oczywiście wywołało śmiech. „Agrypa – rzekł chciał od razu uciekać z powrotem do Rzymu. Ale mnie zaraz przyszły do głowy dwie myśli: a co jeśli Lepidus podąży za nami do Rzymu i każe nam również wynosić się z miasta? Musielibyśmy znowu uciekać i nigdy byśmy się nie zatrzymali. Taka była moja pierwsza myśl. A druga była następująca: zastanawiam się, czy żołnierze Lepidusa, którzy odnieśli wspaniałe zwycięstwa nawet pod jego dowództwem, zgadzają się ze swoim wodzem. Ciekaw jestem, czy chcą zobaczyć moje plecy. Zatem przybyłem tutaj, aby was zapytać”

No cóż, musisz mu oddać sprawiedliwość. Mały sodomita dopiął swego. Zgromadzili się wokół niego. Obiecał im gospodarstwa, premie w gotówce, co chcecie, zapewniając ich nawet, że jeśli urzędnicy skarbu nie dadzą gotówki, wydobędzie ją od swoich bankierów. Wznosili więc okrzyki i wiwaty, i to faktycznie był koniec twojego drugiego szlachetnego kolegi. Lepidus jest skończony. Zostaliście teraz tylko Ty i Oktawian. Nawiasem mówiąc, pozwolił Lepidusowi zachować stanowisko najwyższego kapłana – pontifex maximus. Przyzwoite z jego strony, nieprawdaż? Powiada, że uczynił tak z szacunku dla religii.

ROZDZIAŁ 15

– Historycy powiedzą, że przegrałem – jeśli mam przegrać – ponieważ zaniedbałem Rzym i Italię, zajmując się wyłącznie sprawami Wschodu. Oznaczać to będzie, że zupełnie nie rozumieją ani znaczenia, ani potrzeb imperium. Zajęci wąską polityką miasta i senatu, zaniedbują skałę, na której oparta jest przewaga Rzymu. Często pytałem – nieprawdaż, Krytiaszu? – co wiedzą o Rzymie ci, którzy znają tylko Rzym.

Zdobyliśmy nasze imperium nieomal przypadkiem, a na pewno nie dzięki polityce senatu. Wszyscy wielcy ludzie, jakich spotkałem w życiu – i niektórzy przede mną – przyznawali to. Sulla i Pompejusz Wielki byli architektami imperium, przyłączając do Rzymu terytoria ciągnące się aż po daleką pustynię, leżącą za Syrią, i zapewniając sobie posłuszeństwo miejscowych królów i książąt. Ale poza imperium leży jedyny rywal Rzymu – Partia, spadkobierca imperium perskiego, państwo sięgające poza granice podbojów Aleksandra, aż do bajecznych Indii.

Od czasów mojej młodości, ci, którzy studiowali coś, co greccy profesorowie nazywają „geopolityką”, rozumieli, że bezpieczeństwo imperium wymaga uległości Partii. Nie jej ujarzmienia, bo to nie leży w naszych możliwościach, ale jej podporządkowania rzymskiej woli.

Marek Licyniusz Krassus, tłusty milioner, który wraz z Cezarem i Pompejuszem stworzył pierwszy triumwirat, chciał być może głównie dorównać swoim kolegom w sławie i rozgłosie, gdy postanowił rozpocząć wojnę z Partią. A za tą niegodziwą ambicją ukrywała się wiedza, że Partii, jak dawnej Kartaginie, nie można pozwolić rozwijać się bez przeszkód, albowiem jest ona naszym rywalem, współzawodniczącym z Rzymem o wpływ nad królestwami, które służą jako państwa buforowe między naszymi dwoma imperiami. Najważniejszym z nich jest Armenia.

Krassus, jak wszyscy wiedzą, poprowadził swą armię najkrótszą prostą drogą, zamierzając uderzyć w serce imperium partyjskiego. Ale to wymagało przejścia przez pustynię, na której jazda partyjska wykorzystwała swą przewagę i w ten sposób doprowadziła go do klęski pod Carrhae. Sama nazwa przypomina bitwę, w której Hannibal zniszczył dwie rzymskie armie. Krassus zginął, jego żołnierzy wyrżnięto albo wzięto do niewoli, interesy Rzymu doznały uszczerbku, nasz prestiż został zdeptyany.

W wojnie domowej między Cezarem a Pompejuszem królowie, którzy byli kreaturami Pompejusza, oczekiwali od Partii pomocy. Nie zmienili swej polityki po zabójstwie Cezara.

Partowie okazali pomoc Brutusowi i Kasjuszowi przed Filipi. Waleczny pompejańczyk Kwintus Labienus przeszedł nawet na służbę w ich wojsku i przyjął partyjskie imię.

Cezar planował kampanię przeciwko wrogiemu imperium. Niektórzy, jak Mysz Brutus, mówili, iż robił tak jedynie dlatego, że był znudzony, traktując ją jako chwilowe wytchnienie od zadania zreformowania Republiki, co przekraczało jego siły. Dobrze wiedziałem, że chodziło o coś innego. Mysz przyjął błędną interpretację, powszechnie zresztą podzielaną przez tych, którzy nie zaprzęтали sobie głowy potrzebami i naturą naszego imperium, lecz uznawali politykę naszej szlachetnej klasy za centralną i zasadniczą sprawę. Cezar okazał się mądrzejszy: podniósł oczy na horyzont i zrozumiał istotę problemu.

Zabójstwo Cezara i wszystko, co po nim nastąpiło, przekreśliło możliwość wojny. Potem, gdy borykałem się ze spadkiem po wojnie domowej, w roku układu z Brundizjum, Partowie najechali Syrię. Wentidiusz, wiernie wykonując moje instrukcje i prowadząc strategię, jaką zalecałem, wypędził ich w kampanii, która przyniosła sławę naszym wojskom.

Dało nam to chwilę oddechu.

Oktawian w listach starał się mnie powstrzymać. Oktawia go wspierała. Ich argumenty były odmienne.

On przekonywał, że wojna jest przedwczesna, a Partia, trzymana w szachu przez Wentidiusza, nie przedstawia bezpośredniego zagrożenia.

Czytając jego list, Ahenobarbus powiedział:

„Boi się. Wie, że gdy wrócisz zwycięski z takiej wojny, twoja sława przyćmi jego, jak blask słońca przyćmiewa światło księżyca”.

Wentidiusz również odnosił się z pogardą do mojego kolegi. Zapewniał mnie, że zwycięstwo nad Partią uczyni mnie jedynym panem świata rzymskiego.

„Wcale do tego nie dążę” – powiedziałem.

„Jeśli ty nie będziesz panem – odparł – zostanie nim Oktawian. Jak kobieta nie może mieć dwóch mężów, tak Rzym nie zniesie dwóch panów”.

Sprzeciw Oktawii wobec wojny podyktowało uczucie. Obawiała się, że przegram.

„Nikt – rzekła – z wyjątkiem Aleksandra nie odniósł sukcesu w tak ogromnym przedsięwzięciu. A z tego, co czytałam, albowiem, o czym wiesz, jestem studentką historii, imperium perskie w jego czasach było równie słabe, jak partyjskie jest teraz silne. W każdym razie sam przyznałeś, że aby pomyślnie przeprowadzić wojnę z Partią, będziesz potrzebował

wsparcia wszystkich księżęcych państw, związanych z naszym imperium, i że nie ma wśród tych królów i książąt ani jednego, któremu mógłbyś naprawdę zaufać. Och, wiem, że robisz wyjątek dla Heroda, niesłusznie, moim zdaniem, poderżnąłby bowiem gardło własnej matce, gdyby sądził, że uzyska w ten sposób jakąś korzyść, a w każdym razie jest on królem pozbawionego znaczenia, niewielkiego państewka. Poza tym – mówiła dalej, obejmując mnie za szyję i całując – boję się. Nie chcę cię stracić”.

Oczywiście wyśmiałem jej skrupuły, pieściłem ją, scałowałem jej łzy. Następnie, gdy leżeliśmy razem, odpoczywając, ciało obok ciała, a jej włosy łaskotały mój policzek, powiedziałem:

„Twój brat zgadza się z tobą. Jak myślisz, dlaczego?”.

„Och – odparła – on także cię kocha, nieprawdaż? Wszyscy cię Kochamy”.

„To nie jest odpowiedź”.

„Chyba nie. No cóż, niech pomyślę. Cezar nigdy go do końca nie przekonał. Pamiętam, jak rozmawiałam z nim, kiedy nasz wuj planował swą wojnę przeciwko Partii. Oświadczył wtedy, że nie uważa za dobry pomysł dalszego rozszerzania imperium. Ugryźliśmy tyle, ile możemy połknąć i strawić. Dokładnie tak brzmiały jego słowa. Dziwne, że przypominam je sobie teraz”.

„Aleja wcale nie planuję rozszerzenia naszego imperium, lecz jedynie zabezpieczenie jego granic. Czy napiszesz i wyjaśnisz mu to?”.

„Jeśli nie wierzy tobie, dlaczego miałby mnie uwierzyć?”.

„Ufa ci”.

„Ale ufa chyba także tobie?”.

„Wierzę, że ufa, gdy polega na własnym rozumie. Ale otaczają go ludzie, którzy mają interes w zatruwaniu jego umysłu przeciwko mnie”.

„Nielatwo ulega wpływom, wiesz przecie o tym”.

„Może nie, ale słucha ludzi, jak każdy...”.

„Twój przyjaciel Wentidiusz próbuje nastawić cię przeciwko mojemu bratu, wiem o tym, ale wiem także, że nie zwracasz na niego w ogóle uwagi”.

„Nie, ale Wentidiusz nie jest tak blisko ze mną, jak Mecenas i Agrypa z twoim bratem”.

„Zapewniam cię, że Mecenas jest zdolny do wszystkiego, nigdy go nie lubiłam, chociaż potrafi być czarujący, ale Agrypa to człowiek bardzo prostolinijny, jestem tego pewna”.

„Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił” – rzekłem.

Naprawdę w to wierzyłem. Była bardzo miłą kobietą i naprawdę mnie kochała, wtedy w każdym razie.

„Osobą, którą powinieneś się martwić – rzekła – może być Liwia. Nie znam jej dobrze sama, ponieważ nigdy jej nie spotkałam, dopóki nie wyszła za Oktawiana. Jest trudną kobietą”.

Z jednej strony należała – należy, powinienem powiedzieć – do rodu Klaudiuszy. Oni, w ten lub w inny sposób, zawsze sprawiali kłopoty. Z drugiej strony, jest twarda jak bryła lodu. Co działo się pod tą mroźną skorupą, trudno zgadnąć. Nie urodziła Oktawianowi dziecka, co samo w sobie zasługuje na uwagę, ponieważ oboje dowiedli swej płodności we wcześniejszych małżeństwach. Opowiada się oczywiście wiele o ich stosunkach seksualnych. Niektórzy twierdzą, że Oktawian lubi być dominowany przez nią. Znasz te rzeczy: bicze i wysokie buty. Może tak było naprawdę. Jak wielu bojaźliwych ludzi, czerpał przyjemność z okrucieństwa. Nie mogę zapomnieć, jak jego oczy błyszczały, gdy układaliśmy listy proskrypcyjne. Samo wybieranie ludzi, którzy mieli zginąć, podniecało go.

Jakkolwiek by było, jak mawiał stary Cyceron, gdy zadano mu pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć, nie miałem wątpliwości, że Oktawian jest w pewien sposób od niej zależny. Wszystkie raporty, jakie otrzymywałem, zgadzały się co do tego, że panicznie się bał ją obrazić.

„Widzisz – powiedziałem Oktawii – jakkolwiek nie jest to łatwe, powinnaś za wszelką cenę zadbać o dobre z nią stosunki. Jeśli uda się doprowadzić do tego, aby postrzegala sprawy tak, jakbym chciał, aby oni oboje je postrzegali, wtedy nie ulega kwestii, że Oktawian udzieli mi wsparcia, którego potrzebuję na wojnę z Partią”.

„A więc – rzekła – chcesz, abym pomogła ci w przedsięwzięciu, którego się obawiam”.

„No właśnie” – odparłem i pocałowałem ją znowu, aby dowieść, że...

„Och – powiedziała, otwierając się znowu przede mną – jak mogę ci odmówić?”.

Oto dlaczego wysłałem Oktawie do Rzymu. Żadnej innej przyczyny, jakiegokolwiek plotka może głosić, nie było. Potrzebowałem legionów, które jej brat zgodził się mi wysłać i które nigdy nie nadeszły. I miałem nadzieję, że zdoła przekonać go do spełnienia danej mi obietnicy albo namówić jego żonę, aby go przekonała.

Ale odmówiono mi legionów. Zostałem pozbawiony czegoś, czego miałem prawo

oczekiwać.

W tej sytuacji musiałem zwrócić się gdzie indziej.

O pieniądze, aby wynająć oddziały posiłkowe od Artawasdesa, króla Armenii.

Była tylko jedna osoba, która mogła mi dać to, czego potrzebowałem.

Kleopatra.

ROZDZIAŁ 16

Zatem przyczyny polityczne oraz nieprzysłanie przez Oktawiana obiecanych dwudziestu tysięcy żołnierzy zaprowadziły mojego pana znowu do królowej.

Zapisałem to, co przeczytacie, na jego rozkaz i muszę stwierdzić, że naprawdę wierzył w to, co mówił. Ja sam wcale nie miałem takiej pewności.

Pamiętacie, jak Platon w jednym ze swych najwspanialszych dialogów (nie mam, niestety, tekstu pod ręką) porównuje duszę do uskrzydłonego rydwanu z dwoma rumakami i woźnicą. Jeden koń jest złośliwy, dziki i narowisty, drugi zaś łagodny i posłuszny. Woźnica uosabia rozum, narowisty rumak pożądanie seksualne, uległy rumak natomiast duchowy element człowieka. Gdy mój pan wysłał mnie ze swym legatem Fontejuszem Kapitonem, abyśmy wezwali królową na spotkanie z nim do Damaszku, na pewno wierzył, że woźnica kieruje nieposłusznym rumakiem. Niestety. Jakże słaba i zwodnicza jest najwidoczniej władza, którą sprawuje rozum!

Królowa powitała nas chłodno. Powiedziała, że myślała, iż nasz pan w ogóle o niej zapomniał.

Chociaż Fontejusz jako arystokrata rzymski stał naturalnie na czele naszej delegacji, owo oskarżenie, którego, sądząc z jego zachowania, się nie spodziewał, pograżyło go w milczeniu (mimo że zadałem sobie trud wprowadzenia go w istotę sytuacji i ostrzegałem, że królowa nie od razu się zgodzi).

Wyraźne odrzucenie jej przez Antoniusza po romansie, jaki przeżyli cztery lata wcześniej, zraniło próżność Kleopatry, jeśli nie dotknęło jej serca, które, moim zdaniem, było najmniej wrażliwym organem tej kobiety.

– Wielka królowo – rzekłem, wyręczając milczącego cymbała Fontejusza – mój pan zapomniałby, mało tego, równie szybko mógłby zapomnieć, że słońce jest gorące, jak pozwolić, aby twoja uroda, wdzięk i wrażliwość zniknęły z jego pamięci. Owe lata rozłąki były dla niego niczym niekończąca się zima.

– Słyszałam – odparła – że odnalazł szczęście w ramionach innej, która ma tę bezcenną przewagę nade mną, że jest zarówno Rzymianką, jak i siostrą spadkobiercy Cezara.

– Wielka królowo! – Ukłoniłem się tak nisko, że czołem dotknąłem marmurowej posadzki,

albowiem przemawiałem, jak jest właściwe, to znaczy, właściwe według niej, czyli na kolanach.
– Któż lepiej ode mnie zna twój blask i znakomitość oraz wie, że wielkich tego świata obowiązek zmusza często do rezygnacji ze szczęścia? Zapewniam cię, że małżeństwo mojego pana z Oktawią stanowiło wyłącznie wynik konieczności politycznej.

– Słyszałam, że jest bardzo młoda.

– Zbyt młoda, aby podobać się dojrzałemu mężczyźnie.

– I piękna.

– Jeśli komuś podobają się wiejskie dziewczęta, no cóż, wtedy tak, jest piękna. Ale wytrawni sędziowie stwierdzają u niej nieobecność inteligencji, która nadaje wyrazu urodzie...

Rozmawialiśmy w tej konwencji przez jakiś czas. Później Fontejuś zdobył się na tyle, aby wyrazić podziw dla zręczności, z jaką prowadziłem rozmowę.

– Muszę przyznać, że wy, Grecy, macie w sobie coś, czego brakuje prostemu Rzymianinowi jak ja sam – rzekł. – Igrałeś z nią jak najbardziej oślizgły pstrąg i pięknie ją załatwiłeś.

Nie da się ukryć, że byłem dumny ze zręczności w doborze słów, i słusznie, albowiem człowiek powinien cieszyć się z tych zdolności i talentów, jakimi obdarzyli go bogowie, zdając sobie zarazem sprawę z tego, że nie mają one większego znaczenia, jeśli się ich nie rozwija i nie ćwiczy, a to już jest własnym dziełem człowieka, a nie darem bogów.

Odczuwałem jednocześnie pewien wstyd. Oktawia odnosiła się do mnie z życzliwością. Szanowałem ją. Żywiłem, może w stopniu, który można uznać za niewłaściwy dla kogoś o mojej pozycji społecznej, uczucie dla niej. I nie miałem żadnych wątpliwości, że Antoniusz jest szczęśliwszy z nią niż z Kleopatą.

Cóż jednak innego mogłem zrobić, jeśli nie wykonywać jego rozkazy? Byłem sługą Antoniusza. To prawda, że czułem do niego więcej niż zwykli czuć słudzy i że odnosił się do mnie z pewnym uczuciem, jakim nie darzył innych. Było także prawdą, że od czasu do czasu słuchał moich rad, a nawet korzystał z nich. Ale to nie była taka chwila. Z równym skutkiem mogłem sprzeciwić się jego instrukcjom, jak usiłować zawrócić mieczem bieg Nilu albo nakazać chmurom, aby nie spuszczały deszczu na ziemię. Występowałem wyłącznie jak obrońca w sądzie, a nikt przecież nie oczekuje, że prawnicy mówią uczciwie albo przedstawiają cokolwiek innego niż pozór prawdy.

Nie przypuszczam, aby Kleopatra, której mimo wszelkich wad nie brakowało inteligencji, dała się przekonać mojej przemowie. Potrzebowała wystarczająco dobrej wymówki, aby przestać

się gniewać. Nakazywał jej to interes. Jeśli w tym momencie swego życia mój drogi pan uznał, że nie tylko potrzebuje jej osoby, ale i wsparcia z jej strony, ona równie dobrze wiedziała, że ich losy są ze sobą ściśle związane. Pozycja Kleopatry była niepewna nawet w Egipcie, gdzie nie brakowało było takich, co nie wybaczyli jej zabójstwa brata Ptolemeusza, z którym dzieliła na początku tron. Jego stronnicy, teraz pozbawieni urzędów, wpływów i majątków, nadal pałali chęcią zemsty. Zdawała sobie zarazem sprawę, że Oktawian nie jest i nigdy nie będzie jej przyjacielem. Fakt, że była matką małego Cezariona i przysięgała, że jest on synem Cezara, uczynił ją przedmiotem podejrzeń Oktawiana, dla którego główny tytuł do lojalności legionów stanowiło to, że jest dziedzicem Cezara, jego ojca w wyniku adopcji. Zyskiwał w ten sposób sławę, której nawet jego nieudolność na polu bitwy nigdy do końca nie potrafiła zniszczyć.

Na dworze egipskim panowała nieprzyjemna atmosfera. My, Grecy, odnosimy się do życia dworskiego z rezerwą. Zachwycamy się swobodną grą intelektu, a ten umiera w obecności i otoczeniu orientalnej monarchii. Z trudnością znosimy napuszone uroczystości, jakie urządzało na dworze Kleopatry. A mimo to – to jest nasza upokarzająca świadomość – nie śmiemy odrzucić odgrywania naszej roli w wielkiej farsie monarchii.

Aby oddać sprawiedliwość królowej – która sama była z pochodzenia Greczynką – muszę stwierdzić, że zdawała ona sobie sprawę, iż jest to farsa, aczkolwiek uwielbiała grać w niej główną rolę. Nikt nie odgrywał swej roli z większym upodobaniem. A gdy chciała, potrafiła publicznie zachowywać się z niezwykłą godnością, zupełnie inaczej aniżeli w życiu prywatnym. Nosila maskę, a nikt z słuźalczy Egipcjanie traktowali ją jako jej prawdziwą twarz. Wskutek tego nigdy nie otrzymała dobrej rady, albowiem nikt nie odważył się powiedzieć jej nic, czego nie chciałyby usłyszeć.

Gdy mój pan i Kleopatra po raz ostatni przebywali razem, zaprzyjaźniłem się z greckim młodzieńcem, który służył na dworze królowej i należał do jej najbliższego otoczenia. Miał na imię Aleksas. Subtelny chłopiec w dawnym doryckim typie, o jasnych włosach, niebieskich oczach i smukłych nogach. Nawet gdyby zawarcie bliższej znajomości, a nawet przyjaźni, z kimś, kto mógł być wtajemniczony w sekrety królowej, nie wydawało się wskazane, uznałbym go za godnego pożądania. A skoro tak to wyglądało... no cóż. Nie muszę chyba dalej rozwijać tego wątku.

Gdy więc królowa nas zwolniła, a Fontejsz wyruszył do łaźni współczułem każdemu, na kogo tam natrafił! – posłałem niewolnika, aby zawiadomił Aleksasa, gdzie można mnie znaleźć.

Przyszedł w ciągu godziny, chętny i cudowny jak poprzednio. Potem? Odgarnąłem włosy z jego kanciastego czoła i śmietankowych brwi i przez chwilę dotykałem palcami skrzywionych warg.

– Mów – rzekłem.

– Mów?

– Tak.

Zachichotał.

– Myślę, że ją przekonałeś.

– Chciała tego?

– Do pewnego stopnia. Znasz jej charakter. Nigdy nie widziałem czegoś takiego jak wówczas, gdy usłyszała, że Antoniusz ożenił się z Oktawią. Z początku, gdy zjawił się posłaniec i zauważyła, że cały się trzęsie, pomyślała, że Antoniusz nie żyje, i krzyczała, że wiadomość ją zabije.

– Marne szansę.

– Pewnie tak. Ale miłość, wiesz, nieposłuszna stara miłość, robi swoje.

– W pewnym sensie. Być może.

– Ale wtedy posłaniec oświadczył, że Antoniusz żyje, ale nadal jest jeszcze coś do opowiedzenia. On i Cezar – którego nazywasz Oktawianem – są bliższymi przyjaciółmi niż kiedykolwiek. „Dobrze” – powiedziała trochę niezdecydowanie, zagryzając dolną wargę. Wiesz, że tak robi, gdy się zastanawia. „Ale do czego może prowadzić to »ale«? Ma się dobrze, jest w przyjaznych stosunkach z Cezarem, jest wolny, nie jest jeńcem”. „Kimś w rodzaju jeńca – zdradził tajemnicę posłaniec – kimś w rodzaju jeńca, poślubił Oktawie”. Wtedy, mój drogi, po prostu rzuciła się na niego, wydrapałaby człowiekowi oczy, poszarpała jego policzki paznokciami, wykrzykując nieprzyzwoite słowa jak pijana ulicznica, nigdy nie widziałeś czegoś podobnego, chwyciła nóż. „Każę cię wychłostać drutem kolczastym, dusić w occie, nakarmić tobą krokodyle...” – chociaż nigdy nie słyszałem, aby one lubiły marynowane mięso! Mówię ci, musieliśmy ją odciągnąć od nieszczęśnika, inaczej by zginął. Ale to wcale nie był jeszcze koniec tego wszystkiego. Gdy ochłonęła, co, możesz mi wierzyć, zajęło kilka godzin, kazała mi znowu przesłuchać posłańca i wydobyć z niego dokładny opis Oktawii: czy jest piękna, czy jest wyższa od niej, jak brzmi jej głos, a następnie sprowadziła go z powrotem, gdyż nie była zadowolona z mojej relacji. Naturalnie pouczyłem go skrupulatnie, mówiąc mu, aby zapewnił królową, że jej

rywalce zupełnie brak fizycznego uroku – że jest karzełkowata, sepleniąca, ma niezdarne ruchy i, rzekłem, nie zapomnij dodać, że Oktawia jest wdową. Nikt nie może być chyba zazdrosny o wdowę?

– No cóż – odrzekłem – oczerniłeś ją, ale postąpiłeś mądrze. Mój biedny Aleksasie, jak możesz znosić tę okropną kobietę?

Przewrócił się na bok i wpatrywał w sufit. Przez długi czas nic nie mówił. Popołudniową ciszę przerywało jedynie brzęczenie much. Czekałem, pozwalając moim oczom napawać się jego profilem.

– Nie rozumiesz – powiedział wreszcie. – Zapewne nie możesz. Ponieważ nie lubisz jej i obawiasz się zarazem. Zdaję sobie sprawę, że jest straszna. Są takie chwile, gdy nią wręcz pogardzam. A mimo to ją zarazem uwielbiam. Podobnie Charmos i Iras, i wszyscy naokoło niej. Czasami przeklinamy ją, płaczemy, ponieważ nas poniżyła, trzęsiemy się ze strachu, gdy ją rozgniewamy. A mimo to żaden z nas nie opuściłby jej, nawet gdyby to było możliwe. Prawdopodobnie niejeden z nas oddałby za nią swoje życie. Bądź uczciwy, Krytiaszu, czy nie żywisz takiego samego uczucia do Antoniusza?

– Nie – odparłem – nie o to chodzi. Dla nikogo nie zrobiłbym tego. Zamierzam go przeżyć. Oczywiście jestem mu wierny i tak dalej. Ale oddać życie? Na pewno nie. Nie zrobiłbym tego nawet dla ciebie.

– Nie oczekiwałbym tego. W końcu nie są to wcale sprawy wielkiej wagi. Ot, tak jak my. Nieważni ludzie.

– Niewielkiej wagi? – rzekłem, wsunąłem rękę między jego nogi i poczułem, że reaguje.

– Niewielkiej wagi – powtórzył, nie odpychając mojej ręki. – Powiem ci jednak coś innego. Królowa prędzej zabije twojego pana, niż pozwoli mu znowu uciec od siebie.

Oczywiście nie byłem z Aleksasem szczery. Bez względu na to, jaką przyjemność czerpałem z jego towarzystwa, nie mogłem zapomnieć, że jest sługą królowej, tak jak ja byłem sługą mojego pana. Wydawało się w związku z tym użyteczne dać mu do zrozumienia, że moja lojalność jest mniej absolutna, aniżeli była, albowiem wiedziałem, że doniesie o tym Kleopatrze. Dlatego nie byłem zaskoczony, że gdy wezwała mnie na spotkanie następnego dnia, znalazłem ją samą. Całą służbę odesłano. Najwyraźniej chciała nieformalnej i poufnej rozmowy.

Wypytywała mnie znowu o Oktawię i tym razem mówiłem ostrzej aniżeli w czasie oficjalnej

audiencji, czerpiąc naukę z relacji drogiego chłopca (co niewątpliwie było jego celem) o tym, jak pouczył tego nieszczęsnego posłańca. Oczywiście nie posunąłem się tak daleko, aby ubliżyć Oktawii słowami, w jakie zaopatrzył tamtego. Nie chodziło tylko o to, że mówienie o Oktawii w ten sposób obraziłoby moją godność. Szło raczej o to, że Kleopatra w tym rozluźnionym nastroju, odprężona, nie uwierzyłaby mi. Znała w końcu Antoniusza wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że żaden z niego aktor. Skoro bez wątpienia otrzymała wiele sprawozdań o jego pożyciu z Oktawią, wiedziała, że nie jest zdolny do udawania znudzenia albo okazywania zadowolenia, gdy go naprawdę nie odczuwa.

– Nie wątpię, że odnalazł spokój w towarzystwie małej panny Oktawii – powiedziała, popijając wino ze złotego pucharu.

– W porównaniu z Fulwią – odparłem.

– A w porównaniu ze mną?

– Nie może być żadnych takich porównań.

– Nie jestem spokojna. Wiem o tym. – Uśmiechnęła się, zamruczała i aby okazać swój nieskończenie dobry humor, zaprosiła mnie, aby napił się wina. – Nie jestem spokojna – powtórzyła znowu. – Nie życzyłabym sobie tego. Ona musi nudzić Antoniusza, to pewne. Wszystko, co o niej słyszałam, wskazuje, że jest cnotliwa. Odczytuję to posłanie ukryte również za twoimi starannie dobranymi słowami. A cnota tego typu nudzi. Zachwycająca z początku dla Antoniusza, nie mogłaby go utrzymać dłużej. On ma zbyt wielką duszę.

Następnie wypytywała mnie o wojnę, którą mój pan planował przeciwko Partii. Zapewniłem, że nie jestem żadnym żołnierzem i nie rozumiem w ogóle spraw strategii. Pomięła to milczeniem.

– Oktawian odmówił mu oddziałów, których on potrzebuje? rzekła. – To dlatego Antoniusz zwraca się znowu do swojej starej Kleopatry. Dlaczego miałabym pomagać komuś, kto mnie porzucił?

– Wielka królowo – odpowiedziałem – masz zbyt szlachetną i wspaniałomyślną naturę, aby zagrozić wielkiemu przedsięwzięciu tylko dlatego, że czujesz, iż cię zlekceważono albo skrzywdzono. Poza tym...

– Poza tym?

Jej palce szarpały futro czarnego kota, który leżał, mrużąc, na jej kolanach. Jej oczy błyszcząły jak u niego. Wiedziałem, że bez ostrzeżenia może skoczyć niczym kot.

– Nie do takich jak ja należy rozprawianie o wielkiej polityce. Ale powiem jedno. Mój pan wyruszy przeciwko Partii. Zrobi to niezależnie od tego, czy mu pomożesz, czy nie. Jeśli mu nie pomożesz, a on zwycięży, przypomni sobie wówczas, kto okazał się jego przyjacielem, gdy był w potrzebie. Gdy rozpocznie wojnę i przegra, wtedy będzie winił tych, którzy odmówili mu pomocy. Będzie winił Oktawiana i Kleopatę. Musisz zatem rozważyć. Bez oddziałów, o które cię prosi, jego przedsięwzięcie jest ryzykowne, klęska bardziej prawdopodobna, a nawet coś gorszego niż klęska...

Jej ręka przeskoczyła z kota do ust. Kleopatra przyciskała palce do rubinowych warg, wbijając we mnie tajemnicze i badawcze spojrzenie...

– Oktawian – rzekłem – nie ma powodów, aby kochać ciebie albo twojego syna Cezariona. Mój pan stoi między tobą a oburzeniem swego partnera w imperium.

Skoczyła na równe nogi, zrzucając kota z kolan. Stała, wyginając grzbiet w kabłąk i przeciągając ogon.

– Gdy zażądałam od niego Judei, odmówił mi, chociaż jest ona dawną własnością Egiptu, i oddał ją Herodowi, którego nie cierpię.

– Żydzi – powiedziałem – są trudni. Sam Herod jest jednym z nich. On ich rozumie. Tak w każdym razie mówi mój pan. Jego zdaniem, Judea przysporzyłaby ci więcej kłopotów niż korzyści. Ale są inne terytoria. Nie wiem jakie, ale wierzę, że mój szlachetny kolega, jeśli pod jego nieobecność mogę sobie pozwolić tak go nazwać, ma listę ziem, które mój pan ci zaoferuje.

– Twój szlachetny kolega – powtórzyła. – Ziemie. – Splunęła, kierując ślinę dokładnie w wysoki onyksowy dzban. – Jaką drogą wyruszy przeciwko Partii?

– Tego nie wiem. Słyszałem, jak mówił o szaleństwie Marka Krassusa.

– Klucz do Partii leży w Armenii. Jej król Artawasdes nie zasługuje jednak na zaufanie.

– Niewątpliwie sama to powiesz mojemu panu, ale na pewno przekażę mu twoje ostrzeżenia. Jestem zaszczycony zaufaniem, jakie mi okazujesz.

– Zaufaniem? Gdybym zechciała, mogłabym kazać cię biczować, pędzonego przez całą długość wybrzeża Aleksandrii.

Uśmiechnęła się. Wspominam tę chwilę jako straszną, gdyż nie byłem pewien, czy Kleopatra uśmiecha się do obrazu (zdecydowanie dla mnie nieprzyjemnego), jaki ta myśl jej podsunęła, czy też naprawdę wypowiedziała słowa tak lekko, że w ogóle zapomniała, iż chwilę wcześniej wpływały z jej ust w gorące powietrze salonu przesyconego zapachem hiacyntu. Jakby

uchwyciła moją myśl, co doskonale mogła zrobić, albowiem zdolność odczytywania tego, czego jej rozmówcy nie wyrazili w słowach, należała do jej najbardziej niepokojących cech, teraz nachyliła się nad czarą różowych hiacyntów i powąchała kwiaty.

– Wojna z Partią to kiepski pomysł – rzekła i uśmiechnęła się znowu, tym razem jakby zapraszając mnie, abym śmiał się z dowcipu. – Gdybyś zapytał mnie o najważniejszą wskazówkę w sprawie wojen, odpowiedziałabym: „nie atakować Partii”. Czy możemy go powstrzymać?

– Ty być może mogłabyś tego dokonać, wielka królowo, ale tylko wówczas...

– Tylko wówczas?... – Groźne spojrzenie zastąpiło uśmiech.

– Kimże jestem, aby dawać ci rady?

Nie zwróciła na to uwagi. Pamiętam, że Aleksas opowiadał mi, iż ma ona w zwyczaju rzucać pytania, które nie wymagają odpowiedzi, albo uwagi, które nie mają znaczenia; wypowiada je wyłącznie po to, aby zyskać czas na zebranie myśli.

– Świetnie – rzekła w końcu. – Wyślę twojemu panu formalną odpowiedź za pośrednictwem tego idioty Fontejusza. Musi wiedzieć, że jest on idiotą, tak więc zakładam, że oczekuje, iż moja osobista odpowiedź, a nie odpowiedź Egiptu, nadejdzie za twoim pośrednictwem. Nie rozumiem, dlaczego ci ufa. Nie zaufałabym ci bardziej niż Aleksasowi. Jest oczywiście bardzo słodki i oddany mi, jak zapewne ty Antoniuszowi, ale nie powierzyłabym mu tajemnicy. Pederasci zawsze paplą, oto moje doświadczenie. I boją się bólu. Przyglądałam ci się, mówiąc żartem, że zostaniesz wychłostany. Ale jeśli Antoniusz ci ufa, no cóż, zrobię z ciebie użytek. Oto dwa warunki, jakie dodaję do formalnej zgody na sojusz, którą zawiezie Fontejusz. Po pierwsze, Antoniusz musi pozbyć się Oktawii, publicznie, zdecydowanie, ostatecznie. Po drugie, musi się zgodzić poślubić mnie. Myślę, że to wszystko. Przekaż mu, że jeśli nie spełni tych warunków, prędzej jego tyłek zacznie śpiewać, niż wyślę mu jakąkolwiek pomoc.

ROZDZIAŁ 17

Ahenobarbus odradzał mi wiązanie się z królową. Odczuwał właściwy Rzymianom wstręt wobec czegoś, co nazywał wschodnią perfidią.

„Nie twierdzą, że Oktawian nie jest kupą łajna – powtarzał raz po raz – ale to rzymskie łajno. Z nim wiemy przynajmniej, gdzie jesteśmy”.

Nalegał, abym sprowadził z powrotem Oktawie, wznowił moje małżeństwo, wykorzystał ją do naprawienia stosunków z jej bratem.

„Nie potrzebujemy niszczyć Partów – rzekł – wystarczy dać im nauczkę”.

Czy powinienem go posłuchać? Nie mam najmniejszych wątpliwości, że historycy odpowiedzą na to pytanie twierdząco. W długie godziny, gdy ciemność ustępuje świtowi, a ja nie mogę zasnąć, o ile nie pójdę do łóżka zalany – zresztą nawet wtedy często okazuje się, że się budzę, zanim zaczyna świtać, i muszę posyłać po niewolnika, aby mi czytał, żeby odpędzić złe myśli – wtedy żałuję, że odrzuciłem jego radę.

Ale cóż innego mogłem zrobić?

Wiadomość, którą przyniosłeś mi od królowej, obiecywała niezrównaną sławę. Zdawało się czymś mało ważnym ryzykować utratę szacunku w Rzymie, gdy czułem pewność, że przyniosę miastu i ludowi rzymskiemu zwycięstwo i bogactwa tak wielkie, jakich ani sam Cezar, ani Pompejusz nie zdobyli.

Poza obietnicami ze strony królowej miałem dwa dobre powody, aby wierzyć, że moja gwiazda świeci coraz mocniejszym blaskiem.

Po pierwsze, król Armenii Artawasdes stał się moim sojusznikiem na podstawie uroczystego traktatu i zobowiązał się dostarczyć mi około piętnastu tysięcy lekkiej jazdy. Właśnie brak takich oddziałów, dorównujących Partom ruchliwością, zgubił Krassusa, i wedle jego własnych słów, nawet sławne zwycięstwo Wentidiusza uczynił mniej pełnym, aniżeli byśmy sobie życzyli.

Po drugie, gdy oczekiwałem na Kleopatę w Damaszku, przybył do mnie arystokrata partyjski imieniem Moneses, wygnany przez Fraatesa, tchórzliwego władcę imperium. Moneses, mąż rzadkiej godności i niegdyś władzy, arystokrata, którego włości rozciągały się dalej, niż jeździec mógł przebyć w ciągu całodniowej forsownej jazdy, zapewniał mnie, że gorzka waśń rozdziera Partię, a inwazja stanie się sygnałem do ogólnego powstania niezadowolonych

przeciwko Fraatesowi. Moneses w swoim nieszczęściu przypominał ateńskiego bohatera Temistoklesa i zrobił na mnie wrażenie swoją szczerą i otwartą postawą. Albowiem ostrzegł mnie również, że nie powinienem przyjmować jego relacji bez potwierdzenia:

„Jestem – oświadczył – ofiarą tyranii Fraatesa. Szukam zemsty. Mój pogląd jest stronniczy. Dlatego szukaj potwierdzenia gdzie indziej, że to, co mówię, jest prawdą, a nie mrzonkami owładniętego chęcią zemsty wygnańca”.

Wynagrodziłem go namiestnictwem trzech miast – Larisy, Aretuzy i Hierampolis.

Przybyła Kleopatra, a nasze ponowne spotkanie było serdeczne, mimo że w zaciszu komnaty czyniła mi wyrzuty z powodu czegoś, co określiła mianem niewierności. Jak obiecałem, przyznałem jej pewne prowincje starej Fenicji, a także Cypr i część Arabii Nabatejskiej.

Przebrnęliśmy także ceremonię małżeństwa. To miało wywołać dyskusję i wrogość w Rzymie, podsycaną tam przez przyjaciół Oktawiana, którzy źle mi życzyli. Świadomie źle zrozumieli charakter naszego związku. Oczywiście doskonale wiedziałem, że pozostaje on w sprzeczności z prawem rzymskim i że moją żoną, według niego, pozostała Oktawia – nie miałem zamiaru jej obrazić, wykorzystując swoje prawo do rozwodu, jak Oktawian, który pozbył się swej pierwszej i drugiej żony.

Ale na Wschodzie sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Nie budzi tam niczyjego sprzeciwu fakt, że ktoś wielki ma więcej żon albo żony z różnych stanów. Poza tym, jak wtedy oświadczyłem, wielkość Rzymu przejawia się bardziej w dawaniu niż w otrzymywaniu królestw. Jest rzeczą właściwą dla osób wysokiego rodu i stanowiska rozszerzać i zabezpieczać swój ród, pozostawiając książąt i spadkobierców urodzonych z różnych królowych. Mój przodek Herakles, jak dobrze wiadomo, nie zaufał płodności jednej kobiety albo losowi, że ocali jego ród, lecz rozdzielał swe łaski szeroko. Dlaczego ja nie miałbym postępować podobnie?

Oczekiwałem, że moi rodacy Rzymianie zrozumieją, iż te uczucia były, by tak rzec, retoryczną ozdobą, a nawet, że będzie ich to bawić.

Krytykę wywołała także moja decyzja, aby uczcić bliźnięta, które Kleopatra urodziła mi cztery lata wcześniej, imionami słońca i księżyca. Sprzeciw był niedorzeczny. Powinno być oczywiste, że postąpiłem tak tylko po to, aby sprawić przyjemność i schlebić królowej.

W każdym razie byłem zbyt zajęty, aby zwracać uwagę na śmieszne przewrażliwienie tych spośród moich rodaków, których horyzonty nie sięgały poza Wzgórza Albańskie, okalające wschodni skraj miasta. Bez reszty pochłaniała mnie praca. Doświadczyłem jednej z największych

przyjemności, jakich mężczyzna może zaznać. Mam na myśli oczywiście rozkazywanie i gromadzenie potężnej armii.

Chociaż brakowało mi dwudziestu tysięcy legionistów przyobiecanych przez Oktawiana, mimo wszystko dowodziłem szesnastoma legionami, z których co najmniej połowa składała się z weteranów. Sześć ściągnięto z Kaukazu, gdzie mój doświadczony dowódca Publiusz Kanidiusz Krassus, najbardziej zaufany z przyjaciół, wytyczył północną granicę imperium. Miałem do dyspozycji dziesięć tysięcy ciężkiej jazdy z Hiszpanii i Galii. Siły naszych oddziałów posiłkowych sięgały natomiast około trzydziestu tysięcy żołnierzy, z których najcenniejsza była jazda armeńska.

„Nigdy – rzekł Ahenobarbus – w dziejach imperium nie zebrano tak wspaniałej armii”.

„Ale wyruszamy przeciwko niewłaściwemu wrogowi” – dodał Kanidiusz.

„Co masz na myśli?”.

„Wódz wie, o czym mówię”.

Oczywiście wiedziałem, ale nic nie powiedziałem. Teraz brzmi to wręcz ironicznie. Całymi miesiącami Kanidiusz słał gwałtowne listy, dowodząc, że Partia może poczekać, że moim prawdziwym wrogiem jest Oktawian, że stoję naprzeciwko niego jak Pompejusz naprzeciwko Cezara – albo jeśli wolę, Cezar naprzeciwko Pompejusza. Że jak Sulla, powinienem wykorzystać potęgę i bogactwa Azji dla zabezpieczenia swojego prymatu w Rzymie. Że jedynie wtedy, dysponując całymi zasobami imperium i nie mając „żadnego wroga na swych tyłach”, będę mógł bezpiecznie zwrócić się przeciwko Partii.

Nie zgodziłem się na to.

Kanidiusz nie był odosobniony. Mój pasierb Skryboniusz Kurion, młodzieniec, który bardziej przypominał charakterem swego ojca, przyjaciela mojego dzieciństwa i czasu dorastania, niż swą matkę, nieznośną Fulwię, dał mi identyczną radę.

„Zapominasz – powtarzał – że znam Oktawiana od bardzo dawna, i to w szczególnie zażyły sposób. Chodziliśmy razem do szkoły i dzięki temu dobrze poznałem jego charakter. Wiem doskonale, dlaczego go lubisz. Odznacza się wielkim urokiem i wielką inteligencją. Ale zapewniam cię, że nie zasługuje na zaufanie. Szczerze mówiąc, nie zaufałbym mu nawet w najdrobniejszej sprawie. Pamiętam, jak kiedyś nauczyciel skrytykował grekę Oktawiana. Mieliśmy wówczas po jakieś dwanaście lat. Nawet wtedy Oktawian był równie zarozumiały, jak próżny, i zupełnie niezdolny do przyjęcia jakiegokolwiek krytyki. Co zatem zrobił? Poskarżył się

na nauczyciela i rzekł, że przystawiał się do niego, dotykał go, a nawet starał się go uwieść, nie pamiętam szczegółów. Nauczyciel został oczywiście zwolniony, postawiony przed sądem, skazany na chłostę – wymierzono mu tyle razów, że biedny człowiek o mało nie umarł – i wypędzony z Rzymu. Nie wiem, co się w końcu z nim stało. A był naprawdę dobrym nauczycielem i miał zupełną rację w swojej ocenie greki Oktawiana. Co więcej, nie było słowa prawdy w oskarżeniu małej bestii. Jak większość nauczycieli, podkochiwał się w niektórych ze swych uczniów albo przynajmniej czuł sympatię do nich. Jak wiesz, często się tak dzieje z najlepszymi nauczycielami. Był jednak zbyt bojaźliwy, aby zaspokoić swe pragnienia. Wiem o tym, jako że właśnie mnie, a nie Oktawiana, kochał bez pamięci, i zapewniam cię, że poza delikatnym dotknięciem mojej nogi nigdy nie posunął się dalej. Ale nikt mnie nie słuchał, ponieważ mały Oktawian był tak czarujący i przekonywający. Mogłem jedynie mocno nastraszyć małą bestię następnego razu, gdy ćwiczyliśmy zapasy. Ależ wył z bólu! Sam więc rozumiesz, dlaczego uważam, że postępujesz niewłaściwie, ufając mu. Ludzie się nie zmieniają. Jedynie udają”.

„Są znani z tego” – odparłem tak lodowato, jak potrafiłem.

Kurion był kochanym chłopcem, jest nim nadal w istocie, ale jego słowa uznałem za irytujące. Przyszło mi do głowy, że zawsze był zazdrosny o Oktawiana. Nic dziwnego, powiecie pewnie...

Jeśli mogę wykorzystać chwilę, gdy on wyrusza w marzenia o Partii, niech mi wolno będzie stwierdzić, że nie powiedziałbym nic takiego. Ale wtedy zawsze uważałem Kuriona za szalenie atrakcyjnego. On, z drugiej strony, miał bzika na punkcie dziewcząt. Mój pan zapomniał o tym, że gdy przy jakiejś następnej okazji Kurion opowiadał tę samą historię – zapominając albo po prostu nie przejmując się tym, że ja też tam byłem i wszystko słyszałem – i mój pan znowu stwierdził, że jak wiadomo, ludzie się zmieniają, Kurion kręcił głową i rzekł: „Nie, jedynie stają się bardziej sobą”. Gdy wypowiadał te słowa i patrzył na mojego pana, który miał przekrwione oczy i trząsł się, albowiem było rano i nie doszedł jeszcze do siebie po szaleństwach poprzedniej nocy, tak że, jak to jakże często widziałem, musiał użyć obydwu rąk, aby utrzymać pierwszy w tym dniu puchar wina i donieść go do swych warg, spojrzenie najgłębszej i wzruszającej litości zmiękczyło twarz Kuriona, przepełnioną gniewem, gdy mówił o Oktawianie. Zbliżył się do mojego pana, otoczył go ramieniem i uściśnął, a on pozostawał tak przez długą chwilę, niczym

małe dziecko w ramionach kochającego ojca.

Jakże dobrze się składa, że mój pan nie chce ponownie czytać tego, co napisałem. Nie spodobałoby mu się, gdyby przeczytał, że był przedmiotem współczucia swego pasierba.

Ogarnęło mnie oszołomienie. Nie, nie miałem na to czasu. Krytiaszu, powstrzymaj mnie, jeśli moje myśli znowu odbiegają od tematu.

O czym to ja mówiłem? O Partii? No właśnie...

Pod Zeugmą nad Eufratem rozstałem się z Kleopatram, która na mój rozkaz wróciła do Egiptu. Rozpuszczono później pogłoski, że opóźniłem rozpoczęcie kampanii z powodu przyjemności, jakich zaznawałem z królową. Niedorzeczny zarzut. Nie doszło do żadnej zwłoki. Osoby, które go rozpowszechniały, kierowały się złośliwością albo nie miały pojęcia o ogromie zadań poprzedzających wymarsz wielkiej armii. Na brzegach Eufratu przemówiłem do moich żołnierzy.

„Żołnierze! Uczestniczymy w największym przedsięwzięciu, jakie kiedykolwiek podjęła rzymska armia. Nigdy w długiej historii Rzymu nie wyruszyliśmy przeciwko imperium tak potężnemu, jak to, przed którym stoimy dzisiaj. Niektórzy wodzowie próbowaliby ukryć ogrom zadania przed swoimi oddziałami. Nie jestem tego typu wodzem, a wy nie jesteście takimi żołnierzami, którzy nie byliby w stanie stawić czoła prawdzie. Stoją przed nami wielkie niebezpieczeństwa. Będziemy cierpieć niewygody. Dojdzie do zawziętych bitew. Część z nas, w istocie wielu z nas, nie wróci, nigdy znowu nie zobaczy Italii.

Dlaczego miałbym to ukrywać przed wami?

Jesteście odważnymi ludźmi, którzy potrafią spojrzeć prawdzie w oczy.

Znajduje się wśród was wielu weteranów. Walczyliście u mego boku w wielkich bitwach. Zwyciężaliśmy wtedy i zwyciężymy teraz.

Są wśród was młodzi, niedoświadczeni rekruci. Wkrótce zaznacie tego, co sobie dotąd tylko wyobrażaliście. Wierzę w was. Jestem przeświadczony, że zachowacie się w sposób godny waszych sławnych ojców i dalszych przodków.

Otrzymacie wielkie nagrody. Bogate łupy i jeszcze większą nagrodę, jaką da wam świadomość, że zasługujecie na szacunek. Przyszłe pokolenia będą wspominać nasze czyny i zastanawiać się, kim byli ludzie zdolni do takiej odwagi i wytrzymałości”.

Następnie dokonałem przeglądu oddziałów. Posiawiałem weteranom przypominałem bitwy, w których walczyliśmy ramię w ramię: ten człowiek służył w Galii, tamten pod Filippi, następny

pod Farsalos. Wszyscy pragnęli podzielić się ze mną swoimi wspomnieniami. Do młodych rekrutów mówiłem w inny sposób, pytając, czy ich centurionowie właściwie się nimi zajmują, czy oni sami są opłacani w wyznaczonych terminach, czy potrzebują czegokolwiek. Wyraziłem nawet chęć obejrzenia ich plecaków.

Zatrzymywałem się w środku każdego legionu i wypytywałem legatów, kto najbardziej zasługuje na awans. Wymienionym przez nich żołnierzom kazałem występować z szeregu i od razu ich awansowałem w obecności kolegów. Czyniłem tak, aby wszyscy wiedzieli, że wśród moich trosk o pomyślność i bezpieczeństwo imperium, nawet gdy mój umysł zajmują problemy wielkiej strategii, nadal zaprzęgam sobie głowę szczegółami życia moich żołnierzy. Pokazałem im, że są moją pierwszą, moją najstarszą, moją prawdziwą rodziną. W ten sposób wpajałem w nich miłość do wojny, sławy i do mnie samego.

Posunęliśmy się do rzeki. Jazda już się przez nią przeprawiła i ustawiła się na drugim brzegu, strzegąc przed nagłym atakiem nieprzyjaciela, chociaż zwiadowcy donieśli, że zaledwie nieliczne oddziały jazdy znajdują się w pobliżu. Następnie inżynierowie przystąpili do budowy i uruchomienia mostów z łodzi, po których legiony mogłyby przejść do Mezopotamii. Przeprawa rozpoczęła się dopiero przed świtem.

Nocny chłód utrudniał sen. Ciemność nigdy nie była milcząca. Ja sam chodziłem po obozie, dodając odwagi strażom i młodym żołnierzom, którym podniecenie nie pozwalało zasnąć. Wszyscy zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z czekających nas następnego dnia niebezpieczeństw. Uczucie powagi mieszało się z oczekiwaniem dnia chwały. Oficerowie donieśli mi, że ludzie powtarzają sobie szeptem najważniejsze ustępy mego przemówienia i że wizja zwycięstwa rozpała wyobraźnię wszystkich. Wyruszyliśmy z pierwszymi promieniami słońca.

Przez trzy tygodnie maszerowaliśmy przez północny skraj pustyni, wkraczając następnie na wyżyny Armenii. Drogi okazały się gorsze, niż zapowiadano. W szczególności, ku mojej rozpaczy, tabory, które ciągnęły maszyny oblężnicze, nie mogły nadążyć za główną częścią armii. Musiałem odłączyć dwa legiony pod dowództwem Opiusza Stacjanusa dla ochrony taborów, które poszły dłuższą drogą dalej na północ. Napływały niepokojące doniesienia, że Artawasdes zwleka z dostarczeniem obiecanego zaopatrzenia.

Mimo to do połowy lata przebyliśmy pięćset mil i dotarliśmy do pierwszego naszego celu, Fraaspy, stolicy Medii Atropatene, wasalnego państwa Partii. Artawasdes i Moneses zapewnili

mnie, że miasto nie jest silnie umocnione i nie będzie miało innego wyjścia jak skapitulować. Okazało się, że jest inaczej. Fraasę zbudowano na wzgórzu i otoczono potężnymi murami. Gdybyśmy mieli ze sobą tarany, bez wątpienia szybko byśmy się z nimi uporali. Ale maszyny oblężnicze ciągle nie nadchodziły. Ahenobarbus, jeszcze bardziej ostrożny niż śmiały, radził odwrót. Zgadzał się z nim Kanidiusz. Ale byłoby śmieszne rezygnować, napotkawszy pierwszą przeszkodę. I dlatego nakazałem rozpoczęcie prac ziemnych. Sypano wały. Gotowaliśmy się do długiego oblężenia. W okolicy brakowało drewna, co uniemożliwiało budowę nowych taranów.

Nasza sytuacja wkrótce zaczęła przypominać tę, w jakiej znalazł się Cezar pod Alezją w czasie wojny galijskiej z Wercyngetoryksem. Z oblegających staliśmy się obleganymi, albowiem Fraates, czy też raczej jego wodzowie, sprowadził potężną armię partyjską i otoczył nasz obóz. Następnie gruchnęła wieść, że jazda partyjską odcięła Stacjanusa i tabory oraz zniszczyła jego legiony. Stanowiło to pierwszy znak wiarołomstwa Artawasdesa, który kolaborował z Partami. Gdyby pozostał lojalny, ich atak zostałby odparty, a posiłki dotarłyby na czas.

Niebezpieczeństwo zawsze wyzwalalo we mnie nowe siły i z radością stwierdziłem, że żołnierze tak bardzo we mnie wierzą, że nie ogarnęło ich wcale przerażenie pod wpływem czegoś, co gorsza armia odebrałaby jako nieszczęście. Nie przestali prowadzić oblężenia z energią i determinacją. Ale zrozumiałem zarazem, że nasza sytuacja staje się groźna. Nie wchodziło w grę uzyskanie pomocy, na jaką wcześniej liczyłem. Istniało też realne zagrożenie, że wkrótce czeka nas głód, gdyż zapasy, które zabraliśmy ze sobą, były prawie na wyczerpaniu.

Postanowiłem więc zmusić nieprzyjaciela do bitwy, w nadziei, że jeśli odpędzimy oblegającą armię, miasto się podda, albo, jeśli nawet tego nie zrobi, będziemy mogli bezpiecznie wyprawiać się po żywność.

I tak oto na czele dziesięciu legionów, trzech ciężko uzbrojonych kohort pretorianów i dziesięciu oddziałów jazdy hiszpańskiej, zwinąłem obóz i ruszyłem na urodzajne niziny, gdzie plony był już zmagazynowane w spichlerzach. Przez półtora dnia armia partyjską śledziła nasze ruchy, ale nie zdradzała ochoty do bitwy. Zdawało się, że czeka na okazję, aby uderzyć na nas w trakcie marszu.

W celu zwabienia Partów, wydałem rozkaz zwinięcia naszych namiotów, aby myśleli, że zamierzamy się wycofać. Podeszli bliżej, a ich dowódca ustawił swą armię w szyku półksiężyca. Przez godzinę maszerowaliśmy obok siebie. Krzątania partyjskich oddziałów zaczęły

wyrażała ich niepewność. Wtedy rozkazałem jeździe zawrócić i uderzyć na przeciwnika. Szarża zaskoczyła żołnierzy tak bardzo, że nie byli w stanie wykorzystać swych łuków, wyjąwszy moment bezpośrednio poprzedzający starcie. Legioniści także wykonali zwrot, atakując nieprzyjaciela na obu skrzydłach. Przez chwilę miałem nadzieję na jakże nam potrzebne rozstrzygające zwycięstwo. I osiągnęlibyśmy je, gdyby naszym przeciwnikiem były oddziały rzymskie albo nawet galijskie, przywykłe trwać na stanowisku i walczyć. Ale nie jest to partyjski sposób wojowania.

My, Rzymianie, jesteśmy przyzwyczajeni do wojen złożonych z bitew. Pragniemy zetrzeć się z nieprzyjacielem w otwartym polu, w porządku szeregu albo falangi, i walczyć wręcz, aż jedna z armii ustąpi. W ten sposób walczą cywilizowane ludy, jak tego dowodzą dzieje greckich państw i wojny Aleksandra, a także nasze własne. Ale Partowie tak nie walczą. Unikają decydującej bitwy. Ilekroć w czasie tej kampanii śmiało ruszyliśmy do boju, nigdy nie stawiali oporu, nawet gdy przewyższali nas liczebnie trzy – albo nawet czterokrotnie. Ich styl walki polegał na zbliżaniu się do nieprzyjaciela na odległość wzroku, a następnie prowokowaniu go do działania przez zaczepki i obelgi i przez zarzucanie żołnierzy deszczem strzał. Ale gdy armia rusza do walki, Part ucieka. Nie rozumieli prawdziwej wojny. Nie rozumieli rzymskich cnót absolutnego posłuszeństwa, męskiej odwagi, poświęcenia, honoru. Inaczej mówiąc, wszystkiego tego, co my rozumiemy przez słowo „cnota”. Na odwrót, nie widzą nic haniebnego w tchórzostwie, ucieczce i korzyści własnej, która każe człowiekowi cenić swe własne życie bardziej niż zwycięstwo.

Gdy więc ruszyliśmy do ataku, cała armia partyjska nagle zmieniła front i rzuciła się do ucieczki. Ścigaliśmy Partów co najmniej dwanaście mil i chociaż zabiliśmy wielu i wzięliśmy pewną liczbę jeńców, nie potrafiliśmy uzyskać upragnionego, a zarazem koniecznego zwycięstwa. Wyznaję, że byłem zawiedziony.

Tworzyliśmy prawdziwą armię, przepełnioną prawdziwym duchem bojowym, zdolną zachować zwartość w czasie najsroźszego ataku, głuchą na próżne obawy, posłuszną dowództwu, zahartowaną przez ćwiczenie w niedostatku i trudzie. Armia, którą poprowadziłem przeciwko Partii, była równie wierna i waleczna, jak potężne wojsko, jakie poznałem, gdy wraz z Cezarem uczestniczyłem w podboju Galii. Była równie wspaniała jak ta, z którą zwyciężyłem pod Filippi. Żadna cywilizowana armia nie mogła jej dorównać. A mimo to po kilku tygodniach marszu poza granice imperium byliśmy bezradni, gdyż przeciwnik nie chciał walczyć, lecz ulatniał się przed

naszymi najwaleczniejszymi i najbardziej straszliwymi atakami. To niedorzeczne, że odważni ludzie, tworzący budzącą postrach i zdyscyplinowaną armię, mogą doznać niepowodzenia za sprawą tchórzy, ale tak właśnie to wówczas wyglądało. Pytanie, czy Rzym może kiedykolwiek ujarzmić Partię, pozostaje bez odpowiedzi. Zarazem obawiam się prawdziwej odpowiedzi na to pytanie.

Z nadejściem zimy zagrożenie wzrosło. Strach przed głodem najsilniej oddziałuje na żołnierzy. Dlatego wysłałem posłów do władcy partyjskiego, zgłaszając gotowość wycofania się, jeśli zwróci nam sztandary i jeńców wziętych pod Carrhae. Mógłbym dzięki temu pokazać, że wojna nie była daremna, a dobre imię Rzymu zostało przywrócone. Ale odpowiedź nie nadchodziła. Zdawało mi się, że nie miałem innego wyjścia niż spróbować raz jeszcze zmusić armię partyjską do bitwy. Mój zapał wziął górę nad realną oceną sytuacji. Zarówno Ahenobarbus, jak i Kanidiusz, dowódcy, na których najbardziej polegałem, wysuwali argumenty przeciwko desperackiemu, ich zdaniem, posunięciu.

„Zbyt wiele jest przeciwko nam – rzekł Ahenobarbus. – Pora roku, brak żywności, charakter kraju, jałowego i wyludnionego, a jakby tego było mało, także charakter przeciwnika, który na pewno wycofa się, odciągając nas jeszcze bardziej od naszej bazy...”

„I doprowadzając w końcu do klęski” – dodał Kanidiusz.

Dowodziłem, że groźba bitwy może tak bardzo przestraszyć władcę partyjskiego, iż ulegnie przynajmniej najbardziej skromnym naszym żądaniom, na co Ahenobarbus powiedział:

„Jak długo ziemie partyjskie są okupowane, Fraates nie przyjmie jakichkolwiek propozycji. Jest doskonale świadom przewag, jakie daje mu pora roku”.

Mój pasierb Skryboniusz powiedział wtedy głośno:

„Obawiam się, że masz rację. Mimo to próba dogadania się z władcą partyjskim nadal jest warta zachodu. Przynajmniej ocali nasz honor. Jeśli wycofamy się, nie odzyskawszy sztandarów i naszych nieszczęsnych rodaków, którzy żyją w niewoli od tak wielu lat, wówczas Oktawian, który jest zazdrosny o sławę Antoniusza, będzie mógł przedstawić naszą kampanię jako wielką klęskę, chociaż wiemy, że dokonaliśmy rzeczy, o jakie nigdy nie kusiła się ani jakich nigdy nie dokonała rzymska armia, posuwając się dalej na Wschód, niż Rzymianie posunęli się kiedykolwiek wcześniej, i rywalizując z Aleksandrem w śmiałości naszego przedsięwzięcia. Dlatego jestem gotów zgłosić się na ochotnika, aby wziąć udział w poselstwie do Fraatesa. Negocjacje zajmą nam najwyżej kilka dni, a mogą się zakończyć pomyślnie”.

I na tym stanęło.

ROZDZIAŁ 18

Skryboniusz wyruszył na negocjacje z władcą partyjskim. Nikt poza moim panem nie liczył na powodzenie jego misji. W armii panowała atmosfera nerwowości i zniecierpliwienia.

Perspektywa wycofania się przerażała, ale wszyscy woleli raczej być w ruchu, aniżeli czekać pod Fraaspą, w miejscu, do którego zaczęli się odnosić z nienawiścią.

W środku dnia nadal było gorąco. Stada kruków pojawiły się na niebie ponad naszym obozem. Żołnierzy ogarnęła trwoga. Uznali ptaki za złowieszcze. Za takie zresztą się je powszechnie uważa.

Często słyszałem, jak mój pan szepcze:

– Chcę pokoju! Ale muszę ocalić swój honor!

W ciągu dnia krążył po obozie, przekonując ludzi, aby nie poddawali się rozpacz, mówiąc im o sławie i zwycięstwie. A ponieważ był Antoniuszem, nadal gotowi mu byli wierzyć – gdy znajdował się wśród nich. Gdy jednak odchodził, znowu zaczynały się szept. Rozmawiali o ukochanych osobach, których nigdy nie mieli zobaczyć.

Pustynia rozciągała się bezlitośnie naokoło nas jak pustka milczenia. Ludzie mówili, że tu umrą. Ciężkie kroki warty wędrującej przez ten ogromny grób, który zdawał się obejmować obóz, ledwie potrafiły zbudzić mojego pana z zadumy, w jakiej się pogrążył, gdy tylko zapadał zimny i ciężki zmierzch. Jakie okrutne wspomnienia przychodziły mu do głowy, gdy siedział samotny, pochłaniając puchary wina, które nie mogło go teraz odurzyć, bałem się nawet pomyśleć. Chodziłem cicho, nie chcąc, aby wdał się ze mną w rozmowę. Ale przez większość czasu wołał milczenie.

Teraz wydaje mi się, że wiem, jaką myśl rozważał w swym udręczonym umyśle. Świadom władzy, którą zdobył swymi wielkimi czynami, co zyskały mu aurę niezwyciężoności, lękał się rany, jaką wieść o klęsce by mu zadała. W przeszłości przy każdym spotkaniu z Oktawianem przeciwstawiał swą wojskową sławę zimnej i bezczelnej pewności siebie chłopca. Czy obawiał się wtedy, że zostanie okradziony z prestiżu, jaki przynosi zwycięstwo, że okaże się gorszy od Oktawiana?

Czasami mówił, a słów, jakie wypowiadał, nie mógłbym powtórzyć jego wodzom. Zapewne były one rodzajem monologu; Antoniusz tak był przyzwyczajony do mojej obecności, że często

nie był jej w ogóle świadom.

– Pierwszy krok odwrotu – powiedział pewnego razu – rozpocznie tygodnie codziennych bitew, gdy nieprzyjaciół będzie nas szarpał jak stado wilków. Właśnie dlatego pozostaję beczynny, co jest decyzją, jeśli jest to decyzja, o którą niesłusznie mnie obwiniacie. Oczywiście, z wojskowego punktu widzenia nasz pobyt tutaj stracił obecnie sens. Nie myśl – i wtedy popatrzył na mnie, jakby mnie właśnie dostrzegł, a ja nie mogłem już dłużej unikać jego zmęczonego, przekrwionego spojrzenia – nie myśl, mój drogi Krytiaszu, że tego nie rozumiem. Z politycznego punktu widzenia jednak nasza obecność tutaj nadal ma pewną wartość. Jestem nie tylko dowódcą armii, jestem także imperatorem, a dla rzymskiego imperatora usadowienie się głęboko na terenie imperium naszych wrogów nie jest niczym. Z punktu widzenia interesów państwa odwrót jest niemal zawsze fatalny. Wyciągnąłem taką naukę z błędów Pompejusza. Nigdy nie wolno przyznać się do błędu, ponieważ wtedy cały świat weźmie cię za słowo, a konsekwencje tego będą straszne. Przyznać się do omyłki oznacza skazanie się na pogardę. Reputacja to nie wszystko, ale reputacja jest warta sześciu legionów. Słyszałem, jak Cezar to mówił. Gdy robi się błąd, należy trwać przy swoim, a potem się to wyprostuje.

Tak więc trwał przy swoim, chwytając się złudnych nadziei tym bardziej skwapliwie, że wiedział wtedy, iż Artawasdes zawiódł go i że odwrót przez Armenię (z którego nieuchronności zdawał sobie sprawę w trzech chwilach) byłby bardziej niebezpieczny, ponieważ on nie mógł szukać pomocy u króla, co oznaczało, że Armeńczycy utrudnialiby jego przemarsz, a nawet wspólnie z Partami nękałoby flanki armii.

Gdy Skryboniusz ciągle nie wracał, a Antoniusz zaczął się również obawiać o jego bezpieczeństwo, widziałem, że jego rozpacz z każdym dniem staje się bardziej gorzka. Nie ulegało wątpliwości, że Fraates uprawia okrutną grę, zwlekając z odpowiedzią. Jednocześnie mój pan czuł, że nie może wyruszyć, dopóki nie dowie się najgorszego, a jego nadzieje raz rosły, raz gasły – wcale nie zgodnie z poziomem wina w bukłaku, ale wedle załamania umysłu i ducha.

– Dlaczego – zapytał Ahenobarbus – nasz wódz przyjmuje najbardziej niebezpieczną ze wszystkich taktykę, to znaczy czeka na odpowiedź? Jestem zdumiony, że tak całkowicie utracił swą zdolność podejmowania szybkich decyzji. Wystawia to na szwank nerwy i morale żołnierzy.

W tym jednak Ahenobarbus zapewne się mylił. A to dlatego, że żołnierze oczekiwali od mojego pana zwycięstwa, gdyż znali jego odwagę, umiejętność wychodzenia z trudnych sytuacji i wierzyli w jego geniusz. Wielu nadal myślało, że przygotowuje jakiś plan. Sądziło tak zwłaszcza

młodszy oficerowie, którzy widzieli go jedynie rano, gdy robił wszystko, aby dziarsko wyglądać.

Starzy żołnierze także szeptali:

– Przebiegły z niego łajdus... chytry gość...

I rzeczywiście trudno było nie podziwiać odważnej miny, jaką przybierał, gdy przemawiał do żołnierzy, a także umiejętności żartowania oraz udawania optymizmu i pewności siebie. Niewielu poza mną wiedziało, jak wiele go to kosztuje, czy widziało głębokie cienie, jakie omraczały jego twarz, gdy zniknął z widoku publicznego.

Zauważyłem, jak przeciąga posiłki, jakby przez zażywanie przyjemności stołu – nawet jeśli nie był on bogato zastawiony – mógł zapomnieć o swych troskach. Potem posępny i ociężały, jedynie z winem, które przynosiło mu pociechę, siadywał godzinami, jakby jego zdolności umysłowe doznały paralizującego ciosu, podczas wyczekiwania na koniec tej straszliwej przygody. Przyglądając się temu upartemu bohaterowi, gdy zmagął się w swoim skołatanym umyśle z niemożliwymi żądaniami, jakie nasza sytuacja na niego nakładała, pomyślałem sobie, że tutaj, kilka miesięcy po tym, jak osiągnął szczyt sławy, cierpi z powodu przecucia, że pierwszy krok do tyłu oznaczałby początek jego końca. I z tego powodu trzyma się szczytu i złudzenia, że zachowuje możliwość wyboru. Został schwyty w pułapkę samooszukiwania się, a ja kochałem go zbyt głęboko, aby rozwiać złudzenia i zmusić go, aby stawiał czoło rzeczywistości...

ROZDZIAŁ 19

– Misja Skryboniusza Kuriona zakończyła się klęską. Fraates był nieubłagany. Jednocześnie złożył obietnicę, która miała się okazać zwykłym oszustwem. Przyrzekł, że pozwoli mnie i mojemu wojsku wycofać się bez przeszkód. Nie mogłem uwierzyć w jego szczerość. Jednak wieść, która obiegła obóz, poprawiła nastroje żołnierzy, którzy wierzyli, że marsz powrotny będzie łatwy i wolny od niebezpieczeństw. Wielu z tego powodu zmniejszyło swą czujność. Inni obławowali się łupami. Przez chwilę zdawało się, że dowodzę raczej karawaną aniżeli armią. Jednakże wkrótce podjęto środki zmierzające do przywrócenia dyscypliny i wycofaliśmy się spod Fraaspy. Gdy dotarliśmy na szczyt wzgórza, za którym miasto miało się wkrótce skryć, ściągnąłem konia i obejrzałem się za siebie. Nasz opuszczony obóz stał w płomieniach, a miasto za nim połyskiwało w różowym blasku południa. Ptaki drapieżne krążyły nad opuszczonym obozem, a następnie, ciężko trzepocząc skrzydłami, zawróciły i podążyły za nami.

Przez dwa dni podróżowaliśmy bez incydentów, a centurionom udało się zmusić maruderów, aby pozostawali w kontakcie z główną częścią armii. Uniesienie towarzyszące naszemu wymarszowi zniknęło całkowicie. Ludzie szli ze spuszczoneymi głowami, a pieśni, jakie śpiewali, nie były już grubiańskimi balladami o szczęśliwszych czasach, ale lamentami za dziewczynami, które zostawili, i domami, których nigdy nie mieli zobaczyć ponownie.

Trzeciego dnia, wspinając się na następne wzgórze, poniżej którego rozciągała się dolina rzeki, zauważyłem, że jej brzegi są przerwane i chociaż nie padał ulewny deszcz, wody zalały drogę, którą mieliśmy maszerować. Stanowiło to pierwszy dowód na to, że Partowie wcale nie zamierzali dotrzymać słowa i pozwolić nam na bezpieczny odwrót. Z tego powodu wydałem oficerom rozkaz, aby flanki i tył były stale gotowe do bitwy. Od tej pory armia maszerowała w szyku czworoboku. Wprawdzie spowolniło to naszą podróż i zwiększyło problemy żywnościowe, okazało się jednak skutecznym zabezpieczeniem przed niespodziewanym atakiem. Przez cztery dni staczaliśmy ciągle potyczki z jazdą partyjską, zadając jej straty i kontynuując marsz na zachód. Nastroje żołnierzy podniosło zarówno samo działanie, jak i podjęte przeze mnie środki ostrożności.

Wtedy jeden z moich oficerów, Flawiusz Gallus, odznaczający się większą odwagą niż rozumem, przekroczył rozkazy. Zgodnie z nimi, żołnierze mieli odpierać wszystkie ataki, ale nie

wolno im było złamać szyku w pościgu za nieprzyjacielem. Gallus jednak kierując się, jak przypuszczam, przekonaniem, że tak bardzo osłabił przeciwnika, iż odparcie ataku stworzyło nową dogodną okazję, odłączył się od głównych sił armii. Dotarła do nas wieść, że został otoczony. Kanidiusz dowodzący strażą tylną, albo dlatego, że nie został ostrzeżony w pełni o niebezpieczeństwie, albo dlatego, że nie doceniał powagi sytuacji, wysłał jedynie mały oddział na pomoc. I ten także został otoczony. Gdy dowiedziałem się o tym, zawróciłem mego konia na tyły i sam przejąłem dowództwo. Na czele trzeciego legionu uderzyłem na armię, która znajdowała się między nami a otoczonymi rzymskimi jednostkami; natarliśmy z tak wielkim impetem, że udało się nam przedrzeć i uwolnić naszych przyjaciół. Partowie w zwykły dla siebie sposób rozproszyli się, zrozumiawszy, że zupełnie stracili swą wcześniejszą przewagę. Nigdy w całej kampanii nie okazali się zdolni do odparcia zorganizowanego ataku moich zaprawionych w bojach legionów.

A jednak ten dzień był świadkiem naszej pierwszej klęski. Co najmniej trzy tysiące ludzi padło, a dwa razy tyle z ranami powlokło się z powrotem do obozu. Samego Gallusa przynieśli na tarczy jego wierni legionieści. Miał zamknięte oczy, a z ust płynęły mu małe strużki krwi. Strzała przebiła jego szyję i chirurdzy nie byli w stanie jej bezpiecznie usunąć. Trzymałem jego rękę, gdy umierał, plując krwią.

Tego wieczoru obchodziłem obóz, odwiedzając rannych. Wzruszało mnie oddanie żołnierzy oraz świadomość, że wielu bardziej przejmuję się moim bezpieczeństwem i pomyślnością armii niż ranami, jakich sami doznali, i bólem, jakiego doświadczyli. Pewien człowiek, weteran spod Filippi, ścisnął moją rękę.

„Nie przejmuję się niczym – rzekł – dopóki ty jesteś bezpieczny, gdyż wiem, że ocalisz armię”.

Zapłakałem rzewnymi łzami na te słowa i padały one z moich oczu na twarz umierającego. Ale po niedługiej chwili było już po nim.

Następnego ranka pierwszy jesienny mróz chwycił przed świtem. Mgła podniosła się i zobaczyłem po drugiej stronie doliny wielką chmurę wrogiego wojska, ustawionego jakby do bitwy. Zwiadowcy donieśli, że Fraates jest tak pewny zwycięstwa, iż wysłał swą gwardię przyboczną, aby poprowadziła atak. Sam był jednak nieobecny. Nigdy nie ryzykował własnego życia, pojawiając się na lub w pobliżu pola bitwy. Dowiedzieliśmy się tego od jeńców wziętych przez nasze forpocztę.

Uznałem, że powinniśmy dać srogi odpór nieprzyjacielowi, jeśli mamy się uwolnić od ciągłych ataków w trakcie marszu. Dlatego spędziłem wczesne godziny poranka, obchodząc obóz i przemawiając do żołnierzy, których centurionowie zwołali na apel. Podziękowałem im za ich wysiłki poprzedniego dnia, chwaliłem męstwo i zapewniłem, że walczyli w sposób, z którego ich przodkowie byliby dumni.

„Męstwo i wielkość ducha – rzekłem – objawiają się raczej w nieszczęściu niż w czasach pomyślności. Nie mogę wam obiecać wytchnienia w nadchodzących dniach, a jedynie zacięte i krwawe bitwy, ciężką pracę, długie marsze i najwyższy sprawdzian męstwa. Gdybyście nie byli rzymskimi żołnierzami, nie powiedziałbym wam prawdy. Opowiadałbym wam kłamstwa, aby zaszczerpić odwagę w waszych sercach. Ale jesteście rzymskimi żołnierzami, i dlatego mówię wam prawdę. Gdybyście nie byli rzymskimi żołnierzami, sam poddałbym się rozpaczce i odebrał sobie życie. Ale ponieważ jesteście rzymskimi żołnierzami, śmieję się z nieszczęścia i wychodzę na spotkanie niebezpieczeństwa ze spokojnym umysłem”.

Następnie uniosłem ramiona do góry i modliłem się do bogów, aby – jeśli w ślad za moim dawniejszym szczęściem ma nastąpić jakieś przyszłe nieszczęście – spadło ono jedynie na mnie, a moja armia wyszła z ciemnej doliny próby bezpieczna i zwycięska.

Tak więc ludzie zajęli się przygotowaniami do bitwy z determinacją i srogim uśmiechem na ustach.

Gdy Partowie ujrzeli nas gotowych do bitwy, wymachując sztandarami, dmąc w trąby bojowe i wydając wrzaski, w których mieszała się wściekłość i przerażenie, ustąpili. Ich armia znowu się rozplynęła, znikając szybciej niż poranna mgła przed naszymi oczami, a my mogliśmy wznowić odwrót.

Ale wtedy zagroziło nam nowe niebezpieczeństwo, albowiem wkroczyliśmy na teren górzysty, a przeciwnik nękał nas z wyżej położonych miejsc. Dlatego wymyśliłem oryginalne środki obrony. Lekkozbrojne oddziały zostały osłonięte przez legionistów, którzy klękając na jednym kolanie, przyjmowali strzały na swoje tarcze. Z kolei szereg legionistów ustawiony za nimi osłaniał ich swoimi tarczami. Niezwykła fortyfikacja chroniła wszystkich przed nieprzyjacielem jak spadzisty dach domu chroni przed deszczem.

Poza tym, ilekroć Partowie, sądząc zapewne, że nasi ludzie padną na kolana z wyczerpania, albo uznając, że nie mogą zrobić wrażenia swoimi strzałami, zbliżali się na odległość rzutu włócznią, obrona natychmiast przechodziła w atak. W walce wręcz zawsze udawało się nam

odpędzić przeciwnika, jakkolwiek Partowie uciekali tak szybko, że ich straty były zawsze mniejsze, niż byłyby w przypadku bardziej zdyscyplinowanych i mężnych oddziałów.

Chociaż wspomniana taktyka okazała się niezmiennie skuteczna, miała jedną zgubną konsekwencję. Posuwaliśmy się coraz wolniej i coraz bardziej brakowało żywności. Nawet gdyby kraj, przez który przechodziliśmy, miał dość zboża dla ludzi i paszy dla koni, nie dałoby się wysłać oddziałów na poszukiwanie żywności. Mimo więc, że wygrywaliśmy bitwy, z dnia na dzień stawaliśmy się słabsi. Brak zboża dawał się tak dotkliwie we znaki, że wielu żołnierzy rozgrzebywało ziemię w poszukiwaniu korzeni i ziół. Jedno z nich okazało się szczególnie niebezpieczne, albowiem zjadane na surowo, odbierało zarówno pamięć, jak i rozum. Żołnierze, którzy je zjedli, przewracali kamienie, jakby w szaleńczym poszukiwaniu antidotum, chociaż żaden nie mógł wytłumaczyć, czego szuka. Następnie dostawali mdłości i wymiotowali, co o ile nie dostarczono im najlepszego lekarstwa na żołądek, czyli wina, tak ich osłabiało, że umierali. Wspominam tę osobliwość, aby pokazać trudy, jakie dotknęły tę najwspanialszą i najmężniejszą armię, a także, aby podkreślić męstwo i wytrzymałość tych, którzy wytrwali w swoim obowiązku.

Wzgórza ustąpiły górom, a z ich pojawieniem się odżyły nadzieje, że Partowie zaniechają pościgu. Jeńcy schwytani przez naszych zwiadowców zdawali się utwierdzać nas w tym przekonaniu. Możliwe, mówili, że nieliczni Medowie nadal będą nas niepokoić, ale będą to robić tylko po to, aby chronić leżące dalej wsie. Główna część wojska ma dość, albowiem wiedzą, że nigdy nie uda się im pokonać nas w bitwie. Więcej mówiono w tym sensie i skutkiem tego nastroje uległy poprawie.

Doszło do dyskusji, czy w tych okolicznościach powinniśmy wystawiać naszych ludzi na znoje górskiej wędrówki, gdzie ponadto nie znaleźlibyśmy wody i cierpielibyśmy zarówno pragnienie, jak i głód. Czy może byłoby mądrzej zawrócić na równiny i wybrać łatwiejszą drogę? Mój sztab był równo podzielony.

Sprawę rozstrzygnęło przybycie partyjskiego dezertera, kuzyna Monesesa imieniem Mithradates. W pierwszej chwili odnieśliśmy się do niego podejrzliwie, albowiem doświadczenie nie dawało powodu, aby wierzyć w cokolwiek, co mówi jakiś Part, jeśli nie znajduje to potwierdzenia gdzie indziej. Ze względu na naszą trudną sytuację postanowiłem jednak przynajmniej wysłuchać tego, co ma on do powiedzenia, i ocenić jego wiarygodność na podstawie zachowania. Zrobił na mnie dobre wrażenie, a ponieważ mówił też ciepło o swej

wdzięczności za zyczliwość, jaką okazałem jego kuzynowi, usłuchałem jego ostrzeżeń.

Wskazał pasmo górskie na południowym zachodzie.

„Pod tym wzgórzem – rzekł – czeka w zasadzce główna część armii partyjskiej. U stóp wzgórza rozpościera się rozległa równina i Partowie mają nadzieję, że w dostatecznym stopniu wprowadziły cię w błąd informacje, jakie zebrałeś od jeńców, którzy zostali, muszą cię ostrzec, nasłani na ciebie w tym celu, abyś uznał za bezpieczną zamianę surowości gór na uciechy równiny. Jeśli pójdziesz trasą górską, będziesz cierpieł z pragnienia i wyczerpania, ale jeśli dasz się zwieść jeńcom i wybierzesz równinę, wtedy czeka cię los Krassusa”.

Wynagrodziłem go złotem i zwołałem radę wojenną, informując o tym, co powiedział Mithradates. Niektórzy nie chcieli mu ufać, ale inni dowodzili, że nie mamy również powodów, aby wierzyć informacjom przekazanych przez jeńców. Ahenobarbus rzucił myśl, aby poddać niektórych z nich torturom i zobaczyć, czy zmienią zdanie. W ten sposób uzyskamy pewność, wybór której drogi jest rozsądny. Ale już postanowiłem, że pójdę za radą Mithradatesa. Jak wyjaśniłem radzie, nie było rzeczą możliwą, aby armia partyjska urządziła zasadzkę na górskiej trasie. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że będą na nas czekać na równinie.

„Jeśli nawet wszyscy Partowie są kłamcami – oświadczyłem – nie wszyscy są głupcami”.

Wkrótce okazało się, że miałem rację. Gdy podążyliśmy górską trasą, nasza straż tylna została natychmiast wysłiedzona i zaatakowana przez przeciwnika, rozgniewanego, że nie daliśmy się zwieść kłamstwom i nie wybraliśmy drogi przez równinę. Straż tylna, dowodzona przez Kanidiusza, odparła atak, ale marsz uległ dalszej zwłoce, a udręka ludzi z powodu pragnienia wzrosła. Czekwały nas zresztą jeszcze znacznie gorsze rzeczy. Pierwszy strumień, jaki przebyliśmy, okazał się słony i gorzki. Z wielkim trudem centurionowie odciągali żołnierzy od jego brzegów. Zapadła noc, a my nadal znajdowaliśmy się w górach, albowiem chociaż nasi przewodnicy zapewniali, że rzeka z dobrą wodą znajduje się zaledwie kilka mil przed nami, byłoby nierozważne pchać się do przodu w ciemności.

Ale wydałem rozkazy, że odpoczynek powinien być krótki i że wszyscy mają być gotowi do wymarszu z nastaniem świtu. Miałem nadzieję nie tylko wyprzedzić lekką jazdę partyjską, która ciągle niepokoiła nasze tyły, ale i jak najszybciej zaspokoić pragnienie ludzi.

Niestety, w nocy pojawiła się gęsta mgła, która nadal przylepiała się do gór, gdy kazałem zwinąć obóz. Spowodowało to pewne zamieszanie. Najpierw gruchnęła wieść, że przegraliśmy, potem, że Partowie są w obozie, a później, że ja sam zginąłem. Jedyny raz w czasie tej heroicznej

kampanii żołnierze ulegli panice. Żołnierze stracili kontakt ze swymi towarzyszami i wielu biegło bezładnie i w przerażeniu po obozie, w którym panował nieopisany chaos, krzycząc, że zostaliśmy zdradzeni, że wszystko stracone i że każdy powinien troszczyć się o swe bezpieczeństwo. W tym momencie Partowie rzeczywiście zaczęli nękać tyły i gdyby nie odwaga i rozsądek pewnego centuriona z trzeciego legionu, który chwycił orła i skierował go w stronę nieprzyjaciela, krzycząc, że nie dba o swe życie, skoro jego towarzysze porzucili swój obowiązek, wszystko mogłoby zostać stracone. Ale inni, zawstydzeni albo zachęcenii jego przykładem, ustawili się w szeregu i odparli nieprzyjaciela, który uciekł, gdy tylko napotkał zacięty i typowo rzymski opór. Odnieśliśmy zwycięstwo. W tym momencie, świadom pogłosek dotyczących losów mojej osoby, pokazałem się żołnierzom, jeżdżąc wzdłuż szeregów, dodając odwagi ludziom zarówno swoją obecnością, jak i słowami. W ten sposób przywrócono porządek i dotarliśmy do rzeki, gdzie została znaleziona żywność.

Sześć dni później, dziewięćdziesiąt mil dalej – albowiem posuwając się przez kraj górzysty, gdzie drogi były kiepskie, nie mogliśmy utrzymać zwykłego tempa marszu – dotarliśmy do rzeki Arakses, która wyznacza granicę między Media a Armenią. Gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu, żołnierze klękali i całowali ziemię; potem ściskali się w wdzięczności za ocalenie z największych niebezpieczeństw i najciężniejszego marszu, jaki armia rzymska kiedykolwiek podjęła.

Nasz odwrót spod Fraaspy zajął dwadzieścia siedem dni. W tym czasie stoczyliśmy osiemnaście bitew i pokonaliśmy Partów we wszystkich. Nasze straty wynosiły dwadzieścia tysięcy pieszych i cztery tysiące konnych. Ponad połowa z nich straciła życie nie na polu bitwy, lecz z chorób, dolegliwości albo ciężkiego zimna górskich nocy. Znosiliśmy skoki temperatury, a w najtrudniejszym okresie marszu ludzie szli przez sięgający kolan śnieg. Zaznaliśmy mrozów tak srogich, że ręce żołnierzy przymarzały do rękojęści mieczy. Ranni leżeli w mokrych mundurach, które noc okrywała lodowatym całunem. A mimo to z wyjątkiem tej jednej sytuacji armia zachowała dyscyplinę, opanowanie, wiarę. Żadna armia rzymska nigdy nie osiągnęła tak wiele, tak wspaniale.

ROZDZIAŁ 20

Prawdopodobnie zdajecie sobie sprawę, że w swoim opisie tej w rzeczywistości katastrofalnej kampanii mój pan gra rolę. Udaje, że jest Cezarem. Nastrój jest właśnie taki, czy też taki mi się wydaje, jak w opisie wojen galijskich Cezara. U obydwu widać to samo połączenie udawanego dystansu i skrajnego egotyzmu. Podobnie jak Cezar, mój pan nigdy nie popełnił błędu. Jeśli cokolwiek szło źle, winien był raczej przypadek aniżeli zła ocena z jego strony. I oczywiście nic naprawdę nie szło źle. Klęska opisana staje się triumfem. Postanowił, jak prawdopodobnie wicie, urządzić triumf. Ażeby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację, odbył go w Aleksandrii, nowość, której dałoby się z pewnością bronić jako wyrazu jego rozumienia uniwersalizmu imperium rzymskiego, ale ową innowację uznano za zniewagę dla rzymskiej arystokracji. Dostarczyło to Oktawianowi wymarzonego materiału do propagandy wojennej, jaką wkrótce rozpętał przeciwko mojemu panu.

Opis kampanii partyjskiej nie jest z pewnością rzetelny. Co dziwne, pod jednym względem nie oddaje on sprawiedliwości samemu autorowi – o który to grzech z pewnością trudno by z kolei posądzić Cezara. Umniejsza osobisty heroizm mojego pana, chociaż właśnie jego bohaterstwo i niemal niewyczerpana pogoda ducha i przystępność uchroniły jego armię przed rozkładem albo buntem. Jakże często podczas tego strasznego odwrotu chwycił miecz lub włócznię któregoś z legionistów i stawał na czele kontrataku! Sześciokrotnie został ranny w czasie trwającego dwadzieścia siedem dni odwrotu spod Fraaspy.

Oczywiście sam uważał to wszystko jedynie za niepowodzenie. Owładnięty przekonaniem, że Partia musi zostać ujarzmiona, był gotów wznowić kampanię w następnym roku. Jeszcze raz poprosił Oktawiana o obiecanych dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Jeszcze raz jego kolega znalazł wymówki. Aby pogorszyć sprawę, wysłał Oktawie do jej męża z zaledwie dziesiątą częścią obiecanych żołnierzy. Prowokacja była podwójna.

Czy mój pan pojedzie do Aten, aby spotkać Oktawie? Gorąco nad tym dyskutowano. On sam uznał to za niemożliwe. W obozie na granicach Armenii pochłaniało go bez reszty przygotowywanie nowej armii. Jak mógłby się oderwać od tego zajęcia? Moje własne zdanie jest takie, że rozumiejąc, iż potraktował źle Oktawie i czując się z tego powodu nie w porządku, nie potrafił się zmusić do spotkania z nią. Przekornie postanowił znieważać ją dalej, jakby, zwalając

niegodziwość na niegodziwość, mógł usprawiedliwić swe wcześniejsze okrucieństwo. To było zachowanie niegodne jego wspaniałomyślnej natury. Wiedząc o tym, nadal zachowywał się w ten sam sposób. Nie miało to wielkiego sensu, ale o ilu sprawach w naszym życiu można powiedzieć co innego!

Inni, którzy nie rozumieli Antoniusza tak dobrze jak ja, zadręczali go dobrymi radami, nalegając, aby poszedł raczej ścieżką obowiązku niż skłonności – chociaż oczywiście nie ujmowali tego w ten sposób. Na przykład Ahenobarbus, przekonany o tym, że pozycja mojego pana w Rzymie wymaga wzmocnienia, naciskał na niego, aby pogodził się z Oktawią i ponownie przyjął ją do swego domu.

– Krążą plotki – mówił Ahenobarbus – że ulegasz wpływom Wschodu. Nasi przyjaciele w Rzymie są zaniepokojeni. Zauważają, że nie byłeś tam już od sześciu lat, a w Italii od trzech. Zaczynają się obawiać, że zapominasz, kim naprawdę jesteś. Uspokoisz ich, godząc się ze swoją żoną. Jeśli odeślesz ją z powrotem do Rzymu, nie tylko ogłosisz się wrogiem jej brata, ponieważ uzna to za zniewagę...

– Wręcz się prosi o taką zniewagę – rzekł Skryboniusz Kurion.

– Z pewnością. Niczego nie chciałby bardziej aniżeli tego, abyś go publicznie znieważył.

– Co przedstawi jako zniewagę samego Rzymu.

– Ale czymże jest – rzekł mój pan – jeśli nie równie otwartą zniewagą, wysłanie przez niego dziesiątej części żołnierzy, jakich zobowiązał się wysłać?

I tak dyskusja kręciła się w kółko.

A jaką rolę odgrywała w tym Kleopatra?

Na pozór trzymała się z dala od tej dyskusji. Napisała nawet do mojego pana, że musi on podjąć decyzje co do przyszłości, nie zważając na nią czy jej potrzeby, a nawet ich dzieci. Zawsze pozostanie jego wiernym przyjacielem, ale niczego od niego nie żąda. Rozumie, że musi on umieścić bezpieczeństwo imperium i swoją własną pozycję na jego czele przed jakimikolwiek zobowiązaniami, jakie może mieć wobec niej.

Niestety, list przepadł. Naprawdę był majstersztykiem. Mój pan wykrzykiwał słowa zachwyty nad jej bezinteresownością i wyrozumiałością. Był, jak sam rzekł, przytłoczony tym wszystkim.

Mój drogi Aleksas, któremu powierzono dostarczenie listu, zapytał wtedy, jaką odpowiedź ma zanieść królowej.

– Powiedz jej, powiedz jej... – zaczął mój pan i następnie wybuchnął płaczem, niezdolny powiedzieć Aleksasowi, co też ten ma przekazać Kleopatrze. Postanowiono więc przygotować list, mnie powierzając zredagowanie pierwszej jego wersji...

– Co ona chce usłyszeć? – zapytałem Aleksasa.

– Skądże miałbym wiedzieć, mój drogi? – rzekł, otwierając szeroko swe niebieskie oczy.

– Wszystko to jest udawaniem, prawda? – zapytałem.

– Mój drogi...

– Ale bardzo wysokiej jakości, zapewniam cię.

– W zaufaniu ci powiem – rzekł – że królowa jest na krawędzi. Nie wierzy, że Antoniusz ją porzuci. I nie wierzy, że jej nie porzuci. Trudno z nią wytrzymać. Naprawdę się cieszę, że jestem choć chwilę z dala od niej.

Ze znajdującej się z tyłu oranżerii niósł się zapach kwiatów. Aleksas wyciągnął się na łożu. Miał pogniecioną tunikę. Był trochę pijany. Jego głos brzmiał ochryple. Znad wierzchołków dachów dochodziło zawodzenie kobiet. Łagodny wietrzyk poruszał gałęzie drzew.

– Słyszałem, jak mówiła, że chciałaby stłuc Antoniusza, a w następnej chwili... – machnął ręką. – Sama nie zna swego własnego umysłu, nigdy nie znała. – Położył swą długą, zakończoną szczupłymi palcami dłoni na nagim udzie. To nie ma znaczenia dla nas czy ma, co oni robią? – rzekł. Jego usta były otwarte zapraszająco.

– Może jestem zniewieściałą – powiedział później – ale dziękuję bogom, że nie jestem kobietą. Kobiety są straszne, nie sądzisz?

Mimo wszystko Kleopatrze należało odpowiedzieć. Zredagowałem szkic listu, niezobowiązujący mojego pana do niczego – oczywiście w najbardziej kwiecistym języku, jaki możecie sobie wyobrazić. Aleksas mi pomógł, bez względu na to, czy miał taki zamiar, czy nie. Uświadomił mi niepewność królowej, a tym samym charakter jej zależności od mojego pana.

Wyjaśniłem to Ahenobarbusowi, który ufał mojemu zdaniu, gdy zgadzało się z jego, tym bardziej że odnosił się do mnie z niechęcią i pogardą. Często powtarzał, że nie rozumie, dlaczego Antoniusz utrzymuje przy sobie taką kreaturę jak ja. W mojej obecności nazywał mnie wymalowanym zwyrodnialcem. Oczywiście, gdy to słyszałem, pozwalałem sobie jedynie na mały uśmiech, jakby przyznając mu rację. No cóż, myślałem, jestem tym, czym uczynili mnie Rzymianie. Ale nie ufając mi, Ahenobarbus doceniał mimo wszystko moją inteligencję. Nie wierzył, że kocham Antoniusza, ponieważ nie potrafił uwierzyć, że ktoś taki jak ja jest zdolny do

miłości. Uznawał jednak, że leży mi na sercu dobro mego pana, zresztą dlatego, że jestem i byłbym, jego zdaniem, bez niego niczym.

Wysłuchawszy mnie, oświadczył:

– Zakładając, że masz rację – a mówiąc te słowa, prychnął lekceważąco – i królowa nie jest go pewna, nie widzę, aby posuwało nas to naprzód.

Wyjaśniłem, pośród wielu wyznań na temat mojej własnej małości, zbyt kwiecistych i nieszczerých, aby je tutaj powtarzać, a w każdym razie zbyt nudnych (ale, wedle mojego doświadczenia, rzymscy arystokraci pokroju Ahenobarbusa przełkną każde samoupodlenie ze strony stojących niżej od nich i uznają je nawet za właściwe), że to wzmacnia jego pozycję w dyskusji o tym, co mój pan powinien zrobić. Oznacza bowiem, że nadal może trzymać królową na dystans, podczas gdyby, czego się obawialiśmy, zdobyła ona już nad nim całkowitą przewagę, nie byłoby takiej nadziei.

– Jeśli jednakowoż – rzekłem – dałoby się doprowadzić do tego, że zgodziłby się przyjąć Oktawie, jej cnota i wdzięk, w co wierzę głęboko, sprawiłyby, że odnalazłby się na nowo w małżeństwie. Jestem w służbie mojego pana od dzieciństwa – tu Ahenobarbus spojrział groźnie i skrzywił się – i znam go na tyle dobrze, jeśli znowu wolno mi się tak wyrazić, aby wiedzieć, że zawsze będzie nim kierować jakaś kobieta. Jest lepiej dla nas wszystkich, a szczególnie dla niego, aby kobietą tą była teraz Oktawia.

Wyznaję, że tutaj popełniłem błąd i od tego zaczęła się nasza późniejsza katastrofa. Skierowałem moje słowa do niewłaściwego człowieka. Ahenobarbus miał wiele cnót. Przynajmniej tak mówią. Ale delikatność w dyskusji do nich nie należała. Gdybym powiedział to Skryboniuszowi Kurionowi, który był człowiekiem wielkiego formatu i życzliwie nastawionym, wszystko mogłoby się dobrze ułożyć. Ahenobarbus wszakże był jednym z tych dumnych, w tym niedorzecznym znaczeniu, które Rzymianie w swym samozadowoleniu tak bardzo lubią, z brania byka za rogi. Zaczął przekonywać mojego pana z subtelnością, z jaką jedna galera taranuje drugą. Oświadczył, że ma on obowiązek przyjąć Oktawie. Powiedział nawet, że jeśli zdegenerowany pederasta Krytiasz ma dość rozumu, aby to zrozumieć, nie może pojąć, jak mój pan może być taki. Krótko mówiąc, gdyby opłaciła go Kleopatra, aby przeciągnął Antoniusza na jej stronę, nie mógłby lepiej wykonać swego zadania. Ale oczywiście nie został przez nią opłacony. Naprawdę nią gardził. Był po prostu głupim niezdarnym rzymskim arystokratą z równie wielkim taktem i wrażliwością, jak tępy wół, którego zresztą przypominał.

Sam nie wiem, jak mogłem popełnić taki błąd. Następstwa były opłakane. Mój pan wystosował ostry list do Oktawii – pisałem go ze łzami w oczach – nakazując jej wrócić do Rzymu, ponieważ nie zapewniła mu potrzebnych oddziałów, a ponadto postawiła wyżej swój obowiązek wobec brata aniżeli wobec męża. Krótko mówiąc, list był tak głupi i brutalny, że naprawdę było mi wstyd, iż musiałem go napisać.

Co ciekawe, Aleksas zupełnie nie rozumiał mojej roli w aferze. Odczuwał ogromną ulgę i radość. Złożył mi zresztą dowody swej wdzięczności, zapewniając, że Kleopatra żywi wobec mnie podobne uczucia. Nie chcąc zachować się niegrzecznie, nie wyprowadzałem go z błędu. Nie widziałem też najmniejszego powodu, aby odmawiać sobie przyjemności, jakie mi ofiarował.

ROZDZIAŁ 21

Gdy mój pan i Oktawian pozostawali ze sobą na pozór w przyjaznych stosunkach, potrafili traktować romans mojego pana z Kleopatrą na wesoło. Kiedyś Oktawian wyraził w liście dezaprobatę wobec mojego pana, ale w przyjacielskim tonie, tak że mój pan mógł odpowiedzieć mu w podobny sposób, pisząc tak oto:

A co z Tobą? Nie jesteś przecież wcale wierny Liwii, a może już jesteś? Założę się, że nie. Nie zapominaj, drogi chłopcze, że dużo wiem o Twoich gustach, zarówno osobiście, jak i ze słyszenia. Myślisz, że Mysz Brutus nie przechwalał się romansem z Tobą? Teraz oczywiście jesteś dorosły i bez wątplenia inaczej zorientowany. Ale moje gratulacje – albo wyrazy współczucia, jak wolisz – jeśli zanim otrzymasz ten list, nie zaciągniesz do łóżka Tertulli albo Terencji, albo Rufilli, albo Salwii Titisenii, albo innych ślicznotek. Na mojego przodka Heraklesa, czy to ważne, gdzie i z którą, bądź jak często to robisz? Seks, drogi chłopcze, jest zwykłą zwierzęcą przyjemnością, i o ile mnie to dotyczy, królowa jest właśnie kawałkiem kobiecego ciała...

Gdyby rzeczywiście tak było!

Oczywiście jakikolwiek list napisany teraz w tym duchu, a mój pan próbował tego nieraz, ale kopie zaginęły, najprawdopodobniej rozwścieczyłyby Oktawiana. Chociaż, jak powszechnie wiadomo, dawniej sam oddawał się rozpuście, pod wpływem Liwii stał się pruderyjny. Jego przyjaciele nazwaliby go surowym, ale, moim zdaniem, był po prostu hipokrytą. Zawsze też zazdrościł mojemu panu swobody bycia i niedbałej wyższości.

Jeśli idzie o Oktawie, dla której, jak wiecie, żywiłem wielki szacunek, i podziw, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek zdała sobie sprawę z tego, jak perfidnie jej własny brat ją wykorzystał. Gdyby dotrzymał danego mojemu panu słowa, ten nigdy by nią nie wzgardził. Jestem tego pewien. Wierzę, że Oktawia to rozumiała, chociaż za nic nie potrafiła sama przed sobą się do tego przyznać. Wedle znanych mi pogłosek, po powrocie do Rzymu spotykała się ze swoim bratem jedynie przy oficjalnych okazjach, gdy jej nieobecność wywołałaby plotki. Nie łączyły jej z nim natomiast żadne prywatne ani zażyłe stosunki. Zasluguje przy tym na uwagę, że nadal otaczała opieką dzieci Antoniusza z małżeństwa z Fulwią, wychowując je we własnym domu

i traktując tak samo, jak swe własne córki.

Na pewien czas nasza sytuacja uległa poprawie. Wprawdzie mój pan nie czuł się wystarczająco silny, aby poprowadzić drugą ekspedycję przeciwko Partii, wkroczył jednak do Armenii, schwytał zdrajcę Artawasdesa i obrócił nieposłuszne królestwo w prowincję imperium. Jej namiestnikiem uczynił Kanidiusza. Artawasdesa przewieziono do Aleksandrii, gdzie pokazywano go podczas triumfu mojego pana, a następnie wymierzono mu zasłużoną karę śmierci.

Ów triumf był naprawdę wspaniały, bez względu na kłamstwa, jakie rozpowszechniano w Rzymie. Mój pan miał na sobie złotą szatę i trzymał w ręku święte berło Dionizosa. Jeńcy maszerowali przez miasto, które nigdy wcześniej nie oglądało podobnego widowiska. Aleksas opowiadał mi, że obywatele Aleksandrii tak oszołomił cały ten przepych, że zarzucili swój zwykły cynizm i sceptycyzm – albowiem Grecy z Aleksandrii sądzą, że widzieli wszystko i że nic już nie może ich zaskoczyć ani wyrzucić na nich wrażenia – i naprawdę uwierzyli, że mój pan jest wcieleniem boga. Ale kochany chłopiec być może chciał sprawić mi przyjemność albo też sam był zbyt łatwowierny.

Jeńców podarowano następnie Kleopatrze. Siedziała na złotym tronie, ustawionym na srebrnym podwyższeniu. Jej dzieci umieszczono na małych taboretach czy tronikach na niższej części podium. Tłum głośno wiwatował i sypał na nich płatki róż. W Rzymie mówiono, że jeńcy odmówili złożenia zwyczajowego pokłonu królowej, co nie odpowiada prawdzie. Zrobili wszystko, czego od nich zażądano. Następnie, pośród ogólnego entuzjazmu, mój pan wziął za rękę młodego Cezariona i ogłosił syna Cezara współrządcą Egiptu. Miał on dzielić władzę z matką. Od wielu lat stanowiło to cel zabiegów Kleopatry, albowiem od dawna przyjęło się w Egipcie, że rządzi nim następca tronu wspólnie z panującym monarchą. Poza tym Kleopatra chciała zademonstrować tym sposobem, że jej syn, a nie Oktawian, którego się obawiała, a zarazem nienawidziła, jest prawdziwym spadkobiercą Cezara.

Ze strony mojego pana gest był tym bardziej wspaniałomyślny, że w rzeczywistości legiony swoim entuzjazmem okazywanym przy tak wielu okazjach w ciągu ostatnich dziesięciu lat dowiodły, że jego właśnie uznają za prawdziwego spadkobiercę sławy Cezara.

Aby sprawić przyjemność królowej i okazać swą własną świetność, ogłosił następnie ich

małego syna Aleksandra Heliosa, chłopca o niezwyklej urodzie, królem Armenii i Medii, jego młodszego brata Ptolemeusza zaś królem Fenicji, Syrii i Cylicji. Oczywiście same tytuły miały czysto honorowy charakter i nikt ich nie traktował poważnie, chociaż Oktawian później zrobił z nich wielki użytek w swej propagandzie. Dzieci wyglądały wspaniale. Aleksander w stroju medyjskim z turbanem i tiarą, a Ptolemeusz wystrojony jak następca Aleksandra, w długim płaszczu i w pantoflach z pomponem, w którego środku znajdował się diadem. Sama Kleopatra miała na sobie świętą szatę Izydy, wielokolorową, co symbolizowało uniwersalną władzę bogini.

Wiedzieliśmy, że wszystko to jest komedią obliczoną na przypodobanie się ludowi i królowej. Niestety, nie pomyślano w ogóle o tym, jak ten całkiem niewinny, choć okazały spektakl zostanie odebrany w Rzymie. Jest prawdą, że Ahenobarbus ostrzegał przed tym, ale był on tak staroświecki w swoich poglądach, że nie zwracano specjalnej uwagi na jego słowa. Jeśli idzie o mnie, winie raczej Skryboniusza Kuriona, jakkolwiek pod niemal każdym względem był godny podziwu, za to, że nie rozumiał, jak Oktawian wykorzysta tę sprawę, aby zatruć umysły Rzymian. Mój pan posłuchałby Kuriona, któremu miał wszelkie powody ufać i którego kochał, w jakiejś mierze także z powodu miłości, jaką żywił do jego ojca, którego młody Kurion w niejednym przypominał.

Często odtąd mówiono, że od tamtego momentu mojego pana opanowało bliskie obłądzenia szaleństwo i że utracił zupełnie jakiekolwiek poczucie proporcji.

Jest to wierutne kłamstwo, co zamierzam za chwilę wykazać.

Po pierwsze, daleki od zaniedbywania polityki albo własnych stosunków z Oktawianem, natychmiast zajął się zestawieniem swych uzasadnionych krzywd. Wiem to na pewno i mogę przysiąc, że stało się to właśnie wtedy, gdyż przyczyniłem się do zredagowania jego listy oskarżeń.

Sformułował pięć głównych zarzutów.

1. Oktawian złamał słowo, nie wysyłając obiecanych oddziałów.
2. Gdy Oktawian odebrał Sycylię Sekstusowi Pompejuszowi wbrew zawartej umowie, zajął całą wyspę i jej dochody dla siebie, zamiast podzielić się nimi z Antoniuszem.
3. Nigdy nie zwrócił pożyczonych od mojego pana okrętów.
4. Po zdegradowaniu ich kolegi Lepidusa, bez porozumienia, do statusu prywatnego obywatela, Oktawian przejął sam legiony Lepidusa, prowincję, skarb i daniny, które znowu powinny być podzielone.

5. Oktawian przydzielił wszystkie ziemie publiczne i skonfiskowane w Italii swoim własnym weteranom, nic nie pozostawiając dla żołnierzy mojego pana, co znowu stało w sprzeczności z ich umową.

Przytoczyłem zarzuty szczegółowo, aby pokazać, że mój pan nadal całkowicie panował nad swymi władzami umysłowymi i daleki był od zaniedbywania spraw politycznych. Co więcej, każda z jego skarg była uzasadniona.

Świadczyła o tym słabość reakcji Oktawiana.

Najpierw oświadczył, że Lepidus dowiódł swej niekompetencji, rezygnując tym samym z władzy i pozycji na rzecz Oktawiana. Następnie, w słodkich słowach, obiecał, że gotów jest podzielić się ze swoim kolegą Antoniuszem wszystkim, co uzyskał w wyniku wojny...

– Czyli niczym – rzekł Ahenobarbus.

– W każdym razie – odezwał się Kurion – Oktawian nigdy jeszcze nie dotrzymał słowa, że podzieli się czymkolwiek. Nie zapominaj, że chodziłem z nim do szkoły i znam go. Jest chciwy jak gronostaj.

Na koniec, oświadczywszy, że oczekuje, iż w rewanżu Antoniusz podzieli się z nim Armenią, Oktawian miał czelność stwierdzić, że weterani mojego pana nie potrzebują ziemi w Italii, „albowiem może on bez trudu osiedlić ich w Armenii i Medii”.

Jakby to rzeczywiście było to samo.

Niemniej jednak, jakkolwiek list był zuchwały i przykry, nie zapowiadał jeszcze wcale tego, co miało nastąpić. W ciągu kilku tygodni nadeszła wieść, że Oktawian przypuścił w senacie gwałtowny atak na mojego pana. Oskarżył go o wszelkiego rodzaju niemoralność, o zdradę interesów imperium rzymskiego na Wschodzie w zamian za czułe uściski wschodniej ladcownicy królowej, o przyjęcie orientalnej religii i stroju oraz o oddanie bastardom ladcownicy ziem zdobytych dzięki bohaterskim wysiłkom legionów.

Następnie, działając szybko, wzbudził taki strach w mieście, że kilkuset członków stanu senatorskiego i ekwickiego, obawiając się o swe życie, uciekło, kierując się do obozu mojego pana. Rzym stanął znowu na krawędzi wojny domowej, za co winę ponosiła zła wola i ambicja Oktawiana.

ROZDZIAŁ 22

– Nie ja rozpętałem tę wojnę. Nie ja do niej dążyłem. Zostałem do niej zmuszony.

Zaproponowałem, abyśmy obaj, Oktawian i ja, zrezygnowali z urzędu. Okres triumwiratu, zakończony wraz z wypędzeniem przez Oktawiana naszego kolegi Lepidusa, dobiegł ostatecznie końca. Przywróćmy, zaproponowałem, dawną postać Republiki.

Moją sugestią zignorowano. Człowiek, który przez ostatnich dziesięć lat był moim kolegą, przypuścił natomiast gwałtowny atak na moją działalność publiczną i prywatne obyczaje. Czy Rzymem, pytał, ma rządzić nałogowy pijak, zniewolony przez wdzięki wschodniej ladacznicy? Tego nie można było puścić płazem. Oktawian zatrudnił również pamflecistów, jednych nieznanymi, drugimi z wielkich rodów, ale nikczemnego charakteru, aby zatruli umysły senatorów, ekwitów i ludu przeciwko mnie. Jeden z nich, Marek Waleriusz Messala Korwinus, niegdyś stronnik Marka Brutusa, który opisał go jako „szlachetnego, zdolnego i wybitnego młodzieńca”, upokorzył się przed Oktawianem i zdobył jego łaski, oskarżając mnie o orientalne występki i ekstrawagancje. W zamian czekał go konsulat, początkowo zarezerwowany dla mnie. Tym samym Messala, z korzyścią dla siebie, zapomniał o tym, jak ocalił mi życie, gdy po klęsce Brutusa poddał się przede mną, a nie przed Oktawianem, któremu wówczas nie ufał.

W odpowiedzi wysłałem do senatu pełne godności zestawienie swych osiągnięć, dowodząc zgodności z prawem wszystkich moich posunięć i drobiazgowo wyliczając umowy, które zawarłem z Oktawianem, a które on złamał. Chcąc mieć pewność, że pismo dotrze do senatu, powierzyłem dokument Gnejuszowi Domicjuszowi Ahenobarbowi i Gajuszowi Sozjuszowi, desygnowanym na konsulów roku następnego. Nawet moi wrogowie w senacie, myślałem naiwnie, muszą uznać, że podbój Armenii i przesunięcie granicy imperium przemawia na moją korzyść. Sozjusz spisał się dzielnie. Wygłosił wspaniałą mowę na moją cześć. Z kolei Ahenobarbus, nie będąc wytrawnym mówcą, próbował zyskać poparcie senatorów. Myśląc, że sprawy przyjmują korzystny dla nas obrót, Sozjusz wygłosił drugą mowę, demaskując w niej pogwałcenie przez Oktawiana zawartych umów. Zaproponował uchwałę o umiarkowanej treści. Zdawało się, że sprawiedliwość weźmie górę.

Zaniepokoiło to Oktawiana. Świadom swej winy, chciał stłumić uzasadnioną krytykę. Skoro zaś nie piastował już, wobec wygaśnięcia triumwiratu, żadnego oficjalnego stanowiska,

natychmiast zebrał armię w Italii, zwołując wysłużonych weteranów i uzbrajając bandy utrzymywane przez swoich współpracowników. Pomaszerował na Rzym – największe przestępstwo w czasach republikańskiej praworządności. Wkroczył do kurii na czele wojska. Stanąwszy między dwoma konsulami, którym okazał w ten sposób swe lekceważenie, oskarżył mnie o zdradę. Zastraszony i przerażony senat zachował się jak słaba kobieta. Nikt nie odważył się wystąpić przeciwko awanturnikowi. Następnie Oktawian rozwiązał zgromadzenie, bez wątpienia z pogardą. Nakazał senatorom zebrać się ponownie w dniu, który wyznaczy, gdy okaże dowody na potwierdzenie tego, że jestem zdrajcą.

Sytuacja była poważna. Sozjusz i Ahenobarbus odbyli naradę, doszli do wniosku, że ich życiu grozi niebezpieczeństwo, i uciekli z miasta. Za ich przykładem poszło ponad trzystu senatorów. Jedni byli starymi republikanami, inni wierni mi osobiście.

Następnie Oktawian, działając nie na podstawie prawa, lecz swojego osobistego autorytetu, ogłosił, że Sozjusz i Ahenobarbus są winni dezercji. Posunięcie było znakomite. Gdyby pozostali, byłiby martwi. Gdy wyjechali, byli zdrajcami. Nawet Cynceron nie działał z tak bezwstydną pogardą dla prawa, gdy kazał zgładzić bez procesu stronników Katyliny. Oktawian wyznaczył następnie, bez porozumienia z senatem ani nawet zachowania pozorów legalności, dwóch konsulów. Jednym z nich został kuzyn Messali. W następnym roku, jak Oktawian oświadczył, sam będzie sprawował konsulat, mając Messalę za kolegę.

Tak oto postępował człowiek, który oskarżył mnie o łamanie praw Republiki. Za pomocą gwałtu, jawnego i ukrytego, zapewnił sobie władzę w Rzymie oraz panowanie nad Italią.

Mimo to ponowiłem gotowość rezygnacji z moich uprawnień. Nie chcę, oświadczyłem, nowej wojny. Mam armię złożoną z trzydziestu legionów, zahartowanych w bojach żołnierzy i ogromną flotę. Gdybym popłynął do Italii, Oktawian nie miałby szans. Chciałbym, aby o tym nie zapomniano przed sądem historii. Poza tym, skoro po mojej stronie opowiedzieli się zgodnie z prawem wybrani konsulowie, moja armia stanowiła prawdziwą armię Republiki, a Oktawian reprezentował wyłącznie własną frakcję.

Słuszności mojej sprawy dowodzi też lista obecności tych, którzy opuścili Rzym, aby się do mnie przyłączyć. Sam Ahenobarbus należał dawniej do stronników Katona. Czy mogłoby być lepsze świadectwo tego, że byłem szczerze oddany Republice?

ROZDZIAŁ 23

Wysiłek, jaki włożył w podyktowanie tego ostatniego rozdziału, wyczerpał go. Gdy pracowaliśmy, kazał przynieść więcej wina, wypił je szybko, a teraz siedzi ze szklistymi oczyma, wpatrując się w morze, które skrzy się w dole. Morskie ptaki krzyczą, ale wątpię, aby je słyszał. Jego myśli błądzą gdzieś daleko. Tak w każdym razie mi się wydaje.

Zaczął chrapać. Gdy się obudzi, znowu będzie pił, szukając zapomnienia. Czy mogę go za to winić?

Sam więc muszę wznowić opowieść.

Wszystko, o czym opowiadał w ostatnim ustępie, jest prawdą, ale nie całą prawdą. Czy nie tak bywa ze wszystkimi relacjami historycznymi?

Przybywszy z Sozjuszem do Efezu, Ahenobarbus był zarówno oburzony, jak i zaniepokojony obecnością Kleopatry u boku mojego pana. Nalegał, aby odesłać ją do Egiptu. Rzym, jak mówił, może toczyć wojnę z Kleopatram, ale nie z Antoniuszem. Obawiam się, że miał rację. Zresztą nawet wtedy tak myślałem, chociaż byłem zarazem skłonny kwestionować jego pogląd, wiedząc o jego niechęci, a nawet nienawiści do królowej.

Inni nie zgadzali się. Przede wszystkim Kanidiusz, którego zdanie miało swoją wagę z powodu jego zasług wojennych. Twierdził, że Kleopatry nie można bezpiecznie odesłać. Dostarczyła nam żołnierzy i okrętów. A co jeszcze ważniejsze, bez jej pomocy nie uda się opłacić armii.

Miał słuszność. Podobnie Ahenobarbus. W tej sytuacji zwyciężyła skłonność mojego pana.

Mój pan dał wyraz swej złości do Oktawiana, rozwodząc się z Oktawią. Popęlnił błąd. Gdy tylko ujawniono zamiar, błagałem Aleksasa, aby przekonał samą Kleopatram, żeby odradziła mojemu panu tak nierozważne posunięcie.

– Przekonaj ją – mówiłem – że nie leży w jej interesie, aby mój pan prowokował Oktawiana do wojny ani dawał mu do ręki tak cennego oręza propagandowego, jakim okaże się ten rozwód.

– Mój drogi – odpowiedział Aleksas – czy widziałeś piramidy?

– Oczywiście.

– Przekonaj je więc, aby maszerowały przez piaski. To równie łatwe. Królowa nienawidzi i obawia się Oktawii. Pragnie zobaczyć jej poniżenie.

Tym posunięciem mój pan zdradził siebie. Wkrótce doświadczył zdrady ze strony kogoś, komu ufał.

Lucjusz Munacjusz Plankus był starym cezarianinem. Służył w sztabie dyktatora. W czasie proskrypcji dowiódł swej miłości do Republiki, składając usłużnie w ofierze własnego brata, którego majątek odziedziczył na mocy specjalnej dyspensy. Przyjaciół brata mojego pana, Lucjusza, stanął po jego stronie w oblężeniu Peruzji, skąd uciekł, wysłany jako poseł do prowadzenia rozmów w sprawie rozejmu. Później uzyskał przebaczenie ze strony mojego pana i znowu znalazł się na jego służbie. Mój pan w swej wielkoduszności uczynił go namiestnikiem Syrii, gdzie ten dowiódł swojej skuteczności, chociaż ludzie mówili o jego zamiłowaniu do stosunków z nieletnimi dziewczętami (nawet dziewięcio- albo dziesięcioletnimi!). W odróżnieniu od Ahenobarba, nieprzyzwoicie schlebiał królowej i uczynił dobry użytek z jej łask, wzbogacając się. Występował nawet z powodzeniem w przedstawieniach teatralnych na dworze. Miał zresztą osobliwy talent do ról błazeńskich. Ale teraz grał w bardzo gorzkiej komedii.

Zdradził z powodu kompleksów, jakie odczuwał wobec mojego pana, a może dlatego, jak niektórzy mówili, że mój pan przyłapał go na malwersacjach, albo, w co zawsze wierzyłem, ponieważ nie potrafił wytrwać długo w tym samym towarzystwie, gdyż ludzie odkrywali jego występki i okazywali mu otwartą pogardę. Dlatego opuścił mojego pana i uciekł do Oktawiana. Skądinąd może też wyczuł, skąd wiatr wieje. Nie wiem. Wiem jednakże, że dezercja nie zadowoliła tego szlachetnie urodzonego szczura. Niósł pragnienie zdrady w swoim sercu.

Przybywszy do Rzymu, natychmiast wystarał się o audiencję u Oktawiana. Chciałbym myśleć, że został przyjęty z niechęcią. Z pewnością nawet Oktawian nie przyjąłby chętnie takiego człowieka. Ale jeśli nie przyjął go chętnie, chętnie przyjął wieści, jakie ten przyniósł. Antoniusz, rzekł Plankus, złożył swój testament w świątyni Westy. On, Plankus, zna jego treść, gdyż był świadkiem testamentu. A jest on, jak zapewniał, skandaliczny.

Te wieści ucieszyły Oktawiana, ale przez chwilę nie wiedział, jak je najlepiej wykorzystać. Ponieważ wielu czytelników tej opowieści może wiedzieć mało o Rzymie, śpieszę wyjaśnić, że arystokraci rzymscy zwykli składać swoje testamenty pod opieką kapłanek dziewic, które

czuwają nad ogniskiem bogini Westy. Dokumenty takie uważa się za nietykalne. Westalki mają święty obowiązek strzeżenia ich zawartości aż do śmierci testatora. Nigdy wcześniej się testamentów nie ujawnia. Wszelkie próby zmuszenia westalek do złamania pieczęci uważa się za karygodne świętokradztwo. I dlatego, chociaż Plankus gotów był zaprzysiąc na treść testamentu, Oktawian, wiedząc, że słowo kogoś takiego, jak Plankus, nie jest nic warte, znalazł się w kłopotliwym położeniu. Ogromnie chciał zobaczyć testament w nadziei, że okaże się on rzeczywiście tak kompromitujący dla mojego pana, jak zapewniał Plankus. Nie odważył się jednak zażądać od westalek wydania dokumentu. Poza tym podobno obawiał się swej żony Liwii, która mimo wszystkich swych ułomności charakteru i żądzy władzy była tak staroświecka i surowa w poglądach, że nie mogłaby poprzeć aktu świętokradztwa.

Podobno bez ogródek oświadczyła, że żadnemu mężczyźnie nie wolno wchodzić do świątyni, którą westalki się opiekują, ani nie można zmusić ich do wydania tego, co im powierzono. Poza tym mówi się, że gdy on mimo to namawiał ją, jako kobietę, do zrobienia tego, co było zakazane dla niego jako mężczyzny, napłuła mu w twarz. Może nie jest to prawda, chociaż chciałbym wierzyć, że tak było. Wiem natomiast na pewno od mojego specjalnego przyjaciela w domu Oktawii, z którym pozostałem w kontakcie mimo odrzucenia przez mego pana swej żony, iż Liwia przestrzegала Oktawiana, że jeśli ulegnie on pokusie i dopuści się świętokradztwa, nie będą mieli dzieci. W wielkiej rozpaczli Oktawia ujawniła obawy Liwii swojej krawcowej, a ta z kolei opowiedziała o nich mojemu przyjacielowi, w którym była zakochana. I dlatego nie mam wątpliwości, że jest to prawda.

Zorganizował zatem kradzież. Sprawę przeprowadzono dość nieudolnie. Sprawców włamania schwytano, a wszyscy członkowie bandy poza jednym zginęli, usiłując uniknąć aresztowania, co było najdogodniejszym rozwiązaniem. Jedyne ocalały, grecki młodzieniec, na pewno na torturach, opowiedział śmieszna historię, której mimo to dano wiarę.

Oświadczył, że zwerbował go w gospodzie agent Antoniusza. Chodzić miało o to, aby winą za włamanie obciążyć Oktawiana, który zostałby zaopatrzony w fałszywy testament, bardzo kompromitujący Antoniusza.

Naturalnie Oktawian odczytałby go następnie w senacie, po czym Antoniusz spowodowałby ogłoszenie prawdziwego testamentu, kompromitując tym samym Oktawiana. Całą sprawę zamierzano ukazać jako wymierzony przeciwko niemu spisek.

Uwierzono w ten stek bzdur. Podobno biednego chłopca pozbyto się, zanim mógł odwołać

swe zeznania. Senat zażądał więc od westalek dla bezpieczeństwa Republiki i ludu rzymskiego złamania zasad (to jest złamania prawa) i wydania testamentu Antoniusza, aby móc stwierdzić, czy zawiera postanowienia narażające na szwank interes państwa etc, etc.

Gdy to się wydarzyło – co za niespodzianka – a westalki niechętnie ugięły się przed rozkazem senatu, dokument przekazano nie samym senatorom, lecz Oktawianowi. Słyszałem, że pozostawał w jego posiadaniu przez całe dwadzieścia cztery godziny, zanim doszło do jego odczytania w senacie. Wiele mogło się zdarzyć z dokumentem w tym czasie.

Ogłoszono, że mój pan uznał Cezariona za syna Cezara – wystarczy tylko spojrzeć na nos chłopca, aby zobaczyć, że ten jest nim naprawdę – i pozostawił ogromne zapisy dla niego i dla pozostałych dzieci Kleopatry. Nic natomiast nie zapisał Oktawii ani swoim dzieciom z niej i z Fulwii. Kleopatra została uznana za jego żonę, chociaż, wedle prawa rzymskiego, żaden rzymski obywatel nie może poślubić nieobywatelki – jak mój pan dobrze wiedział, a więc wszelkie ceremonie ślubne, jakie odbył z królową, nie miały znaczenia prawnego.

Dalej następowały dyspozycje w sprawie pogrzebu. Gdyby mój pan zmarł w Rzymie, jego ciało miano przenieść uroczyście na Forum Romanum, a następnie przewieźć do Aleksandrii i złożyć w mauzoleum Ptolemeusza.

Poruszenie było ogromne. Podsycił je jeszcze bardziej niejaki Kalwizjusz, który raczył senatorów sensacyjnymi opowieściami, obliczonymi na ukazanie szaleńczej namiętności mojego pana do królowej. Na przykład rozповідаł, że Antoniusz wypadł z sądu w środku mowy wygłaszanej przez wybitnego oratora Furniusza, ponieważ doniesiono mu, że Kleopatra przejeżdża w pobliżu w swej lektyce. Co więcej, przekazał królowej wielką bibliotekę w Pergamonie, nie mniej niż dwieście tysięcy woluminów. Sam Kalwizjusz widział, jak Antoniusz dotykał stopą nogi Kleopatry – miał to być sygnał jakiegoś przyszłego spotkania.

Ostatnie oskarżenie wydawało się szczególnie absurdalne w świetle tego, co stary głupiec wcześniej opowiadał na temat stosunków mojego pana z królową. Gdyby chociaż w połowie były one prawdziwe, jaki sens miałyby takie sygnały czy tajemne znaki zażyłości?

W rzeczywistości Kalwizjusz, człowiek myślący samodzielnie, został przekupiony przez Oktawiana. W każdym razie opowieść Kalwizjusza była zaledwie pierwszą iskrą, która rozpałała płomień plotki. Wkrótce najśmieszniejsze i najbardziej szkaradne historie krążyły po Rzymie. Przyjaciel Oktawiana, Mecenas, bez cienia wstydu oświadczył, że Antoniusz zwykł przebierać się w egipskie szaty i uczestniczyć w najbardziej obrzydliwych obrzędach, podczas których

zasługujący na największą pogardę, zepsuci łajdacy z doliny Nilu czczą swych niegodziwych bogów. I to mówił Mecenas!

Ktoś inny zapewniał, że gdy mój pan przewodniczył w debatach nad sprawami publicznymi w obecności królów, tetrarchów i innych dygnitarzy, zwykł przerywać nagle, gdy przypadkiem przyniesiono miłosne listy od Kleopatry, umieszczone, aby pogorszyć sprawę, w onyksie lub kryształach.

Wszystkie te i niezliczone inne niedorzeczności miały podniecać ludność jak wino nałogowego pijaka. Wyssane z palca plotki krążyły po mieście, a nawet po całej Italii. Wierzono, że mój pan i Kleopatra zamierzali zważyć się na Italię na czele armii straszniejszej od armii Hannibala. Co więcej, odniósłszy zwycięstwo, Antoniusz zamierzał oddać Rzym Kleopatrze i przenieść stolicę imperium do Aleksandrii. Jego ulubiona przysięga brzmiała: „Obym mógł wydawać swoje edykty na Kapitolu”.

Jeśli ktokolwiek śmiało stwierdził, że Antoniusz zawsze wiernie służył Republice – a niewiele starczało na to odwagi – i że jedynie człowiek umysłowo chory mógłby poniżyć się do takiego zdradzieckiego zwyrodnienia, wtedy nadchodziło natychmiast wyjaśnienie od szpiegów Oktawiana. Wschodnia czarownica, mówili oni, rzuciła na niego urok.

I to widocznie doskonale trafiało do umysłów otumanionego motłochu, który wyruszył, by spalić jego dom na Awentynie. Tak, nawet ten dom, ozdobiony najbardziej subtelnymi i pięknymi malowidłami! Do niektórych z nich sam pozowałem. Żałuję zwłaszcza wspaniałego malowidła, które ukazuje mnie jako Parysa sprawującego sąd nad trzema boginiami. Szkoda, że taka wspaniała sztuka musiała stać się ofiarą ślepego i nierozumnego szaleństwa!

Nic dziwnego, że Oktawian bez trudu przekonał senat do pozbawienia mojego pana imperium, a także należnego mu konsulatu. Jedyne Gajusz Koponiusz, niegdyś stronnik Pompejusza, człowiek, którego rodzina żywiła długo wrogość do domu Planka, miał dość odwagi, aby sprzeciwić się temu wnioskowi, oświadczając, że, jego zdaniem, testament jest fałszerstwem i że każdy, kto wierzy choćby w jedno słowo takiej kreatury, jak Plankus, sam zwariował. Za głoszenie tak odważnej prawdy został pobity na ulicy przez zbirów opłacanych przez Agrypę.

I dopiero gdy sam Agrypa w porozumieniu ze swym małym panem wystąpił w senacie z propozycją ogłoszenia mojego pana wrogiem ojczyzny, Oktawian cofnął się. Bez wątpienia i to było ukartowane. Nie chciał, aby planowana przez niego wojna wyglądała na wznowienie wojen

domowych, które zniszczyły tak wiele arystokratycznych rodzin. Jego wojna będzie prowadzona przeciwko Kleopatrze. Ona właśnie, jak oświadczył, jest prawdziwym wrogiem Rzymu, Antoniusz zaś jedynie jej narzędziem.

Nawet wówczas nie wszystko jednak było stracone. Chociaż Oktawian mówił o wojnie, nie czuł się jeszcze gotów do walki.

Gdy nadeszły do nas wieści o sytuacji w Rzymie, Ahenobarbus, wściekły z powodu zniewag, jakie go spotkały, a także przerażony sposobem, w jaki kryzys się rozwijał, przekonywał do natychmiastowego ataku na Italię.

– Musimy rozgnieść żmiję teraz – rzekł – albo paść ofiarą jej żądła.

Ale mój pan nie pozwoliłby na to. Nawet teraz pragnął pokoju.

– Nigdy – odparł – nie zgodzę się najechać Italii i sprowadzić znowu okropności wojny na nieszczęsnych mieszkańców mojego ojczystego kraju, który kocham z całego serca.

Chciałbym, aby o tym pamiętano w dniu sądu!

A jednak nie ulega wątpliwości, że proponowana przez Ahenobarbusa taktyka była mądra, i nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego mój pan nie przyjął jego argumentacji.

Ahenobarbus wychodził z siebie.

– Gdybym potrafił uwierzyć tej małej ropusze Oktawianowi mówił – mógłbym dać wiarę jego twierdzeniu, że Antoniusz jest rzeczywiście pod wpływem czarów.

– Nie – powiedział Kurion – on jest tylko w transie.

– Wychodzi na to samo. Odrzucenie przez największego wodza epoki jedynej taktyki, która może mu przynieść ocalenie, stanowi oznakę... Nie wiem czego. Tego, że z jego głową dzieje się coś niedobrego. Z całą pewnością.

Aleksas doniósł mi, że sama Kleopatra błagała mojego pana, aby wyruszył przeciwko swemu rywalowi.

– Ona ma serce lwicy – rzekł – ale mimo wszystko boi się tego, co się wydarzy, jeśli Antoniusz nie przejmie inicjatywy.

Ta informacja odkrywała jedynie przyczynę jego niezdecydowania. Wiedział, że nie może najechać Italii w towarzystwie Kleopatry, a zarazem z niechęcią odnosił się do myśli odesłania jej do Egiptu. Było oczywiste dla świata, że naprawdę kochają do szaleństwa. Mimo wszystko nie mogłem w to uwierzyć, a niewielu znało go lepiej ode mnie. Z pewnością przez większość

czasu dobrze się bawił w jej towarzystwie. Z pewnością wiele nocy dzieliła z nim łóżce. Ale w innych razach widziałem, jak skurcz wstrętu zachmurza jego twarz, gdy jej słuchał. Jeśli rzeczywiście był od niej uzależniony, jak nigdy nie był od żadnej innej kobiety, nawet Fulwii, odczuwał zarazem urazę z tego powodu. Gdy jednak otrzymał sposobność uwolnienia się, nie zrobił nic.

Moim zdaniem, rzeczywiście nie chciał przenieść wojny do Italii. Obawiał się wojny domowej. Znał okropieństwa, jakie sprowadzała na Italię jakże często. Nie mógł uwierzyć, że nawet zwycięstwo usprawiedliwiłoby jej wznowienie.

Kiedyś, późną nocą, gdy leżał na wpół pijany na tarasie swej willi, przypatrując się majaczącym za ciemnym morzem odległym górą Grecji, wyrastającym jak ciężkie chmury, pełne złych przeczuć, mruknął:

– W każdym razie wojna domowa nie załatwia niczego. Jest jak hydra. Każde zwycięstwo stwarza nowych przeciwników. Za bardzo się obawiam naśladować mojego przodka Heraklesa, a zabicie potwora przekracza moje siły. Musi istnieć jakiś inny sposób.

Zapewne w swoim udręczonym sercu nadal nie rozumie głębi wrogości, jaką Oktawian odczuwał wobec niego. Zachował ciepłe uczucia dla zawziętego młodego mężczyzny, którego chwilami nadal postrzegał jako ładnego chłopca. Nie mógł uwierzyć, że Oktawian postanowił go zniszczyć.

Jako dowód przedstawiam list, który mi podyktował i wysłał do Oktawiana.

Nie rozumiem gry, którą uprawiasz. Co masz przeciwko mnie? Nie może chodzić przecież o to, że odrzuciłem Oktawie, do czego nigdy by nie doszło, gdybyś dotrzymał słowa. Nie sądzisz chyba, że królowa jest tak ważna. Egipt jest ważny, tak, to prawda. Egipt ma rzeczywiście zasadnicze znaczenie dla pomyślności Rzymu. Z pewnością zgodzisz się ze mną co do tego. Bez bogatych plonów Egiptu w Rzymie zapanowałby niedostatek, a nawet głód. A ona rządzi Egiptem. Właśnie dlatego najpierw zaprzyjaźniłem się z nią. Od tamtej pory udzielała mi pomocy w ludziach i pieniądzach. Armenia nigdy nie zostałaby włączona do imperium, gdyby nie pomoc, jakiej mi udzieliła, kiedy, przykro mi Ci przypomnieć, nie zechciałeś lub nie byłeś w stanie dostarczyć mi legionów, które przysiągłeś wysłać. Jakże mogę przestać odczuwać wdzięczność wobec niej?

Co do kłótni, która wybuchła między nami, nie ja szukałem zwady. Nie mogę też uwierzyć, że

Ty jej chcesz. Ludzie opowiadają ci kłamstwa. Do kłótni podżegali ci, którzy żadnemu z nas nie życzą dobrze, lecz kierują się osobistymi interesami.

Spotkajmy się, na osobności, tylko my dwaj, a jestem pewien, że wszystko uda się załatwić. W zakłopotanie i przerażeniu wprawia mnie to, co słyszę o Twoim zachowaniu. Mimo wszystko nadal żywię głęboki szacunek dla Ciebie.

Dalejże, chłopcze, ustal miejsce spotkania. Wiesz, że zawsze się zgadzamy, gdy jesteśmy razem. Jedynie wówczas, gdy pozostajemy z dala od siebie, kłopoty wiszą w powietrzu. Zawsze z powodu kłamstw opowiadanych przez innych.

Znowu to samo! Szlachetność nie pozwalała mojemu panu zrozumieć samolubnej, zawistnej i nikczemnej natury Oktawiana.

ROZDZIAŁ 24

Nie wierzę, że mój pan kiedykolwiek wznowi swą opowieść. Dlatego, przez wzgląd dla niego i z troski o jego dobre imię, wypada, abym poprowadził ją dalej.

Początkowo wieści z Italii budziły nadzieję. Stronnicy mojego pana, którzy uciekli przed bezwzględnością Oktawiana, donieśli, że w kraju panuje ogólny zamęt. Oktawian, jak twierdzili, stoi niemal w obliczu buntu, który uspokoił jedynie, obiecując hojne darowizny, nie może jednak zebrać na nie pieniędzy, albowiem nawet bankierzy powątpiewają w jego sukces i obawiają się, że nigdy nie odzyskają udzielonej pożyczki. Nałożył więc nowy, straszliwy podatek, żądając ćwierci rocznego dochodu od każdego obywatela. Nic dziwnego, że doszło do rozruchów, a w wielu miastach budynki publiczne, w których przechowywano rejestry podatkowe, zostały całkowicie spalone. Reakcja Oktawiana była natychmiastowa i brutalna. Podejrzanych aresztowano i skazano na śmierć. Zginęli od miecza legionistów pragnących zarobić dodatkową zapłatę, jaką im za to obiecano, albo przez ukrzyżowanie. Oddziały wojskowe zakwaterowano w domach prywatnych obywateli i nie wycofano ich, dopóki nie została zebrana wielka suma pieniędzy.

Żadna z tych represji nie była zgodna z prawem. Oktawian, zachęcony podobno przez Mecenasa, usprawiedliwiał się, powołując się na względy „wyższej konieczności”.

Następnie doniesiono, że chce zmusić całą Italię do złożenia mu przysięgi osobistego posłuszeństwa. Ktokolwiek złamałby taką przysięgę, zostałby uznany za winnego zdrady. Nikt nigdy wcześniej nie zażądał takiej przysięgi od obywateli rzymskich. A mimo to przerażeni ludzie tłoczyli się na forach miast w całym kraju, aby dowieść swojej wierności – a właściwie służalczości.

Mimo to nie wszystko było jeszcze stracone. Italia, jak mówili ludzie potajemnie, w gospodach i prywatnych domach, nie toczy sporu z Antoniuszem. Jakież mogłaby mieć do niego pretensje, skoro przyniósł niesłychaną sławę imperium i tak wspaniale przysłużył się Republice? Co do Kleopatry, wielu myślało, słusznie zresztą, że groźba wschodniej dominacji i ustanowienia orientalnej monarchii jest odległa i mglista. A jednak zaprowadzony przez Oktawiana terror stłumił wszelkie wątpliwości.

Pewien przyjaciel mojego pana, imieniem Geminiusz, wymknął się z Rzymu i przybył, aby ostrzec Antoniusza o intensywności rozpętanej przeciwko niemu agitacji. Ale, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, Kleopatra uznała tego człowieka, chociaż był uczciwy jak mało kto, za szpiega nasłanego przez Oktawiana. Z tego powodu wydała swym ludziom rozkaz, aby przyjęli go zniewagami i traktowali z pogardą.

Geminiusz, bliski rozpaczy, przyszedł do mnie i poprosił o urządzenie poufnego spotkania z moim panem. Jakkolwiek nie było to łatwe, w końcu udało mi się przemycić go do przedpokoju i jakąś opowieścią odciągnąć mojego pana od boku Kleopatry.

Na nieszczęście Antoniusz pił długo z królową, która już wtedy, czy przynajmniej przy tej okazji, miała mocniejszą od niego głowę. Widząc, jak mój pan chwieje się na nogach, gdy zbliżył się do niego, i słysząc, że mówi niewyraźnie, Geminiusz odezwał się w sposób, który wskazywał na godne pożałowania rozdrażnienie:

– Jedną część tego, co muszę ci powiedzieć, powinienem przekazać w bardziej trzeźwej godzinie, ale druga część jest łatwa do zrozumienia bez względu na to, czy jesteś pijany, czy trzeźwy. Italia nie chce wojować z tobą, Antoniuszu, ale propaganda Oktawiana wywołała burzę obaw i nienawiści do Kleopatry. Wojna jest oficjalnie skierowana przeciwko niej, a legiony, które nie będą walczyć z Antoniuszem, z całego serca pragną ją zniszczyć. Tak więc, jeśli odeślesz królową do Egiptu, albo nie będzie żadnej wojny, albo, co bardziej prawdopodobne, Oktawian bowiem trwa niewzruszenie przy zamiarze zniszczenia cię, osiągniesz zwycięstwo, gdyż jego legiony będą walczyć z tobą bez przekonania.

Nikt nie mógłby dać lepszej rady, i to w przyzwoitszy sposób. Warto odnotować, że Geminiusz nie powiedział ani słowa przeciwko królowej.

Podejrzliwa Kleopatra wyszła jednak za moim panem z pokoju, w którym pili, i ukryła się za kotarą, aby słyszeć, co powie Geminiusz, i zanim mój pan w jakikolwiek sposób zareagował, wybuchnęła gniewnymi oskarżeniami pod adresem uczciwego Geminiusza.

– Plugastwo! Szpieg małego potwora... przysłany, aby dzielić i podbijać... aby osłabić Antoniusza, pozbawiając go połowy jego armii... udusić go jedwabną pończochą... katamita Oktawiana...

Taki był sens jej mowy, wygłoszonej ze straszną złością, tonem żony rybaka z Pireusu.

Geminiusz, powiedziała, byłby szczęśliwy, gdyby uniknął tortur, i zrobiłby tak jedynie dlatego, że jest bez wątplenia winny. Przez cały ten czas Antoniusz stał milczący, ze zwieszoną

głową i z rękoma wstrząsanymi konwulsyjnymi skurczami. W głębi serca wiedział, że Geminiusz mówi prawdę, a jednak nie śmiał się przeciwstawić królowej. W końcu stęknął głośno, niczym ranny byk oczekujący na śmiertelny cios, i zwałił się na marmurową posadzkę w omdleniu albo raczej w pijackim otępieniu. Może zresztą szukał ucieczki przed kłopotami, świadomie pragnąc o nich zapomnieć.

Geminiusz odwrócił się i ciężkim krokiem odszedł w noc. Po chwili wymknąłem się za nim, aby dowiedzieć się, czy czegoś nie potrzebuje albo czy nie chce jeszcze czegoś powiedzieć. Popatrzył, jakby nigdy przedtem mnie nie widział.

– Jestem zaskoczony, że pozwoliła mi odejść w spokoju – powiedział.

– Mój pan otrzymał taką samą radę – rzekłem – od Ahenobarbusa, Skryboniusza Kuriona i innych.

– Smoki – odparł – wbijają swój czujny wzrok w tych, których chcą pożreć. Antoniusz został opętany. Nic tu po mnie. Myliłem się w swojej ocenie. Zapewne sam chciałem siebie oszukać.

Wkrótce potem wymknąłem się z obozu i, jak mówiono, wrócił do Rzymu. Potwierdziło to powszechne w otoczeniu królowej przekonanie, że naprawdę jest szpiegiem. Nawet Aleksas nie dał się odwieść od tego przekonania.

Inni także zaczęli uciekać. Czasami z błahych pobudek. Kwintus Deliusz, często wykorzystywany przez mojego pana w misjach dyplomatycznych, ogłosił, że Kleopatra zamierzała go zabić, tylko dlatego, że podczas kolacji pewnej nocy narzekał, iż muszą pić cierpkie wino, podczas gdy w Rzymie nawet tacy, jak Sarmentus, popijają najlepszego falerna. Kto mógłby wierzyć w taką nedorzecznosc? Ów Sarmentus, nawiasem mówiąc, był jednym z kochanków Oktawiana, czy – tak to Rzymianie nazywają – „ulubieńców”.

Jak wielu innych, Deliusz często wcześniej zmieniał barwy. Był pompejańczykiem, który zdezerterował do Cezara, następnie poplecznikiem, najpierw Dolabelli, a potem Kasjusza, porzucając i tych również, gdy ich szansę słabły. Sam w sobie nie był stratą. Ale jako zapowiedź złych wieści jego dezercja wprowadzała niepokój. Jaskółki odlatują, mówiłem sobie, gdy zbliża się surowa zima.

W Rzymie Oktawian ogłosił ostateczne zakończenie triumwiratu. W zamian za złożenie władzy senat posłusznie przyznał mu nieograniczone imperium. Wzgardził starym tytułem dyktatora. Zanadto kojarzył się z Cezarem, który, jak nadal utrzymywał, był jego ojcem. Obawiał

się tak siebie uczcić, albowiem, zdaniem wielu, właśnie objęcie przez Cezara dożywotniej dyktatury doprowadziło do jego zabójstwa. Ale w rzeczywistości uprawnienia Oktawiana dorównywały tym, którymi cieszył się i których nadużył Cezar. Z typowym dla siebie zuchwalstwem Oktawian ogłosił, że otrzymał imperium nie tylko z woli senatu, ale spontanicznie, jako oznakę zaufania, od całej Italii.

Zupełny nonsens. Italia nie miała żadnego sposobu przyznania jakiegokolwiek urzędu. Ale nikt nie odważył się zwrócić wtedy na to uwagi.

Wóz Marsa został wprowadzony w ruch – używając wyszukanego sformułowania, ulubionego przez rzymskich wierszokletów.

Wojna została formalnie wypowiedziana Kleopatrze, zagranicznemu wrogowi, a dokonano tego z całą wystawnością i ceremonią tradycyjnego rytuału, chociaż całkiem możliwe, że Oktawian wymyślił zastosowaną formę. Nie było żadnej wzmianki o moim panu.

W tajemnicy, jak mi powiedziano, Oktawian dał do zrozumienia, że chociaż jego przyjaźń z Antoniuszem skończyła się, ich nieporozumienia mają wyłącznie osobisty i prywatny charakter. Ani Rzym, ani Italia, mówił, nie toczą sporu z Antoniuszem. Ale jeśli Antoniusz w swym upodleniu nie opuści Kleopatry, jako jej kreatura stanie się ofiarą zniszczenia, które będzie udziałem tej kobiety.

Większość deklaracji wojennych jest zapewne do pewnego stopnia propagandowym oszustwem. Ale niewiele sformułowano z taką bezczelnością i nieuczciwością – ubierając prywatną niechęć w szaty cnoty publicznej.

Gdy Antoniusz dowiedział się o wypowiedzeniu wojny, z początku nie chciał w ogóle w to uwierzyć. Pokładał takie zaufanie w Oktawianie, że z goryczą pozbywał się resztek uczucia, jakie żywił wobec niego. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Oktawian naprawdę postanowił go zniszczyć.

– A ja mu ufałem – powtarzał raz po raz.

Następnie wyszedł do swej komnaty i zapłakał. Po chwili wezwał mnie i kazał mi sprowadzić swego giermka.

– Antoniusz jest nadal Antoniuszem – rzekł. – Szczeniak nauczy się, co znaczy drażnić lwa.

Potem popatrzył na morze i na szare pędzące nisko chmury.

– Pod Farsalos – odezwał się po chwili – gdy Cezar przypatrywał się ciałom pompejańczyków poległych na polu bitwy, powiedział jedynie: „Oni chcieli tej wojny, nie ja”. Krytiaszu, jeśli zginę, dopilnuj, aby świat dowiedział się o tym, że to wojna Oktawiana, a nie moja. Zrobiłem wszystko, co człowiek honoru mógł zrobić, żeby jej uniknąć.

Następnie odwrócił się, aby założyć swą zbroję.

Aleksas tej nocy powiedział mi, że królowa przyjęła wieść o wojnie z mieszaniną radości i przerażenia.

ROZDZIAŁ 25

Niedługo potem zaczęto mówić o strasznych dziwach przyrody. Wszystkie wielkie wojny były poprzedzane niezwykłymi zjawiskami. Pisaurum, kolonię założoną przez mojego pana nad Adriatykiem, nawiedziło trzęsienie ziemi. Podobno pochłonęło całe miasto i wszystkich jego mieszkańców. Następnie posąg mojego pana w Alba zaczął oblewać się potem. Bez względu na to, jak często go osuszano, pot pojawiał się znowu. Obydwa te wydarzenia, co ciekawe, miały miejsce na terytorium kontrolowanym przez Oktawiana.

Z drugiej strony, prawdą jest, że w Patras, w obecności mojego pana, w świątynię jego przodka Heraklesa uderzył piorun. Na mniejszą wiarę zasługuje natomiast pogłoska mówiąca, że posąg Dionizosa, boga, z którym mojego pana tak często i jakże słusznie porównywano, spotkało coś jeszcze dziwniejszego. Ów posąg w Atenach został porwany przez wir powietrza i przeniesiony z Gigantomachii do teatru. Wiatr obalił na ziemię inne posągi, powszechnie znane jako Antonii, te zaś stojące wokół niego pozostały nietknięte. Owe opowieści, jakkolwiek nieprawdopodobne, znalazły wielu takich, którzy w nie wierzyli.

Aleksas przyszedł do mnie z jeszcze inną historią, na której prawdziwość gotów był przysięgać.

– Jest to naprawdę niezwykle, mój drogi – rzekł. – Znasz galerę królowej, której nadała ona imię „Antonias”. Posłuchaj tylko. Jedne jaskółki zbudowały swoje gniazda na rufie, a wtedy zjawiły się inne i zmusiły je do ucieczki i – zgadnij, co się stało? – zaczęły zjadać młode ptaki. Żeglarze przysięgali, że nigdy nie widzieli czegoś podobnego, i wszyscy wpadli w panikę. Wiesz, jak są przesądni. Jeden z nich, okazały wielkolud, cały dygotał ze strachu. Musisz przyznać, że to niesamowicie dziwne.

– Co na to królowa?

– No cóż, możesz sobie wyobrazić! Jest wściekła, po prostu wściekła. Kazała wymierzyć bosmanowi czterdzieści batów, nikt nie wie dokładnie dlaczego, chyba tylko po to, żeby wprawić się w lepszy nastrój.

– Szkoda o tym wszystkim gadać – rzekłem.

– Tak, oczywiście. Ale to musi coś znaczyć, czyż nie? Czasami mnie także ogarnia strach. Mimo wszystko jesteśmy chyba skazani na zwycięstwo, prawda? Z tego, co słyszałem, nie mogę

sobie wyobrazić, aby Oktawian był godnym przeciwnikiem dla twojego wodza. Znam aż za dobrze ten typ mężczyzn, mój drogi.

– Tak – odpowiedziałem – na pewno masz rację.

Czułbym się lepiej, gdyby mój pan był jak dawniej sobą. Ale niełatwo go było nakłonić do zajmowania się obowiązkami. Od czasu do czasu budził się i okazywał charakterystyczną dla siebie energię. Ale przez zbyt wiele nocy pił do późna z Kleopatram, jej dworzanami i swoimi młodszymi oficerami, a zbyt wiele poranków leżał do późna w łóżku. Gdy wstawał, był chory z przepicia, gnuśny i wyraźnie obojętny na nieprzygotowanie jego wojsk do wojny, która była tuż-tuż.

Miał prawie pięćset dobrze uzbrojonych okrętów, zaopatrzonych w osiem albo dziesięć rzędów wiosł. To brzmi imponująco, ale rzeczywistość wyglądała o wiele gorzej. Niewiele z nich miało pełną załogę, niektóre nie miały nawet połowy. Dlatego oficerowie, zamiast poświęcać całe dnie na szkolenie, musieli jeździć po Grecji i chwycić mieszkańców wsi, aby obsadzić galery. Ogromna większość szła na okręty niechętnie. W rezultacie załogi były kiepskiej jakości. Jedni byli żebrakami albo włóczęgami, inni mulnikami, jeszcze inni zubożałymi chłopami, wielu zaledwie chłopcami. Ahenobarbus zauważył, że wyglądali jak szumowiny tego świata.

– Nieliczni, którzy zaciągnęli się dobrowolnie – rzekł – to pijacy szukający darmowego wina. Ale nawet mimo to nie udało się obsadzić wszystkich okrętów.

Braki naszej floty nadały sensu argumentacji, ku której Ahenobarbus, Sozjusz i Skryboniusz Kurion zgodnie nakłaniali Antoniusza. Że nie należy ryzykować bitwy morskiej, lecz wycofać się z bazy w Patras nad Zatoką Koryncką w głąb Grecji, a nawet do Macedonii, zmuszając tym samym Oktawiana do podjęcia marszu przez trudny teren, gdzie brakuje żywności. W ten sposób, mówili, wyczerpiemy go, zanim dojdzie do bitwy. Co więcej, skoro już zostaliśmy zepchnięci do defensywy, wykorzystajmy wszystkie korzyści, jakie stwarza wojna obronna, i walczy tam, gdzie jesteśmy najbardziej pewni zwycięstwa. Nie mam żadnej wątpliwości, że gdyby mojemu panu jak niegdyś dopisywał zdrowy rozsądek, gdyby rzeczywiście całkowicie nad sobą panował, co mu się udawało we wszystkich wcześniejszych wojnach, przyjąłby ten plan, sam by go nawet sformułował, bez rady tak wielu z jego starszych dowódców.

Ale nie był już w pełni sobą. Gdy Kleopatra usłyszała radę, którą poddano pod dyskusję, natychmiast przyszła do Antoniusza. Zapytała, czy zamierza ją opuścić i pozostawić Egipt własnemu losowi.

– Zrób to po swoim – oświadczyła. – Prowadź swą wojnę, jak uważasz za stosowne. Chociaż w moich żyłach płynie krew wielkiego Ptolemeusza, najodważniejszego i najbardziej podziwianego z wodzów Aleksandra, nie roszczę sobie pretensji do geniuszu wojskowego. Jestem tylko biedną, słabą kobietą, która ryzykuje wszystko z miłości do ciebie. Jeśli wycofasz się do Grecji, pozostawisz morze Oktawianowi. Oddasz mu Egipt, albowiem nic wtedy nie ocali mojego biednego królestwa przed jego gniewem. Będę królową jedynie z imienia, pozbawioną kraju, bogactwa i czci. Ale rób, co uważasz za najlepsze. Jesteś wodzem, a ja jedynie kochającą cię kobietą. Jednakże nawet ja widzę, że oddając swojemu przeciwnikowi morze, pozbawiasz się moich egipskich statków zbożowych, od których, jak ja to rozumiem – wybaczone, jeśli się mylę – zależy wyżywienie twojej armii.

Ten ostatni argument był mocny, ale nie miał nawet połowy tej siły przekonywania, co jej oczy pełne łez, jej drżące usta, jej udawana bladość. Gdy rzuciła się do jego stóp i chwytając go za kostki, błagała, aby jej nie opuszczał i nie wydawał na zniewagi Oktawiana – albowiem nie mogła, jak mówiła, ruszyć za moim panem do Macedonii, ponieważ obowiązek kazałby jej wrócić do bezbronnego Egiptu cóż mógł biedny człowiek zrobić? Cóż ktokolwiek inny mógłby zrobić w jego sytuacji?

Podniósł ją delikatnie, scalał jej łzy, śledząc najmniejszy ślad uśmiechu na jej ustach, i powiedział Kleopatrze, żeby nie była głupią gęsią...

– Czy potrafiłbym porzucić mojego kota? – zapytał. – Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że jestem zdolny do takiego okrucieństwa?

Kobiety naprawdę nie potrzebują logicznych argumentów, skoro mogą ronić łzy.

ROZDZIAŁ 26

Nie mam, jak się domyślacie, wielkiego pojęcia o sprawach wojny. Wprawdzie z konieczności wielką część mojego życia przeżyłem w obozach wojskowych i w ich pobliżu, nigdy jednak nie nosiłem broni. Nie mam temperamentu wojownika. Zachwycam się sztuką i jej wytworami. Dzieła sztuki zdają mi się bardziej godne podziwu niż sceny rzezi. Nie należę do tych królowych, które łakną uścisków gruboskórnego żołdactwa. Wolę subtelnego, przystojnego, szczerego młodzieńca o kobiecym usposobieniu. I, prawdę mówiąc, czuję się lepiej w towarzystwie roześmianych dziewcząt niż hałaśliwych wiarusów. Z tego powodu, chociaż obawiałem się Kleopatry, w odróżnieniu od wielu z otoczenia mojego pana, lubiłem atmosferę jej dworu. A teraz stałem się kronikarzem wojny. Jest w tym jakaś doza ironii.

Przytoczyłem już argumenty przemawiające za i przeciw kampanii italskiej. Mógłbym dodać jedynie, że mój pan sprzeciwił się jej z jeszcze jednej przyczyny. Szło nie tylko o jego niechęć do przeniesienia wojny na półwysep, ale także o to, że lądowanie na wybrzeżu Adriatyku groziło niebezpieczeństwami z powodu braku naturalnych portów. Ale ci, którzy sprzyjali planowi italskiemu, wierzyli, że uda się pokonać tę trudność. Pozostała ona jednak ważną przeszkodą strategiczną, co nawet zwolennicy owego planu musieli przyznać.

W każdym razie za późno już było, aby o tym myśleć. Stracono okazję. Musieliśmy tkwić w Grecji i oczekiwać na atak Oktawiana.

Na wiosnę mój pan przeniósł się ze swych zimowych leży nad Zatoką Korynecką i zainstalował się pod Akcjum, na południowym wybrzeżu Zatoki Ambrakijskiej. Nawet Ahenobarbus, chociaż nadal żałował formy, jaką wojna przyjmowała, przyznał, że miejsce jest wspaniałe i wybrane w godny podziwu sposób. A ponieważ było sprawą zasadniczą utrzymanie otwartych linii zaopatrzenia, łączących nas z Egiptem, okręty i żołnierzy z Korkyry na północy przeniesiono do Methone, najbardziej na południe wysuniętego punktu Peloponezu, który kontrolował szlaki morskie, prowadzące do Egiptu. Dla większego bezpieczeństwa umieszczono garnizony również na Krecie. Tymczasem główna część armii lądowej, jakieś dziewiętnaście legionów, piętnaście tysięcy oddziałów posiłkowych z Azji i dwanaście tysięcy jazdy, w tym wielu weteranów wojen partyjskiej i armeńskiej, miało swój obóz na południowym brzegu

przesmyku, który otwiera się na zatokę. Mój pan zapewniał wszystkich, że nasza pozycja jest nie do zdobycia, a „jak wiemy, młody Oktawian nie jest żadnym wodzem”. To była prawda. Jak mu jednak przypomniał Ahenobarbus, nie należało lekceważyć zdolności strategicznych i taktycznych Marka Agrypy. Ahenobarba martwiła także jakość niektórych naszych legionów. Wielokrotnie zwracał uwagę na groźne, jego zdaniem, następstwa faktu, że Antoniusz od kilku lat nie mógł prowadzić rekrutacji na terenie Italii.

Mój pan wyśmiał to.

– Nie przesadzaj – rzekł. – Góry Ilirii i Azji też rodzą dzielne serca i silne ciała. Bądź co bądź, wielu z naszych żołnierzy to dzieci żołnierzy Cezara osiedlonych w pogranicznych koloniach. Będą walczyć dzielnie, uwierz mi.

– W każdym razie są chyba dość dobrzy, aby zginąć – mruknął wcale tym nie przekonany Ahenobarbus.

Rady Kleopatry były zmienne i sprzeczne. Raz namawiała mojego pana, aby wszystkimi swoimi siłami uderzył na Oktawiana, kiedy indziej błagała go, aby utrzymał taktykę defensywną i nade wszystko chronił Egipt.

– Jak długo Egipt jest nietknięty – mówiła – zwyciężymy w końcu. Bogactwa mojego królestwa są na usługi twojej maszyny wojennej.

Aleksas powiedział mi, że prywatnie była równie zmienna.

– Jest odważna jak lwica – rzekł – a jednocześnie przerażona. Prawda polega na tym, że mimo całej swej gadaniny o wielkim przodku, wodzu Aleksandra, jest świadoma własnej ignorancji w sprawach wojny i, jak wszystkie kobiety, obawia się klęski. Ponadto pogarda, jaką publicznie wyraża dla Oktawiana, ukrywa tajemną obawę. Naprawdę zaczęła wierzyć, że on jest dziedzicem Cezara, i chociaż uwiodła Cezara, jak wiesz, zawsze obawiała się jego okrutnej i nieprzewidywalnej natury.

– Czy Kleopatra rzeczywiście kocha mojego pana?

– Ona kocha jedynie samą siebie – odparł.

Nastroje mojego pana były równie chwiejne. Zmieniał zdanie z każdym powiewem wiatru. Były takie dni, gdy – jak za dawnych lat – zdawał się znowu sobą, swoim prawdziwym sobą, kiedy to chodził wśród żołnierzy, rozdzielając słowa otuchy albo pochwały w jednym miejscu, rzucając beztrudnie i sprośne dowcipy w innym. W takie poranki krążył ze wspaniałą pewnością siebie boga, za jakiego go uważano. Słońce błyszczało na jego złotej głowie i nosił swą

pamiętającą wiele bitew zbroję z dawną buńczucznością. Gdziekolwiek się pojawiał, żołnierze wiwatowali, a wspaniałość jego postawy dodawała im otuchy. Często towarzyszył mu jego najstarszy syn Antyllus, teraz trzynastoletni młodzieniec, chłopiec o niezwykłej urodzie i wdzięku, zadziwiająco podobny do ojca, gdy był młody, i zupełnie nieprzypominający charakterem, cieszę się, że mogę to powiedzieć, swej matki Fulwii. Żołnierze radowali się, widząc go, i czerpali wiarę z jego obecności w obozie. Antoniusz, jak mówili, nigdy nie trzymałby ze sobą chłopca, którego uwielbia, gdyby nie był pewny zwycięstwa. Gdy mój pan przedstawił chłopca żołnierzom, dał do zrozumienia, że jest to jego prawdziwy dziedzic. Nawet Kleopatra, chociaż zazdrosna o wszystko, co łączyło Antoniusza z Rzymem i zdawało się usuwać ją na bok, nie mogła nie uznać zalet młodzieńca i nie czerpać przyjemności z jego towarzystwa. Mimo że szczerą i otwartą postawą Antyllusa podkreślała braki jej syna Cezariona, który, może z powodu swego wątpliwego pochodzenia, a to odcisnęło ciężkie piętno na jego umyśle, był skryty i fałszywy w postępowaniu, bojaźliwy w obecności żołnierzy i łatwo popadał w przygnębienie z powodu obaw o przyszłość. Wszystko to usłyszałem od Aleksasa, który dobrze znał chłopca i współczuł mu, chociaż dodawał, iż jest to „nędzny i ponury mały łobuz”.

Nasza sytuacja się nie poprawiła. Jej poprawa wymagałaby jakiegoś grubego błędu ze strony przeciwnika czy klęski, która dotknęłaby flotę Oktawiana. Ale nie było na to żadnych szans, tym bardziej że mój pan, schwytany w pułapkę bezczynności, tkwiąc w grzechu niezdecydowania, tak obcym jego naturze, nie mógł zmusić się do podjęcia jakiegokolwiek stanowczego kroku. To mnie zaniepokoiło. Ani ja, ani żaden z jego dowódców nie widzieliśmy nigdy, aby nie był zdolny do podjęcia decyzji.

Na wiosnę losy wojny zaczęły zwracać się przeciwko nam. Agrypa zajął port Methone na południowym krańcu Peloponezu i przerwał naszą komunikację z Egiptem. Następnie Oktawian zebrał się na odwagę i sam przerzucił swą armię przez Adriatyk. Wylądował w Epirze. Pomaszerował na południe z niezwykłą szybkością, może w nadziei, że zaskoczy mojego pana. Rzeczywiście byliśmy nieprzygotowani do odparcia ataku, ale gdy Oktawian otrzymał informacje o wielkości naszej armii, świadom, że dowodzi sam Antoniusz, krótkotrwały przypływ jego odwagi zgasł. Zrezygnował z bitwy, do której zdawał się dążyć. Założył natomiast obóz na północ od Zatoki Ambrakijskiej, na wyższym terenie, ponad drogą wiodącą do północnej Grecji.

Jeszcze gorsze miało nadejść. Agrypa, który posiadał zmysł strategiczny i kierował całą kampanią, albowiem, zdaniem mojego pana, równie dobrze znał się na wojnie, jak Oktawian nie miał o niej pojęcia, zajął wyspę Leukas, a następnie Korcyrę, Patras i Korynt, doprowadzając w ten sposób do przecięcia naszej komunikacji z Egiptem. Strategia, jaką królowa narzuciła Antoniuszowi argumentami rozumowymi bądź swymi wdziękami, straciła sens. Musieliśmy wysłać oddziały do Beocji w celu zdobycia żywności, którą, jak sobie wyobrażaliśmy, miał zapewnić nasz związek z Egiptem.

Ahenobarbus wściekał się na mojego pana. Wpadliśmy, jak mówił, w pułapkę wskutek letargu wodza i jego uzależnienia od tej kobiety. Niestety, było wiele prawdy w tym, co mówił. Próba zwabienia Oktawiana do bitwy zawiodła. Podobnie jak dwa wypadki zmierzające do odcięcia go od zaopatrzenia w wodę. Znaleźliśmy się w oblężeniu, w niegościnnym miejscu, gdy lato przyniosło falę upałów. Śmierdząca woda, którą musieliśmy się zadowolić, spowodowała, że wielu żołnierzy cierpiało na dezynterię. Szerzyła się malaria. Każdego dnia wyruszały do pracy drużyny zajmujące się grzebaniem zmarłych. Kleopatra nie odważyła się sama pokazywać rzymskim żołnierzom, którzy winili ją za swe nieszczęsne położenie.

Niemniej jednak mój pan przechadzał się odważnie wśród żołnierzy i mimo swoich prywatnych trosk okazywał pogodną twarz. Zachęciło to wielu do znoszenia cierpień bez skargi. Ale ja znałem jego prywatne troski. Widziałem, jak się krzywi na widok Kleopatry, którą w końcu uznał za główną przyczynę swego nieszczęścia. Ahenobarbus, który długo odmawiał rozmawiania z królową, a nawet nazywania jej tym tytułem, teraz błagał Antoniusza, aby wydał ją swoim wrogom i zawarł najlepszy pokój, jaki się da.

– Albowiem – rzekł – nadal nie ulega kwestii, że legiony Oktawiana nie zechcą walczyć z tobą na polu bitwy. Wiedzą, jakie zwycięstwa odniosłeś. Wielu z legionistów służyło pod twoimi rozkazami. Podziwiają cię i nie ufają swoim obecnym dowódcom. Skoro ogłosił, że wojna toczy się przeciwko tej kobiecie, jedynym sposobem na uniknięcie kłopotów, w jakie nas wpędziła, jest przekazanie jej Oktawianowi i rozpoczęcie negocjacji. W ten sposób ocalisz, bądź pewien, własną pozycję i naszą armię przed pułapką, która w przeciwnym razie z całą pewnością doprowadzi do klęski.

– Gdybym nie doceniał odwagi, która skłoniła cię, byś zwrócił się do mnie w ten sposób – odparł mój pan – i gdybym nie rozumiał, że twoja przyjaźń każe ci mówić tak otwarcie i z takim lekceważeniem dla moich uczuć, rozgniewałbym się. Twierdzisz, że jest to wojna przeciwko

królowej. Popelniasz błąd, przyjacielu. Ona jest jedynie pretekstem. Ja jestem przyczyną. Z bólem przychodzi mi to przyznać, że chłopiec Oktawian, dla którego zawsze żywiłem ciepłe, a nawet serdeczne uczucia, tak zdradziecko postanowił mnie zniszczyć, ale nie mogę już dłużej uciekać przed tą bolesną prawdą. Gdybym poszedł za twoją radą i oddał królową naszemu przeciwnikowi, utraciłbym honor, ale nie ocaliłbym ani mojego życia, ani naszej armii. Oktawian, który nadal traktuje mnie z pewnym respektem, doszedłby do wniosku, że Antoniusz przestał być Antoniuszem, i pogardzałby mną. Nie, Ahenobarbie, przywiązałem się do słupa i jak niedźwiedź muszę walczyć aż do samego końca. Nie poddam się rozpacz. Wystarczająco wiele zaznałem zmiennych losów wojny, aby wiedzieć, że żadnej bitwy nie można uznać za przegraną, dopóki pole nie jest usłane ciałami zabitych. Antoniusz nadal pozostaje Antoniuszem. Nie zmienię zdania.

Ahenobarbus westchnął i odwrócił się. Od tego momentu nadzieja zgasła w jego sercu. Gdy Antoniusz zawołał do niego, aby nie rozpaczał, lecz wypił z nim jeszcze jedną flaszkę i porozmawiał o dawnych czasach – „albowiem w naszym obecnym nieszczęściu to nam jedynie pozostało” – westchnął jeszcze raz głęboko i zgodził się. Ale zauważyłem, że podczas pijatyki, która przeciągnęła się do późnej nocy, staje się coraz bardziej posępny, jego twarz ciemnieje, i Ahenobarbus popada w milczącą melancholię.

Wkrótce nadeszły kolejne złe wieści. Mój pan, może dlatego, iż czuł, że zbyt nalegania Ahenobarba zbyt obcesowo, wysłał dwóch posłów, Marka Juniusza Silanusa i Kwintusa Deliusza, do Oktawiana, aby wy badać, czy spotkanie dwóch wodzów mogłoby przyczynić się do wynegocjowania ugody. Taki był cel ich misji. Powiedziałem to jasno, ponieważ pojawiały się potem plotki, że mój pan rzeczywiście chciał przyjąć propozycje Ahenobarba. Jestem tego całkowicie pewien, chociaż bowiem argumenty były dobre, jeśli nawet niegodziwe, nie to było przyczyną. Stanowiło to raczej świadectwo smutnego stanu morale tak wielu jego przyjaciół – nie wątpił bowiem, że Ahenobarbus mówił za wielu, a nie tylko za siebie – ale mimo wszystko skłonny był wierzyć, że można jeszcze próbować uniknąć otwartej wojny. To było wszystko. Jestem tego całkowicie pewien, albowiem sam zredagowałem instrukcje, które Silanus i Deliusz zabrali ze sobą.

Na próżno. Zdezercerowali, zanim dotarli do obozu Oktawiana. Jeden z członków ich świty, który odważnie zażądał prawa powrotu do Antoniusza, doniósł, że Deliusza widziano po raz ostatni, jak zażerał się wieprzowiną z bobem i wołał do Oktawiana, że nie ma takiego jedzenia

tam, skąd przybył. Z pewnością liczono na rujnujący wpływ, jaki opowieść ta wywrze na morale oddziałów mojego pana, i dlatego Oktawian okazał taką wielkoduszność, skądinąd nieodpowiadającą jego nikczemnej i okrutnej naturze, pozwalając posłowi, którego imienia, niestety, zapomniałem, na powrót do obozu.

Dwa dni później mój pan spróbował przerwać blokadę. Rozkazał jednemu ze swoich sprzymierzeńców, Amyntasowi, królowi Galacji, człowiekowi, który zawdzięczał nie tylko swe stanowisko, ale także i życie, łagodności mojego pana, sforsować linie Oktawiana na czele dwóch tysięcy jazdy. Zadanie było pilne, albowiem mój pan nie mógł wątpić, że zdrajca Deliusz ujawnił wszystko, co wiedział o naszych planach i projektach, i, co gorsza, także beznadziejność naszego położenia. Ale Amyntas z kolei zdradził i poprowadził swych żołnierzy prosto do obozu Oktawiana, wynegocjowawszy swoje poddanie. Bez wątpienia miał nadzieję, że w ten haniebny sposób ocali koronę. Oktawian, jak słusznie zakładał Amyntas, nie był człowiekiem, który odnosiłby się ze wstrętem do zdrady.

Stronnictwa polityczne niszczy wewnętrzna niezgoda i dezercje. Jedności działania nie da się utrzymać tam, gdzie panuje niepewność, rywalizacja, słaba wola, niezadowolenie. Wtedy rozgoryczeni i tchórzliwi znikają. Nawet najlepsi tracą wiarę, gdy gniew i siła uczucia, które mogą jeszcze przepełniać najgorszych, kierują się przeciwko ich towarzyszom gwałtowniej niż przeciwko faktycznemu wrogowi. A jeśli tak się sprawy mają w przypadku ugrupowania politycznego, o ileż bardziej jest to prawdziwe w odniesieniu do armii! Chociaż żaden ze mnie żołnierz, widziałem, czytałem i słyszałem dość o wojnie, aby wiedzieć, że o zwycięstwie lub klęsce decyduje głównie morale. Trudno prosić kogokolwiek, nawet mającego serce z żelaza, głupkowatego piechura, aby ginął za jakąś sprawę. Staje się to podwójnie trudne, gdy czuje on, że sprawa ta jest przegrana, nastraszony przez swych zwierzchników, i gdy widzi, że zdrada pełni się niczym szkodliwy chwast wszędzie wokół.

Grałem w micatio z młodym Antyllusem. Nie nastał jeszcze świt. Obudził mnie ze snu, gdyż, jak powiedział, dręczą go koszmary.

– Wszędzie była krew – mówił. – Rzeka krwi płynęła w moim kierunku. Obok mnie niesiono koguta bez głowy. Poczułem, że coś na mnie naciska, a moja głowa znalazła się pod strumieniem krwi, wciśnięty zaś w moje usta łeb koguta dusił mnie. Wtedy się obudziłem. Widzisz, wciąż cały jestem zlany potem. Co to oznacza, Krytiaszu?

Nie mogłem mu powiedzieć. Oczywiście znaczenie jego snu na jawie na szczęście stawało się mniej wyraźne. Wstałem z mojego łoża, otoczyłem go ramieniem, jedynie po to, aby uspokoić jego drzenie i odciągnąć myśli od straszego snu. Gra w micatio jest oczywiście prosta, ale służy jako przyjemna rozrywka, a właśnie tego chłopiec najbardziej potrzebował. Rozwieraliśmy więc gwałtownie palce i wykrzykiwaliśmy ich liczbę. Po chwili kolory wróciły na puszyste policzki chłopca. Niedługo wygrał też ode mnie masę pieniędzy. Nie miało to zresztą znaczenia. Monety, które wybijaliśmy dla opłacenia oddziałów, z moim panem w stroju konsula i Kleopatry wyobrażoną jako bogini, były całkowicie zepsute, sfałszowane dodatkiem bezwartościowego metalu.

– Dlaczego Oktawian postanowił zniszczyć mojego ojca? – zapytał Antyllus.

– Ponieważ – odparłem – czuje się od niego gorszy. Mój pan, a twój ojciec, przyćmiewa go.

– Nie wydaje mi się to wystarczającą przyczyną – rzekł.

– Może nie. Jeśli będziesz żył dostatecznie długo, zaczniesz rozumieć, jaką rolę odgrywa ludzka podłość.

– Czy mój ojciec jest podły?

– Nie – rzekłem, ale nie dodałem: „jedynie słaby i głupi w swym zaślepieniu”.

Przerwało nam walenie do drzwi. Wyraz niepokoju znowu pojawił się na twarzy chłopca. Wyglądził swoją tunikę na drżących udach i wstał, aby wpuścić osobę, która pukała, bez względu na to, kim jest. A był to centurion, w którym rozpoznałem weterana wyprawy partyjskiej; został w niej odznaczony za odwagę. Popatrzył na mnie z niechęcią i zażądał widzenia z wodzem.

– Śpi jeszcze – rzekłem. – Jeszcze nie świt. Czy mogę przekazać wiadomość?

– Nie – odparł – lepiej go obudź. To pilne.

Tak oto dowiedzieliśmy się, że Ahenobarbus poszedł za przykładem Silanusa i Deliusza i przeszedł na stronę nieprzyjaciela.

Wymknął się w małej łodzi pod osłoną bezksiężycowej nocy, zabierając ze sobą tylko dwóch ludzi ze swego osobistego orszaku.

Mój pan otarł sen z oczu, złożył pocałunek na jasnych lokach Antyllusa, czknął i powiedział:

– Smutne wieści. Nie trzeba było mnie budzić. Mogły poczekać.

Centurion zapytał, czy ma zarządzić pościg.

– Nie są daleko – rzekł. – To bardzo mała łódź.

– Pościg? W żadnym razie. – Antoniusz popatrzył na rozciągające się za obozem morze, szare jeszcze, ale już pokryte różowymi smugami. – Może ma kochankę w obozie Oktawiana i uciekł, aby dołączyć do niej. Krytiaszu, daj pieniądze temu centurionowi. Antyllusie, przykro mi, chłopcze, że widzisz mnie w takim stanie, gdy cała powaga uchodzi ze mnie...

(Pot z jego posągu, pomyślałem).

– Nie tak dawno temu – rzekł, częściowo zwracając się do chłopca, a częściowo, albo nawet bardziej, do siebie – królowie skakali na moje rozkazy, jak chłopcy zwoływani na polowanie na szczury. A teraz? No cóż, biedny Ahenobarbus, nie mnie pierwszego opuścił. Ale nadal jestem Antoniuszem. Krytiaszu, zwołaj na południe posiedzenie rady wojennej.

– Czy mam wezwać również królową, panie?

– Nie potrzebuje żadnych wezwań.

Przypuszczam, że historycy nazwą radę tego dnia zgubną. Dla mnie, a występowałem tam w roli sekretarza, było to żalosne, okrutne i chaotyczne. Nie dało się sporządzić z niej, jak stwierdziłem później, logicznego protokołu. Ludzie mówili jednocześnie, przerywając sobie nawzajem, bez zachowywania żadnego porządku. Mój pan rozparł się na końcu stołu, zwrócony plecami do obozu i morza, z bukłakiem wina w prawej ręce. Jego twarz była już zaczerwieniona, a głos zachrypnięty. Na twarzy królowej odczytałem okrutną satysfakcję. Antoniusz naprawdę i całkowicie należał teraz do niej. Nie był już w stanie przed nią uciec. Posępne spojrzenie przecięło zarazem jej twarz. Zagryzła wargi ze zdenerwowania. Biorąc w ten sposób mojego pana w swe posiadanie, bała się, że podpisała wyrok śmierci na samą siebie. Nie rozluźniła jednak swego zabójczego uścisku.

W końcu Kanidiusz walnął pięścią w stół i zapanowała cisza.

– Czas na czekanie minął – oznajmił. – Z każdym dniem stajemy się słabsi. Z każdym dniem wzrasta liczba dezertorów. Z każdym dniem sieć zaciska się coraz ciaśniej wokół nas. Z każdym dniem klęska staje się pewniejsza. Z tego powodu musimy bezwzględnie zacząć działać. Mamy tylko dwie drogi do wyboru, jeśli nie chcemy zgnić w tej śmierdzącej pułapce. Albo przerwiemy blokadę za pomocą floty – niebezpieczne przedsięwzięcie, gdyż nasze okręty nie mają pełnej obsady, a Agrypa dowiódł, że jest zdolnym wodzem. Ale jeśli uda się nam wyrwać, wtedy możemy wycofać się do egipskiego azylu. Ostrzegam jednak, Oktawian będzie nas ścigał zawzięcie i wykorzysta do końca swoją przewagę. Wytchnienie przed nami krótkie, a szansę na

zwycięstwo słabe. Możemy także wycofać się do Tracji i Macedonii. Mamy tam sprzymierzeńców. Dikomes, król Getów, obiecał posiłki. Oktawian będzie musiał podążyć za nami, a jeśli tak uczyni, okaże się, że się pojawią trudności z utrzymaniem kontaktu z flotą, od czego zależy jego zaopatrzenie. W swoim czasie zmusimy go, aby stawił czoło naszym siłom tam, gdzie nam będzie wygodnie. Nie ma żadnej hańby w oddaniu morza Oktawianowi, gdyż jego okręty pod wodzą Agrypy dowiodły swojej wartości na wodach sycylijskich, ale byłoby wstydem zaprzepaścić szansę, dzięki której tak wielki wódz jak ty, pod wodzą oddziałów złożonych z weteranów, może jeszcze wyrzucić nieprzyjacielowi zwycięstwo. Zdaje się szaleństwem powierzyć legiony niepewnym falom morskim. Dlatego jestem za wojną na lądzie.

Kanidiusz mógłby postawić na swoim, gdyby mój pan był trzeźwy i w pełni władz umysłowych. Ale gdy słuchał, zdawało się, że nie dociera do niego to, o czym się mówi. Od czasu do czasu cicho pojękiwał, a dwa razy wyszeptał imię Ahenobarba. Za każdym razem pociągał następnie potężny łyk wina i wzdygał się, stawiając puchar z powrotem na stole.

Widząc to, posłałem liścik Skryboniuszowi Kurionowi, o którym wiedziałem, że jest nadal oddany mojemu panu i który patrzył na niego z głębokim współczuciem. Zasugerowałem, aby wezwał do przełożenia debaty na następny dzień z pierwszego lepszego powodu, jaki tylko mógł wymyślić. Ale zanim zaczął mówić, odezwała się Kleopatra.

– No tak – rzekła – pójdz za tą radą, tą rzymską radą. Rzymianie opuszczają cię codziennie, podczas gdy Egipt trwa wiernie przy tobie. Ale pójdz za tą rzymską radą, porzuć Egipt, wydaj mnie na łaskę Cezara, albowiem dostrzegam, że w twoich rzymskich oczach jestem jedyną przyczyną twoich nieszczęść. Ucieknij do Macedonii i porzuć Egipt na... na co? Na pastwę młodego Oktawiana o oczach żmii? Rzykowałam wszystko dla ciebie, podzieliłam się z tobą wszystkim, co mam, zaufałam ci bez reszty. Ale teraz musisz robić, jak uważasz za stosowne.

Mówiąc to, zasłoniła twarz szerokim rękawem szaty i z pełnym bólem wyciem uciekła z komnaty, pozostawiając wszystkich wodzów i całą świtę w zakłopotaniu. Mój pan wypił wino i zamknął oczy.

Owego wieczoru, a może następnego, wezwał mnie do siebie, aby podyktować listy. Leżał na łożu masowany przez Nubijczyka. Czarne palce wcierały oliwę w skórę, a gdy masażysta uciskał i ugniatał opasłe ciało, odsłoniły się blizny po starych ranach. Czekałem, aż w końcu Antoniusz ruchem dłoni odprawił Nubijczyka i wstał z łoża, utuczony, ale ciągle wspaniały, i wyciągnął ręce w stronę niewolnika, który narzucił na niego szlafrok. Następnie odesłał niewolników, nalał

dwa puchary wina i podał mi jeden.

– Nie ma żadnych listów – rzekł. – Nie ma żadnych spraw.

– Jakże to możliwe, panie?

– W każdym razie żadnych, które by mnie obchodziły. Dlaczego ciągle tu jesteś, Krytiaszu?

– A gdzie miałbym być, panie?

– Tam gdzie inni uciekli. Oto złoto. Weź je i zawrzyj swój pokój z Oktawianem.

– Nie interesują go tacy jak ja. Ani mnie tacy jak on. Mylisz się co do mnie, panie. Nazywam się Krytiasz, wychowałem się w twoim domu i jestem ci oddany. Nie urodziłem się rzymskim arystokratą.

– Tak mówisz? A więc honor ma dziwnych towarzyszy.

Jednym haustem wypił wino i wziął bukłak, by napełnić znowu swój puchar.

– Niewielu pozostało takich – rzekł – z którymi mogę rozmawiać otwarcie. Może Kurion. Nieliczni inni. Jeśli zginę w bitwie, do której musi dojść, zaopiekuj się Antyllusem. Zawieź go, jeśli możesz, do Oktawii. Zaopiekuj się nim. Skoro okaże się to niemożliwe, wtedy poszukaj dla niego jakiejś dalekiej kryjówki. Może gdzieś w Grecji. Nie nadajesz się do życia w górskich jaskiniach, jak myślę, ale gdzie uznasz za stosowne.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie, ale często słyszałem, jak mówiłeś, że żadna bitwa nie jest przegrana, dopóki nie opuści się pola walki, i że dziwne rzeczy zdarzają się na wojnie.

– Dziwne rzeczy się zdarzyły – rzekł, a w jego głosie słychać było zmęczenie, jak u człowieka, który podróżował wiele mil po bezludnych miejscach. – Sześć miesięcy temu dowodziłem armią tak wspaniałą, jakiej nigdy wcześniej nie miałem. Gdy dzisiaj chodzę po obozie, żołnierze spuszczają wzrok, rozmowy cichną, a na mój widok niektórzy odwracają się tyłem. Pewien żołnierz dzisiejszego popołudnia powiedział do mnie odważnie: „Nie walcz na morzu, nie pokładaj wiary w zgniłych deskach. Pozostaw to Egipcjanom i Fenicjanom, pozwól im puszczać kaczki, jeśli zechcą. Ale ten mój miecz służył ci w trzydziestu bitwach, te stopy maszerowały z tobą od piasków Medii po lodowate góry Armenii. Te rany – rzekł, pokazując je otrzymałem, służąc pod twoimi rozkazami. Walczmy na lądzie, ramię przy ramieniu, a znów pokażemy im, co z nas za ludzie”.

– To była odważna i śmiała – rzekłem – podnosząca na duchu przemowa.

– Podnosząca na duchu? Na pewno, gdyby jego koledzy go poparli. Ale ani jeden nie krzyknął: „Dobrze mówisz, Publiuszu!”. Odwrócili jedynie głowy albo spuścili je, nie mając

odwagi spojrzeć mi w twarz. Kanidiusz ma rację. Powinniśmy wycofać się do Macedonii i tam spotkać Cezara.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby nazywał Oktawiana imieniem, które ten sobie przywłaszczył. Nie spodobało mi się, że uczynił to teraz.

– Ale nie możemy tego zrobić. Wojsko nie pomaszeruje. Od dzisiaj wiem, że nie będzie walczyć ani trwać na stanowisku, lecz ucieknie, zdezerteruje, rozpadnie się. To już nie jest wojsko, widzisz, zaledwie zbieranina żołnierzy. I dlatego nie ma żadnego wyboru. Musimy postąpić tak, jak chce królowa. Ludzie powiedzą, że ona mną kieruje, czyż nie, Krytiaszu?

– Obawiam się, że tak, panie.

– Wcale tak nie jest. To konieczność wodzi mnie za nos i ciągnie. Sześć miesięcy temu... czy kiedykolwiek się upiłeś, Krytiaszu? Nigdy nie widziałem cię pijanego, rozważny Krytiaszu. No cóż, nie mam wyboru. W winie szukam słodkiego zapomnienia. Zatrószysz się o Antyllusa, jak prosiłem. Jakie to dziwne, że teraz mam tylko kogoś takiego jak ty, komu mogę zaufać...

Rozpaczliwy komplement, niewolny od pogardy, a jednak cenilem go i nadal cenię ogromnie.

– Jeszcze jedno – powiedział następnie. – Odszukaj Kuriona – nadal mogę mu ufać, jak myślę – i powiedz, żeby dopilnował, aby dobra i skarby Ahenobarbusa zostały za nim wysłane do obozu Oktawiana. Jeśli przeprowił się w małej łodzi, musiał zostawić wiele cennych rzeczy.

ROZDZIAŁ 27

Kleopatra zwyciężyła dzięki argumentacji, jaką przedstawiła na posiedzeniu rady, czy też prywatnie, za pomocą innych środków perswazji. „Żaden z wodzów, którzy opowiadali się za opcją macedońską – jak zauważył Aleksas – nie sypiał z Antoniuszem”.

Wsiedliśmy zatem na okręty, pozostawiając Kanidiusza na czele armii lądowej. Przez trzy dni morze było zbyt wzburzone, aby mogło dojść do starcia. (Sam straszliwie cierpiałem z powodu choroby morskiej). Następnie wiatr osłabł, a w końcu zupełnie ucichł. Przez jeszcze jeden dzień nic się jednak nie wydarzyło. Jakby znajdując się na krawędzi decyzji, żaden z dowódców nie śmiał pierwszy wystawić się na ryzyko wojny.

Piątego dnia, zanim różanopalcą jutrzienka dotknęła powierzchni morza, mój pan pływał w niewielkiej łodzi wiosłowej od okrętu do okrętu. Wsiadał na każdy z nich, dodając żołnierzom odwagi, nakazując im z powodu wagi i siły naszych okrętów trwać na posterunku i walczyć równie zdecydowanie, jakby byli na lądzie. Później niektórzy zauważyli, że brakowało mu tej pogody ducha, jaką perspektywa bitwy zwykle w nim wzbudzała. Na jego twarzy rysował się smutek. Zdania, które wypowiadał, były krótkie, a nawet urywane. Jednakże zdecydowanie marynarzy i żołnierzy, a także zaufanie, które jego wizyty wyraźnie wzbudzały, dodały i jemu otuchy.

Według planu Antoniusza, nasze statki miały stać w miejscu i oczekiwać na atak lżejszych okrętów Oktawiana. Uznał to za rozsądne, gdyż między dwiema flotami znajdowała się wąska cieśnina, w której prąd płynął gwałtownie.

Gdy zbliżało się południe, powiała lekka bryza i morze się wzburzyło, a nasze okręty wbrew swej woli zostały zepchnięte w kierunku nieprzyjaciela. Ale ponieważ nie wydano żadnego rozkazu, atak był niezdecydowany. Wkrótce, na otwartym morzu, nasze okręty zostały otoczone przez lżejsze, znacznie łatwiejsze do manewrowania statki Agrypy. Nie odważyły się one jednak walczyć z bliska z powodu wagi naszych okrętów i taranującej siły ich wielkich dziobów. Skutkiem tego walka bardziej przypominała oblężenie miasta aniżeli bitwę morską. Nieprzyjaciel atakował nas lekkimi włóczniami lub oszczepami i zapalonymi głowniami, podczas gdy nasi ludzie, znajdując się wyżej, co wiązało się z większą głębokością naszych okrętów, które w tej dziwnej bitwie zdawały się przypominać wysokie wieże obleganego miasta, odpowiadali

w podobny sposób, miotając na wroga pociski z katapult.

Panowało ogólne zamieszanie i wyznaję, że sam bałem się tak bardzo, że zasłoniłem głowę płaszczem i nie mogłem przez pewien czas patrzeć na to, co się dzieje. Ale gdy spostrzegłem, że nic się nie zmienia i nie otrzymałem żadnej rany, zawstydziłem się i patrząc znowu na zamieszanie panujące wokół, poczułem się, jakbym był widzem jakiegoś dziwnego i wstrząsającego dramatu w teatrze. Nikt, jak często powtarzał mój pan, naprawdę nie zna przebiegu bitwy, wyjąwszy to, co się dzieje w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Nie może ogarnąć jej kształtu, i to właśnie z tej przyczyny wiele bitew zostało niepotrzebnie przegranych albo na odwrót – wygranych mimo przewagi nieprzyjaciela. Albowiem zdarza się coś, co dodaje odwagi lub przeraża, wywołując niedostrzegalny proces, który zachęca jednych do ataku, innych do ucieczki. Zmienia w ten sposób bieg wydarzeń, czego jednak ich uczestnicy są zupełnie nieświadomi.

Wszystko było zatem niepewne, bez składu i ładu, chaotyczne, a żadna ze stron nie wyzyskała nadarzających się okazji, gdy nagle żołnierze na pokładzie naszego statku wydali wielki ryk wściekłości, przerażenia czy strachu. Idąc za ich wzrokiem, zobaczyłem, ku mojemu zdumieniu i przerażeniu, że okręty egipskie, z okrętem flagowym Kleopatry na czele, stawiają żagle i płyną z największą, jak się da, szybkością, a była ona znaczna, albowiem wiatr wiał teraz silnie, nadymając ich żagle, podczas gdy wiosłarze wiosłowali ze wszystkich sił, uciekając na łeb na szyję z pola bitwy.

Nigdy nie wyjaśniono przyczyny ucieczki Kleopatry. Wedle mojej opinii, nie chodziło o zdradę, jak niektórzy twierdzili nawet wtedy okrzyki zdrady bowiem bywają głośne i wściekłe – była to ślepa panika, która opanowała królową.

Widząc, że ta ucieka, mój pan, aż do tej chwili z całą swoją dawną energią dowodzący bitwą, która żadną miarą nie była jeszcze przegrana, wydał rozkaz zmiany kursu i ruszył w pościg za Kleopatram, a za nim około czterdziestu okrętów z prawego skrzydła.

Jeśli idzie o mnie, odczułem rozczarowanie. Przy całej mojej ignorancji w sprawach wojskowych, wydawało mi się, że dotrzyliśmy placu i że gdyby Kleopatra rzuciła swe okręty na przeciwnika, zamiast kierować je w przeciwną stronę, walka zakończyłaby się sukcesem i zwycięstwo należałoby do nas.

Ale jej ucieczka przekreśliła szansę i przesądziła o naszej klęsce.

Później mówiono, że plan strategiczny od początku przewidywał przedarcie się. I dlatego

bitwa nie miała być uważana za porażkę, ale nawet za zwycięstwo, skoro doprowadziła do osiągnięcia wyznaczonego celu.

Z wyrazu twarzy mojego pana jednak, gdy siedział na dziobie naszego okrętu i patrzył na umykające przed nim żagle Kleopatry, wywnioskowałem, że wyjaśnienie to było fałszywe.

Wszystko mogło się skończyć tamtego dnia, gdybyśmy wytrwali i walcząc do końca, zostali pokonani. W tej zaś sytuacji mój pan mógł twierdzić, że ocalił królową, jej skarby, setkę naszych okrętów oraz ponad dwadzieścia tysięcy weteranów, którzy walczyli na pokładzie. Straciliśmy wszakże co najmniej dwadzieścia okrętów i pięć tysięcy ludzi. Zostaliśmy na dodatek zepchnięci z pozycji, w której mogliśmy nadal mieć nadzieję na wygranie wojny.

Pod wieczór dogoniliśmy okręt flagowy Kleopatry. Spuszczono małą łódź i mój pan ze swoją żoną i zaufanymi sługami został przewieziony na okręt królowej.

Poszedł prosto do jej kabiny i tam pozostał. Aż do zapadnięcia zmroku. Nikt nie wie na pewno, co zaszło między nimi. Wersję Kleopatry bezzwłocznie przekazał mi Aleksas. Ze względu na oczywistą niewiarygodność tej wersji nie zamierzam jej tu przytaczać.

Gdy mój pan wrócił na pokład, usiadł na dziobie okrętu, owinąwszy się w swój płaszcz, i pozostał tam, milczący, nie rozmawiając z nikim przez całą bezsenną noc. Nie chciał wina, a jego twarz była biała jak marmur. Niektórzy mówią, że płakał, ale nie widziałem żadnych łez i myślę, że nie był do nich zdolny.

Co więcej, przez trzy dni, zanim dotarliśmy do portu Tenarion na najbardziej wysuniętym na południe krańcu Peloponezu, nie chciał widzieć Kleopatry, która pozostała nadąsana czy przerażona w swojej kabynie i również nie chciała jeść ani pić. Przez większość czasu siedział w bezruchu. Wolę nie myśleć, nad czym się zastanawiał przez te wszystkie dni i noce.

W Tenarionie jednak otrząsnął się, może dlatego, że nie mógł się już dalej ukrywać w zapomnieniu morskiej podróży, w czasie której ani działanie, ani decyzja nie były możliwe. Suchy ląd zmusił go do ponownego zastanowienia się nad rzeczywistością. Gdy czekali tam w nadziei, że jacyś uciekinierzy z pola bitwy dołączą do nas, porzucił roztrząsanie klęski, która go pochłonęła, i przez chwilę był znowu sobą.

Ale wkrótce nadeszły wieści o nowej katastrofie. Kanidiusza pozostawiono na czele armii lądowej z rozkazami, aby po zakończeniu bitwy lądowej wycofał się do Macedonii, a stamtąd, jeśli będzie się to wydawać słuszne, do Azji i Syrii. Żołnierze jednak, widząc, że bitwa została przegrana, i zdając sobie sprawę, że Antoniusz ich opuścił, nie chcieli wykonać rozkazu. Byli

pewni, że Oktawian chętnie przyjmie ich kapitulację, albowiem sądzili, że nie ma serca do walki, i zgadywali, że aby uniknąć jej niebezpieczeństw, wynagrodzi ich hojnymi darami, a jedynie oficerów skaze na śmierć. Dlatego nie odczuwali żadnych oporów przed zasygnalizowaniem zamiaru poddania się. Sprawy potoczyły się zgodnie z ich oczekiwaniami. Kanidiusz i kilku jego wyższych oficerów, dobrze rozumiejąc nastroje żołnierzy, wymknęli się nocą i ruszyli na południe, aby poinformować mojego pana o tych wydarzeniach.

Z charakterystyczną dla siebie wspaniałomyślnością Antoniusz zwolnił wszystkich, którzy tego chcieli, z przysięgi wierności i dał im dość pieniędzy, aby zabezpieczyć ich przyszłość i umożliwić podróż do Koryntu, gdzie mogliby albo negocjować warunki kapitulacji z Oktawianem, albo uciec, gdyby to właśnie zechcieli zrobić, do odległych, barbarzyńskich krajów.

Nigdy pokonany wódz nie zachował się wielkoduszniej wobec swych stronników. W niczym nie okazał w sposób bardziej widoczny własnej wielkości.

ROZDZIAŁ 28

Gdy przybyliśmy do Egiptu, mój pan nie chciał udać się wraz z Kleopatą do pałacu królewskiego, lecz zamieszkał w domu w pobliżu Faros. Oświadczył królowej, że musi zostać sam, aby poświęcić całą energię na przygotowania, które odmienia ich los.

– Gdy jestem w twoim towarzystwie – rzekł – nie mogę mieć nadziei, że twe wdzięki nie odciągną mnie od tego koniecznego zadania.

Oczywiście nie była to prawdziwa przyczyna jego wycofania się. Kleopatra też w to nie wierzyła. Aleksas, z którym pozostawałem w stałym kontakcie – albowiem wśród innych przyczyn jego własne przerażenie i przygnębienie były teraz tak ogromne, że jedynie w moim towarzystwie i łóżku mógł zaznać jakiegokolwiek przyjemności powiedział mi, że królowa miota się między rozczulaniem się nad samą sobą a podejrzeniami co do zamiarów mojego pana. Była pewna, iż obmyśla on sposoby ocalenia siebie jej kosztem, gdyż nie mogła zapomnieć, że Oktawian wezwał całą Italię na wojnę przeciwko niej, a nie przeciwko Antoniuszowi. Oczywiście robiłem, co mogłem, aby rozwiać podejrzenia. Chociaż nie żywiłem serdecznych uczuć dla Kleopatry i uznawałem ją za złego ducha mojego pana, wiedziałem zarazem, że muszą teraz trzymać się razem. Obawiałem się ponadto, że podejrzewając mojego pana, zaczną zabiegać o względy Oktawiana, obiecując mu oddanie swego kochanka, aby ocalić własne królestwo. Sam Aleksas nie mógł ukryć przede mną, że o to rzeczywiście chodzi.

– Mój drogi – powiedziałem mu wtedy – znam Oktawiana. Od lat uważnie mu się przyglądam. Jednego możesz być pewien. Obieca wszystko, co służyć będzie jego interesom, i złamie obietnicę równie łatwo, jak łamie się gałązkę między palcami. Powiedz królowej, w jakikolwiek sposób uznasz za stosowne, że jeśli zdradzi mojego pana, mając nadzieję w ten sposób ocalić swe życie i królestwo, jedynie przyspieszy swoją własną klęskę.

– Nie mogę jej nic powiedzieć – odparł. – Nie słucha niczego, co nie jest po jej myśli.

– Oto dlaczego znajdujemy się w tym bagnie.

Przez kilka następnych dni ukrywaliśmy się w domu, który mój pan zaczął nazywać swoim Timonium, od imienia sławnego sceptyka i mizantropa, Tymona Ateńczyka, albowiem, jak powiedział, „doświadczenie nauczyło mnie, że nie mylił się w swej pogardzie dla rodzaju

ludzkiego”. Przybycie Kanidiusza dostarczyło powodów do kolejnego zmartwienia.

Armia pozostawiona w naszym obozie, gdy wsiedliśmy na okręty, najpierw nie chciała wierzyć, że mój pan nie wróci. Żołnierze chcieli go koniecznie zobaczyć i przez kilka dni pozostali głusi na słowa legionistów Oktawiana, którzy twierdzili, że ich porzucono. Gdy jednak Antoniusz się nie zjawił, zaczęli się zastanawiać nad własnym położeniem i wkrótce popadli w rozpacz. W istocie byli tak nieszczęśliwi i tak pozbawieni wiary (jak mówił Kanidiusz), że gdy on, wedle planu uzgodnionego z Antoniuszem, wydał rozkaz, aby przygotowali się do odwrotu do Macedonii, otwarcie odmówili. Co rozpoczęło się jako bierny bunt, rychło się przekształciło w czynny, a Kanidiusz zrozumiał, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Uciekł więc z obozu pod osłoną nocy i z wielkimi trudnościami przedostał się do Aleksandrii.

Jeśli idzie o mnie, nie sądziłem, aby Kanidiusz zachował się dobrze albo przynajmniej w sposób odpowiadający jego wysokiej reputacji jako wodza. Ale mój pan był zbyt wielkoduszny, aby czynić mu wyrzuty. Zamiast tego przycisnął go do siebie i ucałował jego posiwiałe skronie.

Gdy Kanidiusz błagał, aby pozwolono mu odejść, gdyż jest zupełnie wyczerpany, i uzyskał zgodę, mój pan zwrócił się do mnie i rzekł:

– Dlaczego jesteś tak zdumiony, Krytiaszu? Co chciałbyś, abym uczynił? Zbeształ albo ukarał go za to, że miał nieszczęście działać w ten sam sposób, co ja? Uważam siebie za szczęśliwego, że mam tak godnego towarzysza w niesławie.

Wkrótce też zaczął dyktować mi tę opowieść, którą wskutek zbiegu okoliczności sam musiałem doprowadzić do nieszczęśliwego zakończenia.

W ciągu kilku tygodni przez większość dnia nie był zdolny do działania. Dyktował trochę, czasami tę opowieść, czasami pilne i pełne bóleści listy do ludzi, którzy mogli nadać, na co liczył, służyć mu jakąś pomocą. Ale ta nadzieja tliła się słabo, chociaż język listów był często mocny, przynajmniej w formie, jaką ostatecznie im nadawałem. Jednak nawet gdy pisałem, wiedziałem, że apele są daremne. Antoniusz stracił zupełnie autorytet, tak że nawet ludzie odznaczający się męstwem – sami tak o sobie sądząc albo przez innych za takich uważani – nie znajdowali żadnego powodu, aby odpowiadać na jego listy. Wśród tych, do których kierował te apele, wielu było mężów stanu niezdolnych do przyjęcia jakiegokolwiek linii postępowania z wyjątkiem tej, która leżała w ich interesie. Mój pan był zachodzącym słońcem, a oni kierowali swój wzrok

w stronę wschodzącego Feba, którym był Oktawian. Nadchodziły do nas złe wieści. Stronnictwo Antoniusza przestało istnieć. Jeden przykład niech wystarczy za wiele. Herod z Judei wszystko zawdzięczał łasce mojego pana, bez której nie byłby groźniejszy niż karaluch. Jeśli jacykolwiek królowie i książęta Wschodu mieli zobowiązania wobec mojego pana, właśnie Herod do nich należał. Ale gdy tylko usłyszał o klęsce pod Akcjum, przygotował się do przekazania swoich legionów Oktawianowi.

Mój pan zbył wieści niedbałym machnięciem ręki.

– Herod? – rzekł. – Rzymianie mnie opuścili, a Żyd miałby być lojalny?

Kleopatra jednak, lepiej niż mój pan rozumiejąc podłość Heroda, wierzyła, że nie jest on jeszcze całkowicie stracony dla ich sprawy. Z tego też powodu postanowiła wysłać do niego poselstwo, wiozące skarby, z obietnicą, że otrzyma jeszcze większe, jeśli wytrwa przy człowieku, który go wykreował, i zawrze przymierze z Egiptem. Gdy dowiedziałem się, że wybrała mojego drogiego Aleksasa, mając na uwadze jego urok osobisty i powszechnie znane zepsucie Heroda, aby stanął na czele poselstwa, błagałem go ze łzami w oczach, żeby znalazł jakiś sposób na wymiganie się od tego beznadziejnego i niebezpiecznego zadania. Ale oczywiście nie mógł nie usłuchać królowej, która z pewnością kazałaby go zabić, gdyby jej się sprzeciwił. Wyruszył więc, a wszystko potoczyło się zgodnie z moimi obawami. Herod przyjął go uprzejmie, wziął skarb, rozkoszował się nim, następnie, ulegając żądzy, zgwałcił Aleksasa, po czym zakuł go w kajdany i przekazał Oktawianowi jako dowód swego oddania. Nigdy nie zobaczyłem już mojego kochanego przyjaciela i myślę, że poniósł okrutną śmierć.

Mój pan tymczasem, nie wiedząc o próbie Kleopatry ponownego przeciągnięcia Heroda na ich stronę – albowiem nie widziałem powodu, aby uspokajać go fałszywymi nadziejami przez informowanie go o tym, czym Aleksas podzielił się ze mną – pogrążył się jeszcze bardziej w rozpacz. Całymi dniami znajdował jedyną pociechę w kielichu. Nie potrafiłem go za to winić, chociaż nie podzielałem jego upodobania. Całymi latami uciekał się do wina, aby wzmocnić swą ocenę chwili. Stanowiło to przyczynę jego wylewności. Obecnie pił, aby przytłumić świadomość i znaleźć zapomnienie. Przez większość dni znajdował je pod wieczór, ale potem czuwał w nocy, zmuszony czołgać się z otwartymi oczami przez jałowe godziny przed świtem. Czasami wzywał mnie wtedy, szukając przywrócenia zaufania albo jakichkolwiek słów pociechy, jakie mogłem wydobyć ze swego umysłu, choć wiedziałem, że nie ma już żadnej nadziei.

Zazwyczaj koło południa, gdy wypił nie więcej niż pół kwarty gęstego czerwonego

cypryjskiego wina, patrzył na morze, grupując w swej wyobraźni floty i armie. Następowala godzina gorączkowej nadziei. Wzywał legiony z odległych prowincji, zawierał nowe przymierza, wysyłał pilne listy do wodzów, którzy już nie znajdowali się w miejscach, w których mogliby je otrzymać. Na chwilę odżywała nadzieja, a z nią determinacja. Kilkakrotnie żądał swej zbroi i pozwalał ubierać się w szaty imperatora, którym – krótko – wierzył, że jest nadal. Wtedy układał rozkazy, zwoływał radę wojenną albo snuł plany odwiedzenia Kleopatry i stawienia oporu Oktawianowi.

– Egipt – mówił – jest potężną twierdzą, z której niełatwo będzie nas wyrzucić. Gdy młody Oktawian pozna siłę naszych fortyfikacji, będzie gotów do negocjacji. Wiesz, Krytiaszu, jak często spotykaliśmy razem Oktawiana, a ja zawsze znajdowałem rozwiązania kompromisowe, gdy miłość, jaką odczuwamy dla siebie nawzajem, znowu rozkwitała.

Owe przyipywy nadziei, które nie miały innej przyczyny niż samooszukiwanie się, sprawiały mi ogromny ból. Cóż jednak mogłem zrobić innego niż karmić jego fantazje? Wiedziałem, że nic go już nie jest w stanie ocalić. A jednak wszelkie działanie zdawało się lepsze niż otępienie, w jakie rychło ponownie popadał.

Ale gdy rydwan Apollina Feba przeszedł zenit, duch oporu uchodził z mego pana, ustępując litowaniu się nad samym sobą. Antoniusz zachował dość godności, aby oszczędzić Kleopatrze w swych wyrzutach. Chociaż w głębi serca wiedział, że jest jego niszczycielką i że – cokolwiek czuł do niej, zmienną i niepewną miłość albo pożądanie – stała się najważniejszą przyczyną jego ruiny, to jednak uważał, że wyznanie tego ubliżyłoby mu, podobnie jak rozpacz z powodu namiętności, przez którą stał się gorszy, niż był. W rzadkich okazjach, gdy wspominał o królowej, nadal czepiał się wymówki, która ożywiała jego rozmowy i korespondencję z Oktawianem, że jego sojusz z Kleopatram opierał się na zrozumieniu realiów politycznych. Tak więc nawet w swym smutku i upodleniu zachował zdolność udawania, że jest racjonalnie myślącą istotą, panującą nad swoim przeznaczeniem. Zapewne przynosiło mu to pewną pociechę. Jakże rzadko ludzie potrafią przyznać się do przywar, które ich niszczą!

Wielka część jego ostatnich rozmów była poświęcona Oktawianowi. Najbardziej zdumiewała go zdradzieckość młodego człowieka.

– Nigdy nie dałem mu powodu, aby się mnie obawiał – powtarzał raz po raz. – Nigdy nie złamałem danego mu słowa ani zawartej z nim umowy. Zawsze traktowałem go jak kolegę, równego mi pod względem autorytetu i władzy, i wierzyłem, że razem pracujemy nad

utrzymaniem imperium rzymskiego. Dlaczego więc, dlaczego, obrócił się przeciwko mnie?

Gdy porównywał dawną sławę ze swym obecnym położeniem, łzy popłynęły mu z oczu, a jego wzrok spoczywał na bezlitosnym bezmiarze oceanu, dopóki nie zapadła ciemność.

W owym czasie spędziłem wiele godzin z młodym Antyllusem, którego starałem się osłonić przed zaniechaniem ze strony jego ojca. Ale chłopiec był zbyt inteligentny, aby dało się go oszukać. Zdawał sobie sprawę, że jego życiu również zagraża niebezpieczeństwo. Wielokrotnie wyrażał żal, że nie pozostał w Rzymie, w domu Oktawii, wiedział bowiem, że ochroniłaby go. Mówił także z goryczą o porzuceniu przez swego ojca Oktawii, gdyż dobrze rozumiał, że to właśnie przyspieszyło katastrofę. Starałem się go przekonać, że bez względu na to, jaką politykę wybrałby mój pan, Oktawian nie odstąpiłby od zamiaru zniszczenia go. W odpowiedzi Antyllus stwierdził, że Oktawia nigdy nie pozwoliłaby bratu wyruszyć przeciwko swojemu mężowi, gdyby pozostał jej wierny. I nie potrafiłem spierać się z nim, jako że podejrzewałem, iż chłopiec może mieć rację.

Mimo wszystko Antyllus kochał mojego pana i zrobiłby, co w jego mocy, aby mu ulżyć w nieszczęściu.

ROZDZIAŁ 29

W końcu mój pan otrząsnął się.

– Jeśli nawet wszystko jest stracone – rzekł – zachowujmy się tak, jakby wiele można było jeszcze uratować. Antoniusz jest znowu sobą.

Przemiana zdawała się naprawdę zadziwiająca. Jeszcze wczoraj był rozedrganym, niedołącznym człowiekiem, zniszczonym przez litość dla samego siebie, grubym, siwowłosym, z twarzą noszącą ślady łez i przekrwionymi oczyma. A teraz udał się do łaźni i wrócił odmieniony, wyprostowany, a w jego głosie i spojrzeniu słychać było zdecydowanie.

– Krytiaszu – powiedział – cierpliwie znosiłeś moje grymasy. Teraz dam ci wspaniałe zakończenie do pamiętników, które układasz. Albo, jeśli bogowie obdarzą nas życzliwością raz jeszcze, okaże się, że masz nowe i wspanialsze rozdziały do napisania.

Mówiąc to, ubrał się w purpurę, i kazał sprowadzić rydwan, aby pojechać do Kleopatry i na dwór. Albowiem postanowił, jak mi się wydawało, że w swych ostatnich dniach da światu powód, aby zapamiętał go takim, jakim był w swych najlepszych chwilach, a niejako kogoś złamanego przez zdradę i klęskę. Zostawi, bez względu na to, co się stanie, imię, które świat będzie podziwiał. Aby potomność mogła powiedzieć: „To był wielki człowiek”.

I chociaż ta zuchowatość raniła mnie jeszcze boleśniej niż jego poprzednie przygnębienie, dobrze bowiem rozumiałem, jak wiele go to kosztuje, jednak powitałem odmianę z uśmiechem, dając do zrozumienia, że nadal wierzę w geniusz i gwiazdę, która go prowadzi.

Mam nadzieję, że nikt nie weźmie mi za złe ani nie pomyśli o mnie gorzej, jeśli wyznam, że począwszy od tego dnia, układałem plany mające mi umożliwić ucieczkę z Egiptu, gdy będzie po wszystkim, aby móc zabrać ze sobą tę kronikę kariery mojego pana i tyle pieniędzy, ile mi się należy albo ile bezpiecznie będę mógł zabrać.

Zawiadomiono królową, aby oczekiwała na mojego pana. Gdy wszedł do pałacu, siedziała na królewskim tronie w wielkiej galerii, która z jednej strony otwiera się na morze. Z taką gracją, na jaką potrafiła się zdobyć, wstała, aby go powitać. Objęli się na oczach wszystkich, uronili kilka łez, wygłosili krótkie przemowy i następnie udali się do jej komnaty.

Gdy z niej wyszli, mój pan oświadczył, że od tej pory ich stare stowarzyszenie „niezrównanych amatorów rozkoszy” powinno zmienić nazwę na „towarzyszy w sławnej

śmierci”. Albowiem, rzekł, jeśli mamy zginąć, odejźmy z wrodzoną nam świetnością, a jeśli nie, oszukajmy śmierć, patrząc jej w oczy, bez strachu czy złych przeczuć.

Wtedy obdarzył zgromadzonych uśmiechem, jaki tylko bogowie mogą ofiarować. Wszyscy zauważyli, że wrócił do nich, wrócił naprawdę do życia, w stroju Dionizosa.

Tamtej nocy wydali wielką ucztę, a zabawa trwała przez następnych siedem dni.

Jakkolwiek wielu na koniec ogarnęło zmęczenie, wszyscy odczuli mimo wszystko ulgę. Wola walki, którą okazywał Antoniusz, zmniejszyła napięcie, w jakim trwali od Akcjum. Właśnie wtedy nadeszła wieść, że Oktawian, wyruszywszy ze swą armią przez Syrię i Judeę, gdzie Herod płaszczył się u jego stóp i dostarczył mu hojnych zapasów, zajął najbardziej na wschód wysunięty port egipski Peluzjum, który poddał się tak łatwo, iż zaczęto mówić o zdradzie. Niektórzy sugerowali, że Kleopatra wydała dowódcy garnizonu rozkaz poddania się bez walki, albowiem ciągle miała nadzieję, że porzuciwszy mojego pana, mogłaby negocjować odrębny pokój z Oktawianem.

Nie mogę powiedzieć, czy to była prawda, odkąd bowiem straciłem mojego drogiego Aleksasa, nie miałem już sposobu, aby poznać tajemne myśli królowej czy też jej doradców.

Nie wątpię natomiast, że Kleopatra żywiła taką nadzieję. Jakkolwiek ceniła, czy ceniła była, mojego pana, jeszcze bardziej ceniła sobie własne królestwo i własne życie. A jednak kochała go w pewien sposób, o ile w ogóle była zdolna do miłości. Ale siebie kochała znacznie bardziej.

Sam Antoniusz otwarcie radził jej, aby go porzuciła i dogadała się z Oktawianem. Stanowi to miarę jego miłości i szlachetności. Napisał nawet do Oktawiana, proponując mu, że wycofa się z życia publicznego i osiadzie w Atenach, aby żyć tam jako osoba prywatna, jeśli Oktawian obieca zachować Egipt dla Kleopatry i jej dzieci. „W ten sposób unikniesz niepewnych niebezpieczeństw bitwy – pisał – albowiem wiesz, że gdy do niej dochodzi, jedynie od bogów zależy wynik”.

Były to tylko puste słowa. Nigdy nie sądziłem, by istniała jakakolwiek szansa wywarcia wpływu na Oktawiana. Moim zdaniem, wiedział dobrze, że przewaga w liczbie żołnierzy i zaopatrzeniu jest tym, co decyduje o wyniku bitwy. I nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować z tej przewagi. Ponadto od urodzenia był podejrzliwy i nie mógł, jestem pewien, uwierzyć, aby mój pan potrafił żyć jako osoba prywatna – czy też, że inni mu na to pozwolą. Zresztą teraz Oktawian był psem bojowym z zębami zaciśniętymi na gardle swego rywala.

Mimo to, ze swą zwykłą rozważą, nie odrzucił natychmiast propozycji mojego pana. Wysłał

natomiast posła do królowej. A uczynił tak dlatego, że – jakkolwiek pewny był zwycięstwa – w głębi serca zdawał sobie sprawę ze swej niższości wobec Antoniusza i obawiał się, że ryzyko bitwy może to ujawnić i obrócić się przeciwko niemu. I nic z całą pewnością nie świadczy lepiej o wielkości mojego pana niż wahania jego przeciwnika.

Przez chwilę Oktawian schlebiał więc Kleopatrze i zapewniał ją, że może oczekiwać wszelkiej łaski od niego, pod warunkiem, że wypędzi Antoniusza ze swego królestwa. Początkowo mu wierzyła i pozwoliła się przekonać, że jej sprawa nie jest jeszcze stracona, chociaż Antoniusza tak. Odpowiedziała zatem, że jest głęboko świadoma wielkoduszności Oktawiana i ma nadzieję, iż pozwoli jej na wspólne z synem Cezarionem sprawowanie władzy w Egipcie. „Jestem jedynie słabą kobietą – powiedziała podobno – która zbłądziła, i potrzebuję pomocy mojego syna, jeśli Egipt ma być dobrze rządzony i okazać się godnym sojusznikiem narodu rzymskiego i jego imperatora Oktawiana Cezara”.

Są tacy, którzy mówią, że gdy mój pan dowiedział się o tym, co zaszło, rozgniewał się i zagroził, że każe wychłostać posła Oktawiana. Potem jego wściekłość obróciła się przeciwko królowej i ostrzegł ją, że jeśli go porzuci, on sam popełni samobójstwo, ale i ją zabierze ze sobą do krainy cieni.

Absurdalności owej historii dowodzi fakt, że sam zaproponował królowej ten kierunek negocjacji. Z drugiej jednak strony, chociaż rozsądek kazał mu przekonywać ją do podjęcia takiej próby, zraniła go szybkość, z jaką zastosowała się do jego rady. Czyż mogła go nie zranić świadomość, że była gotowa go porzucić, aby ocalić siebie samą? Jego ból złagodziły zapewnienia, że uczyniła tak tylko dlatego, iż on jej to poradził, a także dlatego, że wierzyła, iż jest to jedyny sposób, który również jemu pozwoliłby uniknąć zemsty Oktawiana.

– Jeśli będziesz mógł wycofać się do Aten i żyć tam, jak chciałeś, jako osoba prywatna – rzekła – a Cezarion i ja nadal będziemy rządzić Egiptem, kto wie, co kolejny obrót koła fortuny nam przyniesie? Klęska nigdy nie jest całkowita, tak długo, jak długo oboje pozostajemy wolni.

Wierzył w to, albo postanowił wierzyć, gdyż chciał tego, a także dlatego, że wypowiadając te słowa, pocałowała go w usta. A on nie znalazł smaku zdrady w jej pocałunku.

Młody Cezarion położył jednak kres tym negocjacjom. Nigdy, w odróżnieniu od Antyllusa, nie robił na mnie dobrego wrażenia. Był chudy, niski jak na swój wiek, niezwykle kościsty, bojaźliwy i skryty. Miał cienkie usta, zakrzywiony nos i lekkiego zeza.

Ale teraz przemówił odważnie.

– Zawsze zapewniałaś mnie, że jestem synem Cezara – rzekł – do czego rości sobie pretensje Oktawian. Jeśli tak jest, wykluczone, aby dotrzymał słowa i pozwolił mi żyć. Moim zdaniem, próbuje jedynie oderwać cię od Antoniusza, aby zniszczyć nas tym łatwiej i ostatecznie. Wolałbym raczej włożyć rękę do gniazda węża niż zaufać słowom Oktawiana. Wprawdzie nasza sytuacja jest rzeczywiście rozpaczliwa, ale uważam, że nie mamy żadnego innego wyjścia niż spróbować szczęścia w bitwie.

Mojego pana głęboko poruszyły te słowa. Obejmując Cezariona, wykrzyknął, że tak mógłby mówić jego ojciec Cezar.

Wszystkich przekonała nieubłagana logika słów chłopca, nawet Kleopatrze, chociaż nie straciła jeszcze nadziei, że może nadal coś da się ocalić. Właśnie wtedy kazała zgromadzić cały swój skarb – cenne kruszce, klejnoty, kość słoniową, heban i korzenie – i przenieść do mauzoleum, jakie zbudowała w pobliżu grobowców Ptolemeusza. Sądziła bowiem, że zachowując w swym posiadaniu tak wielkie bogactwa, nadal będzie mogła układać się ze zwycięzcą.

Owego dnia Cezariona dopuszczono do efebii, a Antyllus otrzymał toga virilis. Antoniusz uznał bowiem, że skoro obaj zachowywali się w sposób godny prawdziwych mężów, zasłużyli na to, aby traktować ich jak dorosłych.

Straż przednia Oktawiana zbliżała się wówczas do najdalej położonych przedmieść Aleksandrii, a on sam rozbił obóz w pobliżu hipodromu, czyli torów wyścigowych.

– Nadeszła właściwa chwila! – krzyknął mój pan, gdy doniesiono mu o tym.

I w ostatnim dniu miesiąca Cezara poprowadził wojska, które udało mu się zebrać, przeciwko nieprzyjacielowi. Wzdłuż wybrzeża ustawiono czterdzieści okrętów, a on maszerował na czele jakichś dwudziestu trzech legionów, jednych rzymskich, innych wschodnich, przeciwko Oktawianowi.

Decyzja o zagrożeniu flanki Oktawiana od strony morza okazała się błędna, albowiem okręty, gdy tylko wypuszczono je z portu, odpłynęły do Oktawiana i skapitulowały przed nim. Potem piechota nie chciała walczyć. Jedni zdezerterowali, a inni uciekli. Jedynie mała część wojska wycofała się w należyтым porządku. Chociaż więc mój pan na czele jazdy rozpędził oddziały, które stały naprzeciwko niego, nic ważnego nie zyskano.

On sam wrócił do pałacu i objął Kleopatrze, jakby rzeczywiście zwyciężył. Ale uczynił tak

jedynie dlatego, że wiedział, iż widok zniechęcenia oznaczałby ostateczną ruinę ich sprawy. Królowa ku jego zadowoleniu pomieszane ze smutkiem, dała się zwieść tym resztkom animuszu i na chwilę szczerze uwierzyła, że Antoniusz pokonał Oktawiana.

Ale on dobrze sobie zdawał sprawę z beznadziejności sytuacji. Jego następny ruch pokazuje desperację, do jakiej został doprowadzony. Rozkazał mi ułożyć list, w którym wyzywał Oktawiana na pojedynek. Pisałem ów list z najwyższą niechęcią, albowiem wiedziałem, że Oktawian przyjmie propozycję z pogardą, jako ostatni rzut kości hazardzisty. I rzeczywiście odpowiedź była obcesowa. „Antoniusz napisał Oktawian – może wybierać pomiędzy wieloma innymi sposobami zakończenia swego życia”.

Przez jakiś czas nie miałem odwagi przekazać wiadomości mojemu panu i udawałem, że odpowiedź nie nadeszła. Gdy jednak wypytywałem innych i zapewniano go, że jego rywal nadesłał odpowiedź, złażał mnie uprzejmie acz złośliwie i zapytał, czy przypuszczam, że nie jest już na tyle mężczyzną, aby nie móc wysłuchać złych wieści.

Nie sądzę, aby choć przez chwilę uważał, że Oktawian przyjmie wyzwanie. Znał chłopca zbyt dobrze i nie mógł sobie wyobrazić, aby przybyło mu odwagi, której zresztą nigdy nie miał. Ponadto jedynie głupiec zaryzykowałby przegraną w grze, w której ma zwycięstwo w garści, a Oktawian był równie uszczypliwy, jak przebiegły.

Owego wieczoru, postanowiwszy postawić wszystko na jedną kartę i stoczyć bitwę nazajutrz, mój pan rozkazał przygotować wielką ucztę.

– Zwołaj moich smutnych kapitanów – polecił. – Przeżyjmy jeszcze jedną wspaniałą noc. Cokolwiek jutro ma nam przynieść, i bez względu na to, jaki bogowie los wyznaczą, Antoniusz jest ciągle Antoniuszem.

Gdy zebrali się już i rozkoszowali takimi przysmakami, jakie były jeszcze dostępne – homarem, koźlęciem i sałatką, jeśli dobrze pamiętam – a wszyscy wypili sporo najlepszego wina, mój pan wstał i przemówił następująco:

– Dzisiejszej nocy – powiedział – pozostajemy panami naszego losu. Jutro wy, moi słudzy, może będziecie należeć do innego pana, podczas gdy ja będę leżał wyciągnięty na piasku, bez znaczenia dla kogokolwiek prócz żarłocznych ptaków.

Wielu płakało, słuchając jego słów, a on, spostrzegłszy to, próbował uderzyć w bardziej pogodną nutę, zapewniając ich, że nigdy nie podda się rozpacz, a jego nadzieje na chwalebne zwycięstwo są co najmniej takie same, jak nadzieje na honorową śmierć.

Ale zatrzymał się nad słowami „honorowa śmierć” ze szczerością, której nie było słyhać, gdy wspominał o zwycięstwie. Wszyscy czuli, że uczestniczą w stypie...

W końcu towarzystwo rozeszło się, a Antoniusz pożegnał je serdecznymi słowami, łzami, pocałunkami, a także podarunkami.

Odprowadziłem go do komnaty, gdzie rozebrał się i zażądał wina oraz muzyki.

– Albowiem – rzekł – chciałbym, aby mój sen tej nocy, która może być ostatnią nocą mojego życia, był spokojny.

Siedziałem przy nim, dopóki drzemka nie wybawiła go od lęku, i spał tak spokojnie, jak małe dziecko. Zauważyłem, że zmarszczki smutku i zmartwienia zniknęły z jego twarzy, posiwiwały weteran zaś odzyskał swe młodzieńcze piękno.

Podobno w najciemniejszej godzinie nocy, gdy w mieście zapanowała cisza, słyszano na ulicach upiorną muzykę, a towarzyszyły jej pieśni pochwalne, jakie wierni kierują do Dionizosa. Potem muzyka i okrzyki ucichły; w końcu jedynie słabe odgłosy dochodziły z piasków poza miastem. Ci, którzy twierdzą, że słyszeli tę muzykę, mówią, że to bóg ostatecznie opuszczał Antoniusza, którego tak wielu czciło jako jego wcielenie.

Ale, jeśli o mnie chodzi, nie słyszałem żadnej muzyki i sądzę, że opowieści te rozpuszczali agenci Oktawiana. Poza tym, jako racjonalnie myślący Grek, zawsze wierzyłem, że bogowie są obojętni wobec czynów i losów ludzi. Opowieści, które sugerują co innego, są dla dzieci i należą do młodości świata, który już minął. W każdym razie dobrze rozumiałem, że Antoniusza dawno już opuściła Fortuna, jedyne bóstwo, które na pewno się liczy.

Rankiem nie wyruszyłem z nim na pole bitwy, lecz zająłem się prywatnymi sprawami, w tym opracowaniem planu, który pozwoliłby ocalić młodego Antyllusa przed zemstą zwycięzcy. Nie wstydzę się też wyznać, że zawczasu poczyniłem przygotowania dotyczące mojego własnego bezpieczeństwa.

Do bitwy w ogóle nie doszło. Oddziały mojego pana zupełnie straciły ochotę do walki, widząc potężną armię, którą Oktawian, a raczej jego wodzowie, ustawił przeciwko nim. Większość natychmiast zasygnalizowała gotowość poddania się i chociaż mój pan poprowadził niewielki oddział jazdy na wroga, został szybko i sromotnie rozgromiony.

Nie minęło jeszcze południe, gdy mój pan wrócił do pałacu. Jego twarz powiedziała mi

najgorsze. Ktoś, usiłując pobudzić go do działania, doniósł, że oddziały zdezerterowały na rozkaz Kleopatry, która nadal próbowała zawrzeć osobny pokój z Oktawianem.

Przez chwilę stał, przerażony jak jego przodek Herakles, gdy wroga mu Hera nasłała na niego Lysse, znaną również jako Szaleństwo, która popchnęła go do zamordowania własnych dzieci. Zachwiał się, niby wysokie drzewo pod podmuchem zimowego wiatru, i upadłby, gdybym nie ruszył mu na pomoc. Następnie wydał potężny krzyk wściekłości i rozpacz, który poniósł się naokoło niemal opustoszałego pałacu. A po chwili milczenia zaczął wyrzucać z siebie potok słów, przeklinając królową, która sprowadziła go na manowce i przywiodła do zguby.

Mówił niezwykle chaotycznie, ale nie wątpiłem, że pamięta, jak Ahenobarbus i inni nakłaniali go do odprawienia Kleopatry z obozu, aby Oktawian nie mógł skupić wokół siebie całej Italii na wojnę przeciwko cudzoziemskiej kobiecie. I jak on, Antoniusz, się im przeciwstawił, nie chcąc uwierzyć, że kobieta, którą szczerze kocha, potrafiłaby mu wyrządzić jakąkolwiek krzywdę. W chwili rozpacz zrozumiał, co inni od dawna wiedzieli, że Oktawian nie mógł nigdy przeprowadzić zwycięskiej wojny przeciwko niemu samemu, że bez Kleopatry nie miałby wystarczającego pretekstu do wojny, że gdyby on pozostał wierny Oktawii, nie doszłoby do otwartego konfliktu między nim, jej mężem, i bratem.

Wszystkie te myśli, żale, przewiny własne i innych wyrzuciał wtedy jego udręczony umysł. Nikt, kto kochał Antoniusza, nie mógłby patrzeć na jego smutny stan, nie dzieląc z tym człowiekiem smutku i bólu.

Wtedy posłaniec przyniósł wiadomość, że królowa, woląc śmierć niż niesławę, pchnęła się nożem. Antoniusz, zawstydzony oskarżeniami, jakie chwilę wcześniej kierował pod jej adresem, rozplakał się i głośno wychwalał jej cnoty.

– Czymże jest teraz moje życie – mówił – gdy jedyna istota, która miała dla mnie znaczenie, odeszła? Dlaczego waham się podążać za nią do grobu?

Po czym odwrócił się do mnie, wręczył miecz i kazał mi się zabić.

Ale nie mogłem tego zrobić.

Wezwał więc Erosa, swego giermka, i wydał mu ten sam rozkaz.

Eros wziął miecz, ale zawahał się, gdy spojrzał na Antoniusza.

– Nie mogę, panie – rzekł i skierował miecz przeciwko sobie, rzucił się na niego, tak że wszedł on głęboko w jego brzuch. Eros upadł na marmur, a jego wnętrzności wylały się na zewnątrz.

Antoniusz zwrócił się do mnie:

– Krytiaszu, czy możesz mi odmówić?

Nie potrafiłem zrobić tego, czego ode mnie żądał.

– Jeśli Kleopatra mogła, dlaczego ja nie mogę? – rzekł i patrząc na Erosa, dodał: – Dzielny chłopcze, wskazałeś mi drogę.

Przez chwilę myślałem jeszcze o tym, aby powstrzymać Antoniusza, albowiem nie mogłem go sobie wyobrazić martwego. Ale zrezygnowałem. Na tej ziemi nic już dla niego nie pozostało...

Z uśmiechem, który przypominał jego najlepsze chwile, wyciągnął sztylet z pochwy i zatopił go w swych wnętrznościach. Potem upadł na łożo. Z ust popłynęła mu krew.

Ukląknąłem przy nim i trzymałem jego rękę, czekając, aż umrze. Nie mogłem znieść myśli, że miałby to uczynić samotnie. Trwaliśmy tak przez długi czas. Nie mógł mówić. A ja bałem się, aby żołnierze Oktawiana nie weszli do pałacu i nie znaleźli mnie. Gdy usłyszałem szybkie kroki zbliżające się w biegu, zmoczyłem się, ale nadal trzymałem rękę mojego pana.

Człowiekiem jednak, który wszedł, był Diomedes, sekretarz Kleopatry. Zażądał w jej imieniu, aby mój pan dołączył do niej w monumencie.

Do dziś nie wiem, czy wieść o jej śmierci była zwykłą plotką, czy też było to kłamstwo, które sama rozpuściła, ponieważ na nic już nie mogła liczyć ze strony mojego pana. Jej zaproszenie zdawało się zaprzeczać temu, ale mogło też być inaczej. Była najbardziej zmienną z kobiet.

Słyszając jej imię, Antoniusz otworzył oczy i wydawało się, że rozumie, co zostało powiedziane. Zrobił słaby ruch ręką. Zrozumiałem, że chce z nią być. Wezwałem więc niewolników, aby sprowadzili lektykę, i przewieźliśmy go do królowej. Na ulicach było pusto. Nikt nie ważył się wyjść z domu, gdyż wszyscy oczekiwali na wkroczenie wojsk Oktawiana.

Dotarliśmy do monumentu, ale królowa nadał bała się – z przyczyn, których nie mogłem zrozumieć – pozwolić na otwarcie drzwi. W tej sytuacji musieliśmy przymocować liny do lektyki, aby można ją było podnieść do okna, z którego wychylała się Kleopatra. Gdy zamocowano liny, pochylałem się i pocałowałem go w usta, czego nie zrobiłem nigdy przedtem. Wyciągnął ręce. Były całe we krwi, albowiem przyciskał je do swej rany, aby nie umrzeć, dopóki nie ujrzy znowu królowej. Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, gdy lektykę podniesiono do okna, były te skrwawione ręce.

Nie byłem więc z nim w chwili jego śmierci. Ale jeden ze służących Kleopatry, który wkrótce uciekł z monumentu, mówił mi później, że Antoniusz umierając powiedział: „Ona powinna cieszyć się wspomnieniem swego minionego szczęścia ze mną, a nie opłakiwać moje obecne nieszczęście. Byłem sławnym mężem w życiu i nie zhańbiła mnie śmierć. Zwycięzałem jak Rzymianin i zostałem pokonany jedynie przez Rzymianina”.

Chociaż zawsze odnosiłem się z niewiarą do wszystkiego, co mówiła Kleopatra albo jej słudzy (nawet mój drogi Aleksas często mijał się z prawdą), myślę, że te słowa są prawdziwe. Kleopatra nigdy nie wymyśliłaby tego ostatniego zdania.

ROZDZIAŁ 30

Antoniusz był całym moim życiem, i nie wiedziałem teraz, co począć bez niego. Ale miałem nadal pewien obowiązek do spełnienia. Z wielką ostrożnością wróciłem wąskimi uliczkami do pałacu, który nie został jeszcze zajęty przez ludzi Oktawiana – tak wielki respekt odczuwali dla Antoniusza, że nie odważyli się podążyć za zranionym lwem do jego jaskini, lecz trzymali się z dala, nadal obawiając się jego sławy i siły, nawet w takiej krytycznej sytuacji, w jakiej się znalazł. Na pewno nic nie świadczy lepiej o wielkości człowieka niż bojaźliwość jego wrogów okazywana nawet wówczas, gdy doprowadzili go do całkowitego upadku.

Odszukałem młodego Antyllusa i powiadomiłem go, że jego ojciec nie żyje, na co obaj wybuchnęliśmy płaczem. Ale nie było czasu na żale i odprowadziłem go, opuszczając pałac tajemnym przejściem, które prowadziło pod ziemią, do świątyni Boskiego Juliusza, gdzie wedle umowy z kapłanami – miał uzyskać schronienie. Zabrałem z nami jego wychowawcę Teodora. Antyllus, obsypując mnie pocałunkami, błagał, abym pozostał z nim, ale, uzyskawszy zapewnienie ze strony kapłanów, że sanktuarium jest bezpieczne i że byłoby świętokradztwem z ich strony wydać kogoś powierzonego ich opiece i opiece Boskiego Juliusza, oświadczyłem chłopcu, że dla jego dobra muszę odejść.

I to była prawda bez względu na to, jakie historie moi wrogowie później rozpowszechniali. Gdy pośpieszyłem do portu i wsiałem, jak zaplanowałem, na statek płynący do Koryntu, nie myślałem o własnym bezpieczeństwie. Wierząc, że chłopiec będzie bezpieczny przez kilka miesięcy, zamierzałem wyruszyć do Rzymu i odszukać Oktawie, by ubłagać ją, jako że kochała ona mojego pana, ażeby wstawiła się u swego brata w sprawie chłopca.

I nie mam wątpliwości, że zrobiłaby to, powodowana szlachetnością swego charakteru, miłością, jaką żywiła dla Antoniusza, i szacunkiem, jaki zawsze miała dla mnie.

Ale gdy bawiłem w Koryncie, szukając statku, który zawiózłby mnie do Italii – a nie było to łatwe, nie miałem bowiem odwagi pytać otwarcie albo oferować zbyt wiele złota za przejazd – nadeszła wieść, że Antyllusa zdradził jego wychowawca, który okazał się skończonym łajdakiem. Biednego chłopca wyciągnięto z sanktuarium na rozkaz Oktawiana, który następnie nakazał jego egzekucję. To morderstwo nie należy do najmniejszych zbrodni tyrana.

Jak wiadomo, Kleopatra, daremnie próbując działania swych wdzięków na Oktawiana, bez nadziei na sukces, nie chcąc kroczyć w kajdanach na jego triumfie, postanowiła odebrać sobie życie, przy pomocy żmii, którą przemyciła w koszyku fig. Przycisnęła ją do piersi, które Antoniusz uwielbiał całować i pieścić, a trucizna przeniknęła do jej serca. Umarła godnie, ale nie potrafiłem płakać nad nią ani jej żałować, albowiem zniszczyła mojego pana, którego szlachetność przewyższała jej zalety, jak światło słońca przewyższa światło księżyca.

Jeśli idzie o mnie, ukrywałem się przez kilka miesięcy w Koryncie, znajdując schronienie na strychu burdelu prowadzonego przez kogoś, kogo znałem jeszcze z dawnych lat jako chłopca na posyłki w jednej z gospód w Atenach. Został umieszczony w tym domu przez Skryboniusza Kuriona, który miał do niego słabość. Sam Kurion został zgładzony jako kolejna wybitna ofiara żądnego krwi tyrana.

Kompilacja tego pamiętnika zabrała mi parę miesięcy, albowiem uznałem za konieczne sporządzenie kilku kopii, a nie mogłem powierzyć tego zadania nikomu innemu.

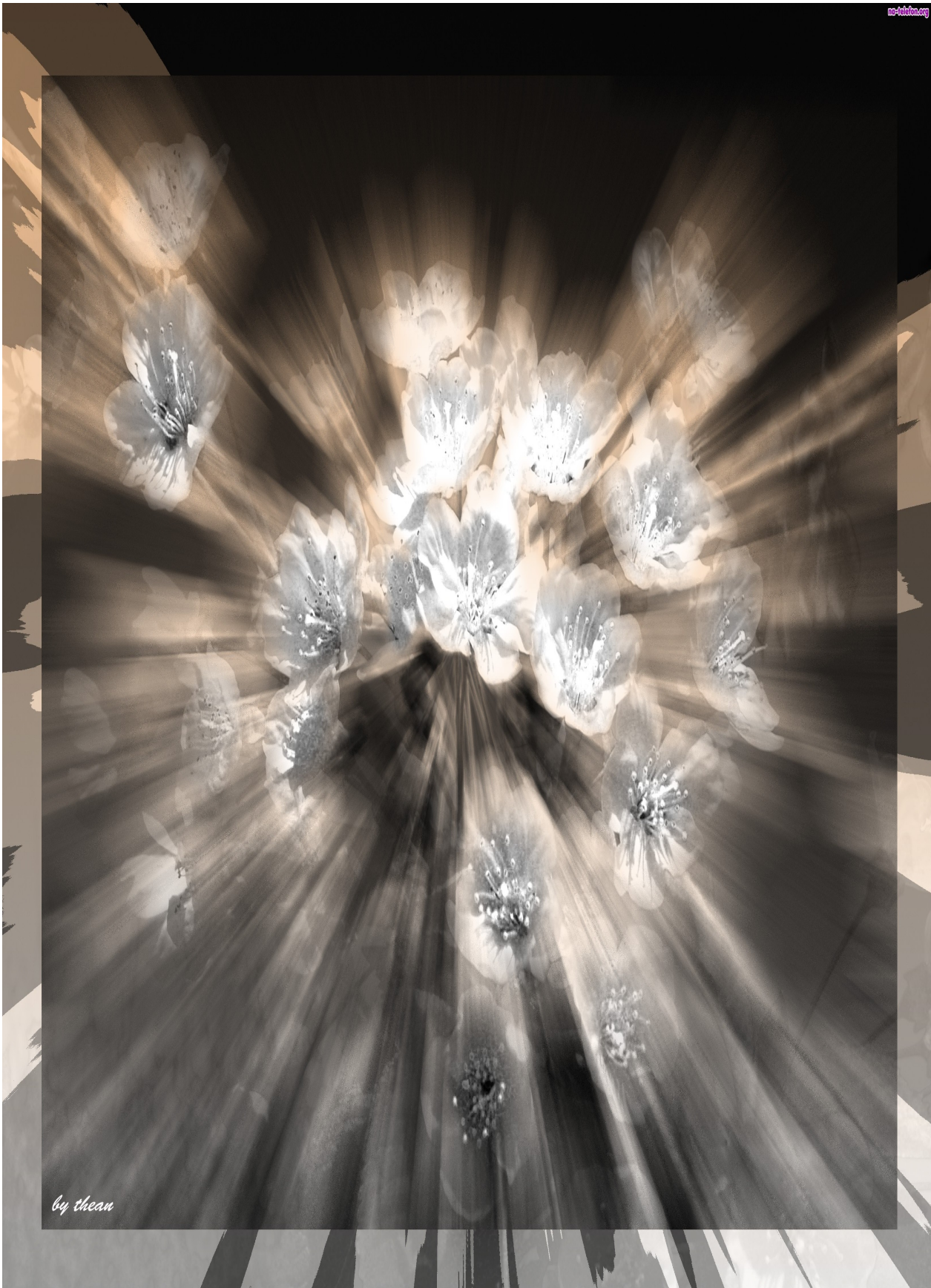
Jedną kopię złożyłem w świątyni Dionizosa w Koryncie, a drugą w świątyni Heraklesa w Tyrynsie, miejscu jego urodzin. Potem pomyślałem o przemyceniu jeszcze jednej kopii do świątyni Westy w Rzymie, gdyż akt świętokradztwa, jakiego tam właśnie dopuścił się Oktawian, kradnąc i fałszując testament mojego pana, rozpoczął całą jego tragedię.

W chwili nierozwagi czy brawury spowodowałem, że inną jeszcze przekazano samemu tyranowi. Miałem nadzieję, że nie zniesie tej lektury, i sprawiała mi przyjemność myśl, że zrozumiałby, iż przynajmniej jeden człowiek na świecie zna w całej pełni jego nikczemność. Liczyłem też, że zacznie podejrzewać, iż istnieją również inne kopie pamiętnika. Cieszyłem się myślą, jak bardzo zakłóci to spokój jego nocy.

Ale ponieważ ten czyn wystawił moje życie na niebezpieczeństwo, uciekłem z Koryntu i przedostałem się do Azji, a stamtąd do krajów za Euksynem, z dala od imperium. Dzięki złotu i pieniądzom, jakie zabrałem z pałacu Kleopatry, założyłem tam dom. Wytworność oferowanych w nim rozrywek doceniają greccy kupcy, którzy z przyjemnością smakują towar, jaki skupują na rynkach niewolniczych za granicą. Z przyjemnością też stwierdzam, że sława barbarzyńców z powodu ich rzekomej dzielności i prostoty jest ogromnie wyolbrzymiona.

Jednym słowem, wiedzie mi się świetnie. Ale oddałbym cały swój spokój, komfort

i bogactwo za jeden uśmiech mojego pana. Wspaniałość gór wznoszących się nad miastem, w którym żyję, jest niczym w porównaniu z majestatem jego osoby.



by thean